

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

3 (27) 2000

Indeks 36294



*Zespół:*

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK, STEFAN CHWIN,  
ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI,  
MAREK KĘDZIERSKI, JULIAN KORNHAUSER,  
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

*Redakcja:*

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny  
GRZEGORZ MUSIAŁ – z-ca redaktora naczelnego  
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji

*Wydawca:*

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy  
przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

*Adres redakcji:*

ul. Ikara 12, 85-314 Bydgoszcz  
tel./fax (0-52) 373 27 18, tel. (0-52) 373 13 90  
www.wok.bydgoszcz.pl  
e-mail: wok@cps.pl; wiechk@box43.gnet.pl  
Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

*Przedstawiciele za granicą:*

Barbara F. Lefcowitz  
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814, USA  
e-mail: BLefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz  
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy  
fax: 0-049-30-7740217

*Projekt okładki:* Ewa Bathelier

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Urzędowi  
Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu  
i Urzędowi Miasta w Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu nr. 3/2000.*

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E  
Nr 3 /27/ 2000

## *Spis rzeczy*

CZESŁAW MIŁOSZ      To jasne / 7

### *Rozmowa*

Litwa, labirynt, nadzieja –  
z CZESŁAWEM MIŁOSZEM  
rozmawia Krzysztof Myszkowski / 9

JERZY ANDRZEJEWSKI      Dziennik paryski (3) / 45

### *Trzy wiersze*

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI      \*\*\* / 61

KAZIMIERZ WYKA      Pesymizm a odbudowa człowieka (1) / 65

### *Po co piszę?*

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA      \*\*\* / 90  
JERZY GIZELLA      Po co piszę? Po co wracam? / 93

JERZY GIZELLA      Żegnaj smutku, choćby na chwilę / 95  
Wyższe zniekształcenie / 96      Ulatnianie się / 97  
Schron przeciwlotniczy / 98

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI      Johnny / 99  
JANUSZ SZUBER      O co w tym wszystkim chodzi? / 105  
Tu i tam / 106      Są obietnicą w kłębach dymu / 107  
Potem / 107      Powroty / 108      Słownik domowy / 108

MARZENA BRODA      Latanie bez skrzydeł / 109  
KRZYSZTOF GRYKO      Tango / 117      Kałuże / 118  
Ucieczka / 118      Powrót / 119      Wiersz biały / 120

PIOTR MACIERZYŃSKI      \*\*\* (dziewięć sekund...) / 121  
\*\*\* (gdy tylko mama...) / 122

TADEUSZ LIRA-SLIWA      Klub bohaterów / 123      Impas / 124  
Ekspedycja wapniaków / 124      Całe niebo nad Polską / 124  
Sekcja X / 125      Do rymu / 125      Próba / 125  
Kindersztuba / 126      \*\*\* (Otworzyć?... ) / 126

HANS HIEBEL      Zmierza ku końcowi / 127

*Plastyka*

PREZENTACJE - ALEKSANDER DĘTKOŚ / 131

*Varia*

- MIROŚLAW DZIENŃ      Oświecona wyobraźnia, Jan Paweł II i rok 2000.  
                                     Zapiski ascetyczne / 137
- MICHAŁ GŁOWIŃSKI      Wielki dzień / 144
- ALEKSANDER JUREWICZ      Zapiski ze stróżówki (8) / 150
- EWA SONNENBERG      Przewodnik liryczny po Europie (II) / 154
- LESZEK SZARUGA      Wodna pieczęć (6) / 166
- ZBIGNIEW ZAKIEWICZ      Ujrzane, w czasie zatrzymane (7) / 176

*Recenzje*

- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI      Księga olśnień / 183
- WIEŚLAWA WANTUCH      Mistyka i optyka / 184
- IWONA MISIAK      Pierwotność materii / 187
- PAWEŁ MAJERSKI      Blizna ciała (i) poezji / 190
- LESZEK SZARUGA      Świat przez lzy / 192
- RAFAŁ MOCZKODAN      Listy Jerzego Stempowskiego / 195
- WIEŚLAW TRZECIAKOWSKI      O wysokiej sztuce interpretacji  
                                     Młodej Polski / 198
- ZOFIA ZARĘBIANKA      Mariologiczna propozycja  
                                     na Trzecie Tysiąclecie / 200

*Noty* / 203

Dnia 5 lipca 2000 roku zmarł w Neapolu

ś.†p.

Gustaw Herling-Grudziński

Pisarz

R . I . P .



Dnia 14 września 2000 roku zmarł w Maisons-Laffitte

ś.†p.

Jerzy Giedroyc

Redaktor „Kultury”

R. I. P.







Fot. Bogusław Gammner

## *Czesław Miłosz*

### To jasne

To jasne, że nie mówiłem, co naprawdę myślę,  
Ponieważ na szacunek zasługują śmiertelni,  
I nie wolno wyjawiać, w mowie ani na piśmie,  
Sekretów naszej wspólnej cielesnej mizerii.  
Chwiejnym, słabym, niepewnym wyznaczona praca:  
Wzniesić się dwa centymetry nad swoją głową  
I móc powiedzieć komuś, kto rozpacza:  
„Ja też tak samo plakałem nad sobą.”



Fot. Czesław Miłosz

*Czesław Miłosz i Krzysztof Myszkowski w Krakowie, w lipcu 2000 roku.*

## Litwa, labirynt, nadzieja

*Z Czesławem Miłoszem rozmawia Krzysztof Myszkowski*

*Krzysztof Myszkowski: Dlaczego Wilno jest miastem mitycznym?*

Czesław Miłosz: Wilno jest miastem zmitologizowanym, to znaczy bardzo trudno jest dojść do prawdy, jeżeli chodzi o jego przeszłość. Polacy mają do Wilna stosunek sentymentalny, ponieważ jest ono tak zwaną kolebką romantyzmu polskiego, a wiadomo co znaczy romantyzm, jakie znaczenie miał dla kultury polskiej. Ci, którzy jeżdżą do Wilna, są oczarowani architekturą, oczarowani miastem i mają do niego stosunek uczuciowy, oparty na kulcie polskiego romantyzmu i na sentymencie narodowym, ponieważ jest to rzekomo odwiecznie polskie miasto. Ale przecież Wilno było stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego – to jest też sprawa historyczna, dlatego że poczucie odrębności Wielkiego Księstwa Litewskiego przetrwało bardzo długo, przetrwało faktycznie do Konstytucji 3 maja, która niemalże zlikwidowała ten rozdział, zostawiając pewne nieduże odrębności Wielkiego Księstwa. Natomiast w uczuciowości i w wyobraźni polskiej w ciągu XIX wieku nastąpiło jakby utożsamienie Wielkiego Księstwa Litewskiego z Polską. Oczywiście dotyczyło to warstwy szlacheckiej – dla nich to był jeden organizm, to była Polska. Dlatego ów paradoks, że akcja *Pana Tadeusza*, który jest polskim eposem, zaczynającym się od słów: „Litwo! Ojczyzno moja!”, odbywa się na Białorusi, co jest nieporozumieniem semantycznym, dlatego że to nie była Litwa tylko Wielkie Księstwo Litewskie. Wilno było stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego i na podstawie tego samego nieporozumienia semantycznego Litwini w niepodległej Litwie uważali, że muszą odzyskać stolicę Litwy, a przecież Wilno nie było stolicą Litwy etnicznej. Jest coś prawdziwego w twierdzeniu Białorusinów, że Wilno było stolicą Białorusi: twierdzą, że Żmudzini, którzy przyszli z północy, zajęli Wilno i podali je jako swoją stolicę. (śmiech)

*K. M.: Wilno to była dziwna mieszanina.*

**Cz. M.:** Ludność Wilna nie była litewska – ludność Wilna odbijała sytuację stolicy Wielkiego Księstwa. Można powiedzieć, że w średniowieczu jedynie władza księcia i tej małej grupki etnicznej litewskiej, która rządziła, miała jakieś ślady także w Wilnie, ale ludność składała się z prawosławnych kupców, stąd niesłychana ilość cerkwi drewnianych, które później się spaliły. Wilno było miastem mówiącym po białorusku, czy też starobiałorusku, potem stopniowo się polonizowało.

*K. M.: Dużą część mieszkańców Wilna stanowili Żydzi.*

**Cz. M.:** Tak i ich ilość rosta. Przecież Wilno przedwojenne było miastem polsko-żydowskim i niesłychanie ważnym ośrodkiem kultury żydowskiej. Były dwa Wilna, które żyły obok siebie: Wilno polskie i Wilno żydowskie. Wilno żydowskie było wielkim ośrodkiem drukowania książek w jidysz. Były dwa takie ośrodki kulturalne na świecie: Wilno i Nowy Jork. I do tej pory, jeżeli jakaś rodzina żydowska w swojej tradycji pochodzi z Wilna, to jest lepsze pochodzenie, to jest arystokracja – w przeciwieństwie do tych, których przodkowie pochodzą z Warszawy, czy z Galicji – to już jest gorzej. Z Wilna jest najlepiej pochodzić. Ludność Wilna była prawosławna – prawdopodobnie starobiałoruska, polska – mieszczaństwo, i żydowska – było drugie Wilno, żydowskie, o którym Polacy dzisiaj nie wiedzą, a i w czasie międzywojennym nie bardzo wiedzieli, jaka była ta historia, bo to jest cała historia Żydów w Wilnie jako ośrodka religijnego, kulturalnego itd. Nie mówiąc już o tym, że nikt z Polaków nie wie, że Wilno było sceną spalenia na stosie szlachcica Walentyna Potockiego, który zdaje się, że pochodził z tej samej arystokratycznej rodziny – nawrócił się na judaizm, studiując w Amsterdamie i spalono go na stosie w Wilnie.

*K. M.: Kto go spalił?*

**Cz. M.:** Władze kościelne; w 1749 roku.

*K.M.: Coś w rodzaju inkwizycji?*

**Cz. M.:** Tak. Prochy Walentyna Potockiego były relikwią dla miejscowych Żydów. Poza tym Wilno było linią oporu religijnego przeciwko inwazji chasydyzmu z południa. Wilno było racjonalistyczne. Był taki gaon wi-

leński, który był za racjonalistycznym badaniem Tory i kabaly i występował przeciwko tańczącej religijności chasydów. Tak, że Wilno utrzymywało linię racjonalizmu, a wkrótce zaczęła się Haskala, czyli oświecenie i to było z jednej strony połączone ze studiami języka hebrajskiego, a z drugiej – z próbami włączenia się w języki nowoczesnej Europy. Niestety stało się tak, że Haskala przypadła już na czas rozbiorów, na początek XIX wieku. To był ruch wyprowadzenia Żydów z zamkniętych wspólnot ku ogólnemu życiu danych krajów, ale Polska była podzielona. Historia Klaczki ilustruje te przemiany – Klaczko był typowym przedstawicielem Haskali. On stał się w rezultacie pisarzem języka francuskiego, ale przeszedł przez niemiecki i polski.

*K. M.: W tym czasie wybucha w Wilnie polski romantyzm. Klaczko już należy do romantyzmu.*

*Cz. M.: Ma Pan zupełną rację. Nota bene Wilno jest miejscem, gdzie zaczyna się cała mitologia Litwy. Litwa po raz pierwszy zjawia się w literaturze u Macieja Strykowskiego i u niego jest od razu fascynacja pogańską Litwą. Strykowski bardzo dużo napisał o tym właśnie. Mickiewicz skąd czerpał? Z *Kroniki* Strykowskiego głównie. Ale równocześnie za romantyzmu powstaje cała mitologia Litwy jako kraju szlchetnych dzikusów, bo przecież częścią romantyzmu w Europie jest ten mit szlchetnego dzikusy, który został odziedziczony po Rousseau. W literaturze francuskiej już pod koniec XVIII wieku ukazuje się *Pawel i Wirginia* Bernardina de Saint-Pierre, a na samym początku XIX wieku Chateaubriand pisze *Atala*, czyli historię szlchetnych Indian północnoamerykańskich i ci Indianie północnoamerykańscy funkcjonują w pierwszej połowie XIX wieku jako przedstawiciele szlchetnych dusz pierwotnych – widocznie była taka potrzeba i polski romantyzm tworzy cały pogański panteon litewski. Przecież *Dzieje starożytne narodu litewskiego* Narbutta i inne tego rodzaju dzieła wymyślają bogów, których układają w Olimp taki jak wzięty z Grecji. U Mickiewicza jest: Żywila, Grażyna, Konrad Wallenrod. Są takie utwory, na przykład *Witolorauda* (to znaczy *Żale Witola*) Józefa Ignacego Kraszewskiego, który wychodzi w 1840 roku – Moniuszko napisał do niego muzykę. W *Witoloraudzie* litewska bogini miłości Milda poczyna syna z człowiekiem śmiertelnym. Moim zdaniem te utwory romantyczne miały dwa skutki: po pierwsze – przyczyniły się do powstania litewskiej świadomości narodowej i po drugie – do mitologizowania siebie samych; Litwini mają do tego dużą skłonność.*

*K. M.: Polacy też.*

Cz. M.: Niestety Polacy nie mają takich utworów, które by im pozwalały na to. Bo właściwie legenda o Popielu zjedzonym przez myszy zawsze była traktowana humorystycznie.

K. M.: *A Piast?*

Cz. M.: Jest taka legenda, ale ona jakoś w literaturze nie działała mocno. Czyli te mityczne początki Polski nie mają dostatecznej siły obrazowej, literackiej. Nie ma w Polsce pogańskiej mitologii, która jest w różnych krajach jak na przykład w Finlandii. A Litwa dzięki polskiemu romantyzmowi ma. Konsekwencją mitologizacji Litwy jest stworzenie obrazu Litwy jako kraju poezji, jako kraju poetyckiego, tak że pochodzić z Litwy dla poety jest bardzo dobrze (śmiech). Trochę można znaleźć analogię z Irlandią, dlatego że literatura Irlandii przecież powstawała w języku angielskim.

K. M.: *Irlandczycy mieli wielkich pisarzy: Shaw, Yeats, Joyce, Beckett.*

Cz. M.: Ci pisarze pisali po angielsku, a nie po irlandzku. I może Pan powiedzieć, że Litwa miała wybitnych pisarzy: miała Mickiewicza...

K. M.: *Kilku wielkich pisarzy polskich urodziło się na Litwie.*

Cz. M.: Nie mamy takich jak na przykład Bernard Shaw.

K. M.: *Powiat kiejdański, dwór w Szetejniach, dolina Niewiaży, Krasnogruda to są dla Pana miejsca mityczne. Jaką rolę odegrały te miejsca, tamci ludzie i język w konfrontacji ze światem?*

Cz. M.: Schemat taki był dosyć banalny. Jest nostalgia ludzi wyrzuconych z siodła, więc można to tłumaczyć tym, że jako emigrant, zresztą emigrujący już przed wojną: emigrowałem z Wilna do Warszawy, mam kompleks emigranta, który zwraca się z tęsknotą do przeszłości, na przykład pisze *Dolinę Issy*. Ale to jest dość fałszywa interpretacja... O co chodzi w literaturze beletrystycznej, czy też poetyckiej? Chodzi o rzeczywistość, która minęła, chodzi o dystans, który może być uzyskany tylko przez mówienie o zdarzeniach, które już nie istnieją. To jest znana rzecz, że dystans jest matką muz, dystans jest duszą piękna, jak powiedziała Simone Weil. Więc tutaj chodziło o istnienie danej rzeczywistości minionej w literaturze: w poezji i w prozie. Na pewno to było moim głównym motywem – zwracanie się

do korzeni. I mieszkając długo za granicą miałem cel: umieścić mój mały kraik, moją ojczyznę dzieciństwa na mapie Europy czy świata. Oczywiście to było bardzo trudne, bo bardzo trudno jest mówić o krajach nie istniejących w myśli i w wyobraźni ludzi zachodnich. Łatwiej byłoby mówić o jakichś krajach jednorodnych, ale nie tak złożonych, takich skomplikowanych jak ten mały kawałek Europy, z którego pochodzę. Ale może w jakiś sposób mi się to częściowo udało. Poza tym dla mnie moje pochodzenie było źródłem siły, ponieważ ja nie chciałem się poddać, nie chciałem się dostosować do standardów zachodnioeuropejskich, gdzie należało pisać o tym, co jest jakoś tam zrozumiałe. Napisałem najpierw *Zdobycie władzy* i *Zniewolony umysł* i one wyrabiały mi status pisarza politycznego, ale ja nie chciałem iść w tym kierunku i napisałem *Dolinę Issy*, która była z punktu widzenia rynku wydawniczego szaleństwem, ponieważ była to staromodna powieść nie mająca nic wspólnego z jakimiś awangardowymi kierunkami w literaturze. To staroświecka baśń. Bardzo jestem dumny z tego, ale ta książka była na początku źle przyjęta: jakieś takie starocie, wspomnienia itd. Wtedy trzeba było iść dalej tą drogą *Zdobycia władzy* i *Zniewolonego umysłu*.

*K. M.: To byłaby droga pisarza politycznego.*

*Cz. M.:* Ja po prostu nie chciałem dalej zajmować się tak zwaną koniecznością historyczną, Heglem i okrucieństwami historii. Ale jak napisałem w *Przypisie po latach* do nowego wydania *Doliny Issy*, istnieje pewna analogia z tym, co się działo ze mną w czasach okupacji niemieckiej, gdzie doznanie horroru i okrucieństwa było czymś niesłychanie niszczącym wewnątrz. Wobec tego napisałem *Świat. (Poema naiwne)*, który z pozoru nie ma nic wspólnego z otaczającą mnie rzeczywistością, naprawdę natomiast ma dużo wspólnego, ponieważ opór przeciwko temu co się naokoło mnie działo, jest podtekstem bezustannym i dlatego mnie jest przykro, kiedy biedne dzieci w szkołach uczą się na pamięć moich wierszyków *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość* nie wiedząc, że to są wiersze ironiczne, w szczególnym sensie – nie sarkazmu, nie kpiny, tylko ironii w głębszym znaczeniu.

*K. M.: Czyli „Dolina Issy” była na emigracji czymś podobnym do „Świata” w czasie okupacji, była przejściem na inną orbitę?*

*Cz. M.:* Tak, przede wszystkim była odejściem od abstrakcji, od ideologii, od idei do zmysłowej rzeczywistości: zapachów, widoków, doznań słuchowych itd.

*K. M.: Ale przecież rzeczywistość wojny była także bardzo zmysłowa, pełna zapachów, widoków, doznań słuchowych itd.*

*Cz. M.: Tak, oczywiście, nie była żadną abstrakcją. Napisałem w czasie wojny wiersze o tej rzeczywistości, jak na przykład *Campo di Fiori*, czy cykl *Głosy biednych ludzi* i to w tym samym czasie co *Świat*. (*Poema naiwne*). Czyli można powiedzieć, że jedną ręką pisałem to, drugą co innego – cała poezja polska XX wieku zmagala się z tymi problemami i niesłychanie trudno to przychodziło: przeżywalismy nowe doświadczenie, bardzo tragiczne i nie było języka, żeby je wyrazić. Ale z tego zmagania polskiej poezji z problematyką okrucieństwa i historii coś wynikło. Jeżeli dzisiaj jest mowa o polskiej szkole poezji – w każdym razie mówi się o tym w Ameryce – to właśnie cała oryginalność polskiej poezji polega na tym zmaganiu. Seamus Heaney, laureat Nobla, w swoich esejach pisze dużo o polskiej poezji: znalazł w niej to, czego potrzebował, żeby pisać o Irlandii Północnej, o wzajemnym mordowaniu się, znalazł w polskiej poezji jakąś szczególną destylację motywów historycznych, dramatycznych, tragicznych, które bardzo mu się przydały. I dopatruje się oryginalności polskiej poezji właśnie w tym. Niemniej uważam, że najtrwalsze co napisałem w czasie wojny to nie te wiersze o tym, co się działo, tylko *Świat*, ponieważ jest „zaszyfrowany”.*

*K. M.: Tak jak „Dolina Issy” – moim zdaniem bogatsza artystycznie i ważniejsza od „Zdobycia władzy” i od „Zniewolonego umysłu” – która także jest rodzajem szyfru.*

*Cz. M.: Tak, można tak powiedzieć, chociaż w *Dolinie Issy* nie jest to tak widoczne jak w *Świecie*, jeżeli chodzi o stosunek do rzeczywistości okupacyjnej. Gdzieś powiedziałem, że w poemacie *Świat* chodzi o przywrócenie godności światu. Ostatecznie świat dziecka trwa niezależnie od okrucieństw historii; jest to jakby stała sytuacja dziecka wobec świata.*

*K. M.: Taka sytuacja jest także w „Dolinie Issy”, czyli w dolinie Niewiaży.*

*Cz. M.: Tak, pod inną nazwą, po prostu żeby mieć swobodę snucia baśni, żeby nie być związanym z realiami.*

*K. M.: Wraca Pan do dzieciństwa w okresach dla Pańskiego życia przełomowych, jakimi były: wojna, a potem emigracja, kiedy znalazł się Pan w sytuacji dramatycznej.*



**Cz. M.:** Tak, to była szalenie trudna decyzja. Trudno dzisiaj odtworzyć niesłychanie historyczną atmosferę tej „zimnej wojny”. Przecież to była w dużym stopniu histeria, zarówno po jednej stronie jak i po drugiej, i niesłychana podejrzliwość.

**K. M.:** *Żelazna kurtyna.*

**Cz. M.:** Jeszcze gorszą kurtyną była kurtyna podejrzeń, w pewnym stopniu usprawiedliwiona, dlatego że podsyłali sobie wzajemnie szpiegów. Napisałem to dopiero chyba w pięćdziesiątym trzecim roku: zwiedziłem obóz „Walka” pod Norymbergą, gdzie w barakach mieszkali uchodźcy z Polski, albo z Czech, którzy nie mieli prawa pracy, dostawali jakiś nędzny zasilek a trzymano ich tam, ponieważ oni chcieli pojechać na szeroki świat, dostać jakieś wize, nie mogli, no i byli walkowani przez władze zachodnie, żeby zostali szpiegami, żeby pojechali z powrotem do ich krajów itd. Mnóstwo niesłychanie tragicznych historii. Poza tym było pełno ludzi, tych Polaków emigracyjnych, którzy żyli z antykomunizmu. To był kocioł niesłychany, żeby przerzucić się z jednej strony na drugą, trzeba było być szaleńcem niemal.

**K. M.:** *Ale Pan zdecydował się na emigrację – na przerzut na drugą stronę i na to całe zamieszanie z tym związane.*

**Cz. M.:** Byłem bardzo naiwny i byłem krnąbrny: wystąpiłem od razu z oskarżeniem emigracji w „Kulturze” paryskiej, rozwścieczyłem wszystkich, a poza tym podejrzewano mnie, że jestem sowieckim agentem. Życie z takim piętnem jest niesłychanie bolesne i trudne.

**K. M.:** *Dla poety była to szczególnie trudna sytuacja: znalazł się Pan w tyglu.*

**Cz. M.:** Kiedy znalazłem się na emigracji, znalazłem się w tym właśnie tyglu. Mogłem istnieć jakoś, jeżeli bym się zaangażował do walki ideologicznej i walil w komunistów jak w kaczy kuper. Ale nie chciałem być narzędziem politycznym w walce dwóch obozów, chciałem zachować swoją autonomię pisarską. Otóż twierdzę, że utrzymanie autonomii pisarskiej w Polsce Ludowej było bardzo trudne, ale łatwiejsze trochę niż utrzymanie autonomii na Zachodzie, na emigracji.

**K. M.:** *Ale tam nie było takiego terroru politycznego, jaki był w czasach stalinizmu w Polsce.*

Cz. M.: Był zupełnie inny terror – terror pieniężny. Przecież prawie wszyscy piszący na emigracji żyli z rozmaitych takich instytucji jak „Wolna Europa”. Ja nie.

K. M.: Była „Kultura” paryska.

Cz. M.: Tak, rzeczywiście, dla mnie była pewną ostoją „Kultura” paryska. Ale to nie była żadna potężna instytucja finansowa, ledwo ledwo żyła.

K. M.: Do tego Pan nie utożsamiał się z „Kulturą” paryską, był Pan jeżeli nie w sporze, to obok – zaznaczał Pan swoją autonomię.

Cz. M.: Tak, starałem się zachować autonomię i z tego powodu napisałem między innymi *Zniewolony umysł*, który nie jest książką jednoznaczną i spotkał się z niezliczonymi zarzutami, że nie jest to książka, która jasno stawia sprawę.

K. M.: Tak, Herling-Grudziński...

Cz. M.: Herling-Grudziński ciągle mnie gnębił, że napisałem książkę, która właściwie jest obroną intelektualistów, którzy zostają komunistami. Tak, że ja sobie nie ułatwiałem życia.

K. M.: „Zdobycie władzy” było taką powieścią polityczną na konkurs.

Cz. M.: Tak, ale co do *Zdobycia władzy* to na przykład Kisielewski zarzucał mi olimpijską bezstronność.

K. M.: Kisiel chciał, żeby bardziej czerwonemu dolożyć?

Cz. M.: Tak. (śmiech)

K. M.: Czy Kisiel nie miał racji? Pan w „Zniewolonym umyśle” zarzucił Andrzejewskiemu, że tak mało z tego co wiedział, powiedział w „Popiele i diamentach”.

Cz. M.: Mnie się zdaje, że Andrzejewski chciał powiedzieć jak najwięcej, z tego co wiedział; chciał być uczciwy, ale mu nie wyszło. (śmiech) *Zdobycie władzy* jest powieścią, która stara się odtworzyć sytuację 1945 roku możliwie bezstronnie, czyli znowu jest z punktu widzenia propagando-

wego za słaba w sensie politycznym, ale dzięki temu, że *Zniewolony umysł* starał się o obiektywizm, dlatego tak silnie działał na komunistów – to bardzo przewrotna i okrutna broń.

*K. M.: Ale „Zdobycie władzy” odniosło sukces, było szeroko omawiane, a na przykład „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego w ogóle nie mógł się ukazać.*

*Cz. M.:* To jest kwestia taktyki, która nie przesądza o wartości artystycznej, ani nawet o postawie politycznej. Teraz się ukazało wydanie *Człowieka wśród skorpionów* i tam w *Przedmowie* do tej książki dopiero teraz napisałem prawdę o Pani Modzelewskiej, która powiedziała, że mam obowiązek walczyć z katem Rosji – w pięćdziesiątym pierwszym roku powiedzieć coś takiego!

*K. M.: I dzięki niej Pan mógł uciec na Zachód.*

*Cz. M.:* Tak, ale ona nie robiła tego wbrew swojemu mężowi – on był starym komunistą, który uważał, że pisarzy nie wolno zmuszać. Nie przyrzekłem ani jej, ani jemu, że wrócę. To była najdalej idąca koncesja, żeby nie żądać, że wrócę. Ale ona liczyła się z tym, że ja mogę zostać. Tak jak powiedziała, że jej zdaniem pisarz powinien być z krajem, ale jeżeli bym się zdecydował na emigrację, to mam obowiązek walczyć z nim, ze Stalinem.

*K. M.: Ciągłe jest ten splot: walka o autonomię pisarza i uwikłanie w historię czy w politykę i są „rzeczy wileńskie”, które stają się ratunkiem – wybawiają z historyczno-politycznej topieli.*

*Cz. M.:* Niewątpliwie w tym Stanisław Vincenz odegrał rolę, ponieważ on był właśnie zwolennikiem innego rytmu – powolnego rytmu historii, pokoleń, wieków, a nie gorączkowego, wariackiego, konwulsyjnego w wieku XX. Tak, że rozmowy z nim były bardzo uspokajające: on ciągle pisał legendy o huculczyźnie.

*K. M.: Ale Jerzy Giedroyc, z którym też się Pan wtedy spotykał, to była polityka.*

*Cz. M.:* Giedroyc to była czysta polityka.

*K. M.: Był Jerzy Stempowski.*

Cz. M.: Stempowski był bliżej Vincenza. Jeżeli chodzi o „Wolną Europę”, ja nie chciałem z nią współpracować, w czym ukazuje się moja szczególna linia, że nie nadaje się do walenia palką – po prostu się nie nadaje. Ale głównie dlatego, jak jakieś audycje usłyszałem, to tam Bóg i ojczyzna, tam kropią święconą wodą, która używana jest do celów patriotycznych: chodziło o to, żeby temu czerwonemu dołożyć. (śmiech)

K. M.: *Giedroyc walczył inaczej, w bardziej wyrafinowany sposób. Ale była jeszcze alternatywa – „Wiadomości Literackie” Grydzewskiego.*

Cz. M.: Nie próbowałem tam pisać i drukować dlatego, że Grydzewski, który był niewątpliwie geniuszem wydawniczym, kiedy stracił swoją publiczność w Polsce i znalazł się na emigracji, to bardzo zręcznie zawrócił i zmienił zupełnie swoją orientację, dostosowując się do publiczności londyńskiej, emigracyjnej, czyli prawicowej i mnie obcej. Przed wojną publiczność „Wiadomości” była w 80 % żydowska, a tu znalazł się wobec zupełnie nowej sytuacji i jako geniusz wydawniczy musiał zmienić swoje poglądy. W Londynie Grydzewski nie był prawicowy, nie można powiedzieć, tylko obowiązywało tam tak samo dołożenie czerwonemu – wszystko to była publiczność, która pochodziła ze wschodu Polski, która przeszła często przez lagry, tak że Herling-Grudziński do tej publiczności pasował.

K. M.: *Herling-Grudziński był związany w Londynie z Ciolkoszami, a więc z PPS.*

Cz. M.: Nie chcę tego całego londyńskiego środowiska oskarżać o prawicowość. PPS był jednym ze stronnictw politycznych, tak samo w Polsce Delegatury rządu londyńskiego. Dotykamy bardzo trudnych kwestii, trudnych do wytłumaczenia: otóż, wchodzi tu w grę bardzo subtelne zmiany mentalności, które sprawiają, że poeta należy do jakiejś epoki, należy do jakiejś fazy i mentalności. Dla mnie przełomowym rokiem był 1943, kiedy przeszedłem od jednej fazy do innej fazy mentalności. Więc dla mnie mentalność „Wiadomości Literackich” i tej publiczności już była zupełnie obca, należała do epoki, którą przezwyciężyłem.

K. M.: *Dlaczego akurat rok 1943 był dla Pana rokiem przełomu?*

Cz. M.: Czterdziesty trzeci był dla mnie z różnych względów rokiem przełomu w Warszawie, dlatego że pierwszą część okupacji jeszcze byłem

poetą przedwojennym, a stałem się poetą powojennym w czterdziestym trzecim roku. Czyli nie mogłem wracać do tej mentalności.

*K. M.: Co się wtedy stało? Czy to był proces, czy ostra cezura?*

Cz. M.: To był proces, który zresztą można śledzić, analizując moje wiersze pisane w czterdziestym drugim roku, w czterdziestym trzecim itd.

*K. M.: Kto miał wpływ na tę przemianę?*

Cz. M.: Między innymi miał wpływ Juliusz Kroński. Przyjaźń z Krońskimi bardzo na to wpłynęła. Ale nie można sprowadzić tego do jednej osoby. Tak samo mój konflikt z młodymi poetami ze *Sztuki i Narodu*; cały szereg czynników – obserwacja tego co się działo, mentalności Polski podziemnej. I dochodzimy do mojego odcięcia się od tej emigracji, zwłaszcza londyńskiej. Przypuszczam, że moja krnąbrność, czy też mój bardzo zły charakter bardzo pomagały. Dam Panu przykład, o co chodziło: napisałem jakiś artykuł w takim małym piśmie wychodzącym w Londynie, wydawanym przez młodych ludzi – „Kontynenty” i coś tam niepochlebne powiedziałem o „Wolnej Europie”, no to zaraz „Na antenie” – dodatek „Wolnej Europy” do „Wiadomości Literackich” zaatakował mnie i oświadczył, że zapraszali wszystkich pisarzy do współpracy i wyliczone są wszystkie nazwiska z wyjątkiem Czesława Miłosza, dając do zrozumienia, że moralnie nie jestem godzien być zapraszany. Może Pan z tego wyciągnąć pewne wnioski. Zresztą Grydzewski nie był za to odpowiedzialny.

*K. M.: Właściwie powinno być Panu bliżej do Grydzewskiego niż do Giedroycia, ponieważ Grydzewski to było zwierzę literackie, a Giedroyc – wyłącznie życie polityczne.*

Cz. M.: Tak, ale jednak niech Pan nie zapomina o jednym, co mnie łączyło z Giedroyciem – Wschód; to znaczy pochodzenie i znajomość dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej – zainteresowanie problematyką ukraińską, litewską, białoruską itd. Giedroyc dokonał wielkiego przewrotu – wbrew emigracji, która nie chciała słyszeć o oddaniu Wilna czy Lwowa, zrobił ten wielki skok, wielki przełom.

*K. M.: Giedroyc to jest rasowy polityk, a Pan jest poetą – poetą uwikłanym w historię.*

Cz. M.: Tak.

*K. M.: Dla mnie w Pana twórczości ważniejszy jest ten nurt ukryty, tajemny, to co jest zaszyfrowane: „Litwo! Ojczyzno moja!”. Nie bagatelizuję nurtu politycznego, czy historycznego w Pana twórczości – on był bardzo ważny, w PRL-u stwarzał przestrzeń wolności i godności, ale teraz gdy czytam tom po tomie Pana „Dziela”, to przede wszystkim pociąga mnie to, co jest w nich mityczne i mistyczne, także obecne w Pana ostatnich wierszach, które ukażą się jesienią tego roku w tomiku pod tytułem „To”. Początek i koniec, i tajemnica. Pan w wierszu pod tytułem „Po odcierpieniu” z „Na brzegu rzeki”, ale i w innych utworach mówi o tej myśli, czy może wierze, że człowiek po śmierci wraca do bliskich sobie miejsc i ludzi. Dlaczego tak się dzieje?*

Cz. M.: Powstrzymam się od odpowiedzi.

*K. M.: Czy to się łączy z apokatastasis?*

Cz. M.: Powstrzymam się od odpowiedzi.

*K. M.: W Pana wierszach, także w esejach i w prozie czuje się mocne napięcie pomiędzy widzialną częścią rzeczywistości a rzeczywistością duchową, niewidzialną. Co jest zdaniem Pana dla współczesnego poety ważniejsze: wiernie opisać rzeczywistość widzialną, postrzeganą zmysłami? Wiernie opisać rzeczywistość niewidzialną, duchową? Wiernie opisać harmonię czy dysharmonię między nimi?*

Cz. M.: Wydaje mi się, że muszę użyć słowa, które dzisiaj ma złą aurę, to znaczy słowa *dialektyka*. Dialektyka oczywiście nie jest wynalazkiem marksistów (śmiech), ma znacznie starsze korzenie. Myślę, że jedną z cech mojej twórczości była zawsze jej dialektyczność, to znaczy operowanie sprzecznościami. Jakoś tak wyszło, że widocznie moim powołaniem było życie wśród sprzeczności. I nawet kiedy rozmawiamy o sprawach pobytu na emigracji, w całym moim miotaniu się można dopatrzeć się szczególnych poszukiwań życia wśród sprzeczności. Tak samo, Pan wspomniał o tym, że moje polityczne książki wpływały na sytuację duchową ludzi w PRL-u, ale że istniał też drugi nurt, który był może ważniejszy – w każdym razie dla pewnych ludzi. I wydaje mi się, że właśnie ta podwójność naprowadza na ślad dialektyki w moim życiu i w moich wierszach. Najbardziej dialektycznym poetą był chyba William Blake. On napisał dwa cykle wierszy prawie równocześnie – jeden nazywał się *Songs of Experience*, a drugi *Songs of Innocence*. Rzeczywistość jego czasu zo-

stała tam zaszyfrowana pod dwiema postaciami: z jednej strony sceny horroru ówczesnego Londynu w *Songs of Experience*, a równocześnie wiersze o dzieciństwie – *Songs of Innocence*. I to były dwie strony tej samej rzeczywistości. Tak jak mój poemat *Świat* i *Głosy biednych ludzi* były dwiema stronami tej samej rzeczywistości.

*K. M.: Tak jak „Zdobycie władzy” i „Dolina Issy”.*

*Cz. M.: Może być, coś takiego, chociaż Dolina Issy nie jest idyllą, nie jest książką o dzieciństwie i nie jest książką ściśle autobiograficzną. Natomiast jest rodzajem – jak ktoś powiedział – traktatu teologicznego, ponieważ jest w niej ukazany problem zła w świecie: z jednej strony problem naiwnej, dziecinnej akceptacji świata, a z drugiej – odkrywanie tej drugiej strony, tragicznej podszewki życia.*

*K. M.: W wierszu pt. „Sekretarze” napisał Pan: „Sługa ja tylko jestem niewidzialnej rzeczy, / Która jest dyktowana mnie i kilku innym.”*

*Cz. M.: To jest bardzo ładne określenie powołania poety.*

*K. M.: Służba „niewidzialnej rzeczy”.*

*Cz. M.: Pojedyncza liczba. Przecież gdyby była widzialna, to nie trzeba byłoby poezji.*

*K. M.: Wtedy można by ją było sfotografować, czy sfilmować.*

*Cz. M.: No tak, no właśnie.*

*K. M.: Ale ta „niewidzialna rzecz” jest nienazwana.*

*Cz. M.: Nienazwana, bo przecież pokolenia poetów nad tym pracują; służą jej.*

*K. M.: Pan mówi, że ta „nienazwana rzecz” jest dyktowana; to jest motyw dajmoniona.*

*Cz. M.: Tak, dyktowaną. Zgadzam się. Naturalnie, że dyktowana. Można powiedzieć, że cywilizacja powstaje w ten sposób: cywilizacja powstaje*

jako próba nazwania czegoś, co jest i pozostaje nienazwane. A co to jest? Ja nie wiem. Można to nazwać Absolutem, Opatrznością albo Tajemnicą po prostu – nie mamy na to języka, żeby powiedzieć, co to jest ta *niewidzialna rzecz*. Dialektyka Hegla – Hegel by powiedział: dialektyka.

*K. M.: Pan mówi, że Tajemnica jest największą wartością życia, bo nadaje mu sens: „Żyjemy w obliczu Tajemnicy”. Pan szuka odpowiedzi i pokazuje, że do jakiegoś rodzaju odpowiedzi można dojść tylko za pomocą iluminacji, epifanicznego wstrząsu.*

Cz. M.: Mnie się zdaje, że wkracza Pan na tory niebezpieczne. (śmiech)

*K. M.: Niebezpieczne dla...*

Cz. M.: Nie. Niebezpieczne dla Tajemnicy. (śmiech)

*K. M.: Żyjemy w obliczu Tajemnicy. I świadomy tego człowiek coś z tym musi zrobić.*

Cz. M.: A.

*K. M.: Pan, moim zdaniem, stara się do niej zbliżyć jak najbliżej.*

Cz. M.: (milczy)

*K. M.: I Pan mówi, że to jest niebezpieczne.*

Cz. M.: Pana ciśnięcie jest niebezpieczne.

*K. M.: Czyli już dalej iść nie można: zostało tyle powiedziane, ile można było powiedzieć.*

Cz. M.: Tak.

*K. M.: Czy napięcie: autentyczność / gra literacka czyli autokreacja, maski, różne konwencje i style – jest deprymujące, a może nawet z duchowego punktu widzenia niszczące, czy przeciwnie: tak jak napięcie dialektyczne – rozwija wyobraźnię, daje natchnienie i dodaje sił?*



Cz. M.: Zawsze podkreślałem wagę rzeczywistości, dążenia do rzeczywistości. Nie zgadzam się z niektórymi tendencjami tak zwanego postmodernizmu, który grę literacką podnosi do godności samego celu literatury. Z tym się nie zgadzam. Gra literacka powinna być środkiem docierania do rzeczywistości. Wtedy naturalnie zapytają: „A co to jest rzeczywistość?” Na co ja odpowiadam: „A Pilat zapytał: Cóż to jest prawda?” (śmiech)

*K. M.: Czyli na to pytanie nie ma odpowiedzi?*

Cz. M.: Na to napisano niezliczone tomy filozofii, jednakże ja im nie wierzę.

*K. M.: Jest filozofia, ale jest także to, co mówi na temat prawdy Biblia.*

Cz. M.: Myślę, że rzeczywistość to jest troszkę inna kategoria.

*K. M.: Ale prawda...*

Cz. M.: Dlatego używam tego powiedzenia Pilata, że tak samo można zapytać jak Pilat: „A cóż to jest prawda?” – „A cóż to jest rzeczywistość?” Pilat zapytał po to, żeby pojęcie prawdy zdezaktywować, poniżyć. Tak samo ci, co pytają: „A cóż to jest rzeczywistość?” – określają tym samym swój stosunek do rzeczywistości.

*K. M.: W „Abecadle” w haśle „Autentyczność” napisał Pan: „Mój wielki strach: że udaję kogoś, kim nie jestem.”*

Cz. M.: Tak, na przykład, że się jest wieszczem narodowym. (śmiech) Na przykład, że się jest moralistą, a naprawdę jest się grzesznikiem. Tak?

*K. M.: Pan jest moralistą.*

Cz. M.: Nie, nie jestem.

*K. M.: Podejmowanie problematyki: dobra i zła i wskazywanie na dobro jest rodzajem moralizowania.*

Cz. M.: Nie, dlatego że młody człowiek nie znajdzie u mnie recept na zachowanie się.

*K. M.: Recept nie, ale wskazówki, a nawet drogowskazy, które pokazują kierunek – tak.*

*Cz. M.: Może tutaj spełnia się to, czego się obawiałem, że fałszywie przedstawiam się jako przewodnik, kiedy ja jestem ignorantem. Na przykład: drogę pokazuje drogowskaz, a jak mogę wskazywać drogę, jeżeli sam nie wiem? To jest właśnie typowy przykład strojenia się w cudze pióra.*

*K. M.: Jest Pan jednym z największych polskich pisarzy XX wieku. Pana dzieło – jego rozpiętość, skala i siła – jest w literaturze polskiej XX wieku mało z czym porównywalne.*

*Cz. M.: Niech Pan to stonuje, tego rodzaju pochlebne epitety, niech Pan to pytanie sformułuje skromniej.*

*K. M.: Czyli wraca kwestia: autentyczność – gra literacka. To co powiedziałem, to jest prawda. Zmierzam w ten sposób do pytania: Pan stworzył w polszczyźnie nową koncepcję języka poetyckiego, nową dykcję bardzo wyrazistą i mocną – czy jest to wypracowane świadomie, ukształtowane laboratoryjnie, czy więcej zadziałały niewidzialne siły i bardziej był Pan zdany na intuicję, emocje, natchnienie?*

*Cz. M.: Na pewno nie należę do osób, które opierają się wyłącznie na intuicji. Także ucieczka od tego pytania w nieświadomość może byłaby pewnym wykrętem. Ale niewątpliwie to są rzeczy, które się dzieją w nas, nie bardzo ulegając naszej samowiedzy. Na czym polega sekret stylu danego pisarza, czy danego malarza? Gdzieś użyłem opowieści o tym, że kiedy wchodzimy na salę w muzeum i widzimy jakiś obraz, z daleka jeszcze mówimy: A to Corot. Albo: Chardin. Dla mnie to jest argument za nieśmiertelnością indywidualnej duszy dlatego, że to jest coś, czego nie można podrobić, to jest sekret tego stylu, który tylko danemu człowiekowi jest właściwy, tak jak linie papilarne na dłoni. Ale do jakiego stopnia dany człowiek może być świadomy tego, to ja nie jestem pewien, czy to jest możliwe. Weźmiemy na przykład obrazy Cézanne'a i od razu odróżniamy, że to jest Cézanne, że ten zestaw kolorów i kształtów może być tylko u Cézanne'a. Ale sam Cézanne przecież nie myślał o tym, żeby się różnić od innych – on był stale w walce z rzeczywistością, to znaczy on chciał namalować te trzy cytryny i to była dla niego kontrola. Być może wielkie odstępstwo sztuki dzisiejszej jest dlatego, że nie ma kontroli rzeczywistości, że nie ma kontroli w naturze*

– Cézanne używał słowa *natura*. Natura jest wielkim odnośnikiem, jest tą kontrolą. To znaczy malarz chce namalować jabłko, ale będzie na przykład dwudziestu malarzy, którzy też próbują namalować jabłko i każde jabłko będzie inne. Ale jabłko jest jakimś odnośnikiem, rozumie Pan.

*K. M.: Dzisiaj pisarze często kontaktują się z rzeczywistością za pomocą ekranów: jest ekran i na ekranie jabłko, a to przecież co innego niż jabłko w rękę, jego zapach, smak, soczystość. U Pana jest to charakterystyczne – czuły odbiór zmysłowej rzeczywistości.*

**Cz. M.:** Tak, ale ja zdaję sobie sprawę z tego, jak ubogim środkiem jest język. Stale mam poczucie, że właściwie moje dzieło jest z braku czegoś lepszego. (śmiech)

*K. M.: Z braku czegoś lepszego? Przecież nie ma „lepszego” środka od słowa, które najgłębiej przenika w strukturę rzeczywistości.*

**Cz. M.:** Tak, słowo, język są chyba najbardziej zdolne do takiego przenikania w porównaniu z pędzlem, z dłutem; a co do muzyki, to bardzo trudno powiedzieć. Jak Pan wie, symboliści uwielbiali Wagnera i strasznie zazdrościli muzyce możliwości schwywania tak zwanego elementu *ineffable*. Wydaje mi się, że nasza wrażliwość bardzo się zmieniła i nie wiem, czy my zazdrościmy muzyce – raczej nie.

*K. M.: Ale gdy słucha się Bacha...*

**Cz. M.:** A chociaż tak, to prawda – ja myślałem o współczesnej muzyce. Właściwie najwyższe szczyty w sztuce osiągnięto prawdopodobnie w muzyce. Ale wracamy do języka.

*K.M.: Tak, do sekretu języka. Jak to jest możliwe, że Pan istnieje w mocnym związku z Mickiewiczem, a jednocześnie jest Pan wyraziście sobą, osobno i mocno w języku istniejący?*

**Cz. M.:** Ja nie wiem, czy ja jestem w specjalnym związku z Mickiewiczem. Każdy poeta polski jest.

*K. M.: Pan powiedział, że zawdzięcza Mickiewiczowi każdą swoją linijkę.*

**Cz. M.:** Bo on zrobił z językiem polskim to maksimum, które obowiązuje. Jako największy poeta polski osiągnął pewien pułap, który jest przed każdym poetą. Nie myślę, żeby mój związek z Mickiewiczem był czymś wyjątkowym. Myślę, że każdy polski poeta tak jak oddycha, musi oddychać Mickiewiczowskim wierszem.

*K. M.: Ale Pana łączy z Mickiewiczem Litwa i Wilno. Tam jest inne światło, inny odbiór świata. Ponadto: rytm i zaśpiew tamtej mowy. Pan to zna od dziecka.*

**Cz. M.:** Hm, hm. (milczenie) Nie wiem, nie wiem. To są rzeczy dosyć tajemnicze.

*K. M.: Pan powiedział, że Biblia jest miarą i wzorem języka. Jaki jest wpływ Pana przekładów Biblii na Pana styl, język, sposób myślenia i obrazowania? Pan właściwie wskrzesił w polszczyźnie współczesnej wysoki, hieratyczny styl – to było bardzo trudne zadanie.*

**Cz. M.:** Tutaj dotyka Pan bardzo ciekawych rzeczy dlatego, że rzeczywiście wysoki, hieratyczny styl w języku polskim odczuwam jako potrzebę, ale nie istnienie, dlatego że nie było dobrze z tym w polszczyźnie. Pan mówi o Mickiewicz – oczywiście Mickiewicz to jest pułap, dlatego że on potrafił używać tego wysokiego języka, wysokiego stylu równocześnie z rubaszością *Pana Tadeusza* na przykład. Ale bardzo źle było z tym. Ja zresztą pisałem, że Mickiewicz dla mnie to jest ustawienie głosu w polszczyźnie, dlatego że następuje w okresie klasycyzmu uleczenie języka z barokowej rozlazłości – tutaj wpływy francuskie bardzo dobrze oddziaływały. Krasicki jest jednak tym doktorem języka w dużym stopniu, także Trembecki, czy na przykład Franciszek Karpiński, który był poetą bardzo wybitnym – on jeszcze jedną nogą tkwi w baroku, bardzo korzystnie dla siebie, ale już drugą nogą jest w klasycyzmie:

Bóg się rodzi, moc truchleje;  
Pan niebiosów obnażony;  
Ogień krzepnie, blask ciemnieje;  
Ma granice – nieskończony...

Same paradoksy, barokowe, ale jaka czystość rysunku. Trembecki, bardzo wybitny poeta, no i Mickiewicz – Mickiewicz to jest możliwość wysokiego stylu, wysokiego tonu w polskiej poezji. Ale potem to się bardzo źle z tym dzieje.

*K. M.: Dlatego powiedziałem o trudności zadania.*

**Cz. M.:** Bardzo silnie negatywnie reagowałem na Młodą Polskę, na ten wysoki ton Młodej Polski, bo to nie wychodziło. U Żeromskiego nie wychodzi, czy u Wyspiańskiego w dramatach – też mi się ten jego styl wysoki nie podoba.

*K. M.: Przyzna Pan, że styl wysoki musi być obecny w każdym języku, oczywiście dobrze nastrojony, a nie taki, który ciągle fałszuje.*

**Cz. M.:** No właśnie.

*K. M.: Moim zdaniem Pan w swoich przekładach biblijnych daje ten ton, przywraca go polszczyźnie.*

**Cz. M.:** Mam nadzieję, ale w jakim stopniu mi się to udało, ja nie wiem. W każdym razie szukałem możliwości hieratycznego stylu polszczyzny.

*K. M.: Czy Mickiewicz był w tych poszukiwaniach natchnieniem?*

**Cz. M.:** Nie, porównywałem różne przekłady Biblii. Napisałem o tym. Najbardziej mi się podobał *Psalterz puławski*. Bardzo na mnie wpłynęła Biblia protestancka tzw. *Biblia gdańska*, która była dostępna powszechnie za mojego dzieciństwa i wczesnej młodości.

*K. M.: Pan powiedział, że obcowanie z Biblią jest oczyszczające i ocalające, że jest to powrót do najświętszego źródła. Czy poezja może dziś być ocalająca?*

**Cz. M.:** Wydaje mi się, że słowo *ocalająca* można rozumieć jako ratunek przed rozpaczą, ponieważ świat dzisiejszy dla wielu ludzi jawi się jako rozpaczliwy. Napisałem niedawno, streszczając to, czego nauczyłem się od Jeanne Hersch, że właściwą postawą wobec istnienia jest szacunek – *respect*. Ponieważ dzisiaj jest tak dużo ironii, humoru, wszystko jest nimi, jeżeli nie wyglupianiem się, podgryzione, zastanawiam się, co się może stać ze stylem wysokim, hieratycznym. Beckett jest bardzo poważnym pisarzem, ale u niego wszelka wysokość, hieratyczność jest podgryziona drwiwą. Więc jakie będzie przeznaczenie stylu wysokiego, gdzie będzie ten styl wysoki, jeżeli sceny miłosne, które czytaliśmy u Żeromskiego, śmieszają? Gdzie jest ten dom dla stylu wysokiego? Kościół, tak?

*K. M.: Jest Biblia. Uważam, że literatura powinna także kultywować styl wysoki, hieratyczny, a nie wszystko rozmywać ironią, sarkazmem, drwiną czy wylgłupianiem się. Tak jak na klawiaturze są różne, skrajnie różne tony.*

*Cz. M.: Dam Panu przykład. Istnieje misterium Miquel Mañara Oskara Miłosza przetłumaczone przez Bronisławę Ostrowską. Młoda Polska, ale w tym akurat wypadku jej się udało przetłumaczyć w stylu wysokim to misterium, które nawet jeżeli ma miejsca, gdzie manieryzm młodopolski daje znać o sobie, to jesteśmy skłonni wybaczyć, ponieważ jest okupione pięknosciami i to jest do zaakceptowania. Tak samo w przekładzie Bronisławy Ostrowskiej wiersz Oskara Miłosza o księżniczce egipskiej *Karomama*, o statuetce w muzeum Luwru, jesteśmy skłonni wybaczyć rymy, ponieważ *Karomama* niesłychanie trudno zrymować – akcent jest na ostatniej sylabie. Kiedy ona rymuje: *Biedna ma*, zamiast: *moja*, to jesteśmy skłonni to wybaczyć. Oczywiście styl wysoki będzie zawsze potrzebny, żeby tłumaczyć dzieła napisane w stylu wysokim.*

*K. M.: A poezja współczesna? Pan powiedział: „Poetycka wyobraźnia ma w sobie jakby igłę magnetyczną, która zwraca się stale ku biegunowi sacrum... Każda prawdziwa poezja nosi w sobie religię i metafizykę.”*

*Cz. M.: Ale czy dzisiaj Pan zna poetów, którzy piszą takim stylem wysokim i nie są śmieszni? Na przykład: ceni się Różewicza za jego, jak napisałem, odchudzenie wiersza polskiego, natomiast dzisiaj nie bardzo widzę poetów, którzy odważają się pisać stylem wysokim. Ja sam robię to ze wstydem.*

*K. M.: Właśnie chciałem powiedzieć, że Pan jest przykładem takiego poety. I dzięki Bogu. Czy nie jest tak, że Pan w ten sposób wyprzedza czas? Oskar Miłosz – poeta i wizjoner – mówi: „Formą nowej poezji będzie zapewne forma Biblii – swobodnie płynąca proza wykuta w wersach.” Pan szuka formy bardziej pojemnej, gdyż Pan się dusi w tym, co jest, w ograniczaniu wszystkiego do jednej tonacji...*

*Cz. M.: Na pewno. Ale niech Pan weźmie pod uwagę, że świadomie gotów jestem płacić cenę, ponieważ dzisiaj wysoki styl jest wykpiwany – jako nabzdyczony. To jest prawda?*

*K. M.: Tak, ale czy Pan mógłby inaczej postępować, jeżeli jako chyba jedyny współczesny poeta polski stara się niwelować ten brak. Potwierdza Pan za*

Oskarem Miłoszem, że postępuje erozja wyobraźni religijnej, dramat zostaje zastąpiony obojętnością, a człowiek wrzucony w rodzaj infernalnej pustki. Oskar Miłosz mówi: „Sztuka, która nie służy religii i duchowi, jest bez sensu.” i mówi, że taka sztuka napelnia go „dreszczem niesamowitej odrazy”. Wszystko co jest największe i najważniejsze w poezji europejskiej: Dante, Petrarca, Goethe, Milton, T.S.Eliot – krąży wokół tematu: Upadek i Zbawienie; tak jest także w poezji polskiej od jej początku. Pan w „Przedmowie” do „Storge” napisał: „Jedynie możliwa oryginalność polskiej literatury zależeć będzie od przemyślenia podstawowych kwestii religijnych.” Jak realizować te cele bez użycia stylu wysokiego, ciągle robiąc małpie miny, ironizując, czy wszystko obracając w perzynę humoru?

**Cz. M.:** Wymieniliśmy nazwisko Becketta. Beckett jest niewątpliwie pisarzem bardzo poważnym i zmagającym się z problemami religijnymi, ale on nie używa wysokiego stylu, on używa stylu ironicznego.

**K. M.:** U niego jest taka dziwna mieszanina: styl wysoki zmieszany z humorem.

**Cz. M.:** On jest pisarzem bardzo nam współczesnym przez tą właśnie mieszaninę, ale raczej to jest po stronie makabrycznego humoru.

**K. M.:** Pisarz w języku angielskim może sobie pozwolić na wiele więcej aniżeli pisarz polski, który jest w innej sytuacji.

**Cz. M.:** Faktem jest, że poezja polska dzisiaj jest agnostyczna, albo ateistyczna w kraju bardzo katolickim. Samo uświadomienie sobie kryzysu, tej erozji wyobraźni religijnej, o której mówię, dowodziłoby już, że w kraju tak katolickim jak Polska istnieje ta problematyka. Odnoszę wrażenie, że nie istnieje. Jak to się dzieje, że w takim kraju jak Polska nie tylko problematyka religijna, ale także problematyka obyczajowo-moralna jest nieobecna? Przecież odbywa się olbrzymia przemiana obyczajów, zwłaszcza jeśli chodzi o młodzież – obyczaje seksualne są zmienione, są zupełnie inne niż kilka dziesiątków lat temu. To, zdawałoby się, zasługuje na uwagę. Na przykład w powieściach: gdzie są powieści o księżach?

**K. M.:** Przed wojną Andrzejewski napisał „Ład serca”.

**Cz. M.:** To nieprawdziwe, sztuczne, to było pod wpływem Bernanosa.

*K. M.: Nie ma powieści o księżach, ale jest papież Jan Paweł II i jego książki i jest niesamowita popularność poezji księdza Jana Twardowskiego, poezji stricte religijnej, wśród młodych czytelników.*

*Cz. M.: Ja myślę, że co do papieża, to bardzo lubią go słuchać, ale nie po to, żeby postępować według jego wskazówek. To jest ten fenomen włoski. Włosi są bardzo katolicycy w znacznym swoim procencie, ale absolutnie nie traktują poważnie jakichś zakazów, na przykład co do seksu. To jest wzięcie religii *cum grano salis*. Może amerykańscy katolicycy są jakoś poważniejsi w tym sensie, że oni chcą postępować tak, jak religia im wskazuje – to znaczy chcą dostosować przepisy religii do swojego postępowania. (śmiech)*

*K. M.: Ale to jest humorystyczne.*

*Cz. M.: Nie, wcale nie humorystyczne.*

*K. M.: Jakże nie? Jeżeli ja do siebie dostosowuję nakazy, które przekazuje Biblia, to jestem postacią groteskową i śmieszną.*

*Cz. M.: Nie, jeżeli chodzi o obyczajowość. Na przykład jeżeli Kościół zakazuje stosowania środków antykoncepcyjnych, to oni stosując środki antykoncepcyjne, nie chcą być w sprzeczności z nauką Kościoła, tylko uważają, że to jest głupi przepis, że to nie może być na dzisiejsze czasy, zresztą z powodu AIDS i tak dalej, więc jawnie buntują się i mówią, że Kościół jest tutaj staroświecki i to niemożliwe jest praktycznie do zastosowania.*

*K. M.: Dlaczego więc papież i Kościół nie wycofają się z tego, skoro świat tak chce?*

*Cz. M.: Raz się wycofał – była Komisja papieska do tych spraw za papieża Pawła VI i Komisja papieska zdecydowała, że celem stosunku płciowego nie jest prokreacja, że to nie jest jedyny cel, wobec tego stosowanie środków antykoncepcyjnych nie sprzeciwia się wierze. I Paweł VI zawetował to i od tego czasu nadal obowiązuje ten zakaz.*

*K. M.: I Jan Paweł II nie wycofał się.*

*Cz. M.: Nie. Nie wycofał się.*

*K. M.: Stoi na straży doktryny.*



Cz. M.: Naturalnie – uważa, że przecięcie więzi pomiędzy aktem seksualnym a rodzeniem dzieci jest niebezpieczne społecznie. Nie wiem, na ile to dotyczy dogmatu, a na ile poglądu na społeczeństwo – trudno powiedzieć. Napisałem odę na osiemdziesięciolecie papieża – niewątpliwie jest to oda wynikająca z mojego bardzo osobistego stosunku do tej postaci, a równocześnie w tejże odzie powiedziałem o zależności myśli papieża od polskiego romantyzmu, przede wszystkim od Norwida. Dla mnie to jest pewnego rodzaju wewnętrzna sprzeczność, ponieważ zawsze miałem sceptyczny sąd co do ducha romantyzmu polskiego, natomiast tutaj chwale tego człowieka, który jest dzieckiem romantyzmu polskiego i prawdopodobnie zaklinował już na następne sto lat Polaków w romantyzmie historiozoficznym. Historiozofia tego papieża jest czysto romantyczna, jeżeli nie mesjaniczna. Ale tę odę można tak interpretować, że to jest uznanie wielkości polskiego romantyzmu, bo bycie przeciwko i uznanie wielkości nie kłócą się. Ta oda jest w pewnym sensie odą na cześć polskiego romantyzmu, historiozofii polskiego romantyzmu, mimo że czuje się w niej wątpliwości sceptyka, bo tam jest taki wers: *Bo nie dosyć chcieć wierzyć, żeby móc uwierzyć.*

Mówię poza tym o tych młodych, którzy słuchają papieża i garną się do niego, co jest faktem. To dla mnie nie wyjaśniona sprawa, do jakiego stopnia oni słuchają posłania polskiego romantyzmu. Nie mówię tu ściśle o religii – mówię o posłaniu polskiego romantyzmu, którego wykładnikiem jest polski papież.

K. M.: *To świadczy o ogromnej sile polskiego romantyzmu: bez Mickiewicza nie można mówić o poezji polskiej, bez romantyzmu – o Ojcu Świętym. Jaka jest alternatywa?*

Cz. M.: Jestem tutaj w sprzeczności z samym sobą, dlatego że nie uznaję wielu historiozoficznych pomysłów polskiego romantyzmu, a tutaj on zaowocował we wpływie na papieża tym właśnie. Co prawda na szczęście nie obłąkanym mesjanizmem Mickiewicza, tylko odmianą inną – w wydaniu Norwida. Ale można być wielkim zwolennikiem romantyzmu językowo, a być przeciwnikiem w sensie ideowym.

K. M.: *Jest wielka sprzeczność w Panu: Pan kocha Mickiewicza, ale nie całego.*

Cz. M.: Nie całego. Tak. Mam zamykać oczy na to, co się działo za Towiańskiego i towiańszczyznę?

*K. M.: To był jakiś obłęd?*

Cz. M.: Ale on był połączony z innymi rzeczami, tak że bardzo trudno jest odciąć tak nożyczkami, to nie da się. Dlaczego Pan mówi, że jak się kogoś kocha, no to całego musi się kochać? Przecież można jakiegoś poetę bardzo kochać i cenić, ale to nie znaczy, że kiedy się upije, każde jego słowo chłonać. Towiańszczyzna Mickiewicza to nie była jakaś chorobliwa narośl, nie można o niej mówić bez połączenia z całą myślą polską, ówczesną i przyszłą.

*K. M.: Pana stosunek do Mickiewicza jest bardzo skomplikowany.*

Cz. M.: Na pewno.

*K. M.: A co do księdza Jana Twardowskiego?*

Cz. M.: Ksiądz Twardowski jest dla mnie dosyć enigmatyczny w tym sensie, że to jest pochwała dobrego świata stworzonego przez Pana Boga. A ja wcale nie jestem pewien, że ten świat Panu Bogu się udał. Poezja Twardowskiego jest poezją dziecinną w tym sensie, że zło w tym świecie nie ma władzy. Gdzie jest ten diabeł?

*K. M.: Czyli, że jest wśród młodych ludzi potrzeba dobrego, jasnego świata, gdy oni ciągle są informowani o wojnach, okrucieństwach, morderstwach.*

Cz. M.: Tak, przecież to są ci sami, którzy patrzą na telewizję.

*K. M.: Czyli, że odreagowują telewizję, czytając wiersze księdza Jana Twardowskiego?*

Cz. M.: Tak. Może to jest to samo, co w czasie okupacji, kiedy napisałem *Świat*.

*K. M.: Ale we współczesnej poezji polskiej dominuje nurt agnostyczny. Jak Pan ocenia współczesną poezję polską?*

Cz. M.: Co mnie naprawdę obchodzi? Mnie obchodzi gospodarstwo polskiej poezji. Gotów jestem wszystko zaakceptować, jeżeli to będzie – użyję tutaj słowa angielskiego – *genuine*, to znaczy – jeżeli to będzie wynikało z własnych potrzeb poety, a nie będzie imitacją poezji zagranicznej. Jeżeli powstało

pojęcie polskiej szkoły poezji w Ameryce, to jest dowód, że pewien okres poezji polskiej wydał poetów czerpiących ze swoich zasobów: swoich indywidualnych i kraju, który ich wydał. Od tego należy odróżnić poezję pisaną dzisiaj – wielu młodych poetów pisze imitując. Otóż oryginalność tej szkoły polskiej, do której należą: Herbert, Maj, Miłosz, Różewicz, Szymborska, Żagajewski polega na tym, że oni wszyscy zmagali się ze szczególną problematyką historyczną, to znaczy sytuacją w Polsce, poczynając od tragedii okupacji niemieckiej, tragedii powstania warszawskiego, zagłady Żydów, a potem nastąpienia komunizmu i tych wszystkich kolejnych perturbacji, które działy się w PRL-u. Oni w konfrontacji z tym wypracowali swój własny styl. Można powiedzieć, że poezja Różewicza pojawia się wtedy, kiedy na zachodzie jest egzystencjalna rozpacz. Ale rozpacz Różewicza jest zupełnie inna, dlatego że nie jest definiowana przez modę literacką, ale przez rzeczywiste przeżycia wojenne „zarazone śmiercią”. Tak powstała oryginalność polskiej poezji. Szymborska, która jest poetką bardzo wykwintną i zdawałoby się nie mającą nic wspólnego z tymi wstrząsami historycznymi, ale w rzeczywistości tego rodzaju jak jej poezja mogła powstać tylko przez specyficzną destylację doświadczeń historycznych, które są gdzieś w podtekście. I o to mi chodzi, o tego rodzaju autentyczność polskiej poezji. To jednakże zajęło wiele czasu, żeby to mogło nastąpić, ponieważ poezja tego pokolenia poetów, którzy zginęli w czasie wojny: Baczyński, czy Gajcy, Stroiński, Trzebiński – to była poezja jeszcze romantyczna, to znaczy polegająca na powrocie do romantyzmu, szczególnie do romantyzmu Słowackiego. Natomiast po wojnie dopiero zaczyna się ta jakaś destylacja. Różewicz był tutaj bardzo ważnym ogniwem. Ale Świrszczyńska zdaje się dopiero trzydzieści lat po powstaniu warszawskim ogłosiła tomik *Budowałam barykadę*. Świrszczyńska jest też właśnie przedstawicielką tej destylacji. Nawet jej czysto erotyczne wiersze – moim zdaniem – mogły być napisane tylko przez kobietę, która stała godzinę, czekając na rozstrzelanie.

*K. M.: A Białoszewski?*

*Cz. M.:* To jest bardzo głębokie przeoranie, także językowo, ale Białoszewski niestety nie jest przetłumaczalny na żaden język – to jest, jak Pan wie, użycie języka najbardziej codziennego.

*K. M.:* Ważne jest zmaganie się najwybitniejszych polskich poetów współczesnych z problematyką historyczną, czy polityczną, ale czyż nie jest tak, że poezja na przestrzeni wieków odrzuca to, co jest tworzynem historyczno-politycznym, a zostawia to, co jest tworzynem metafizycznym, co odnosi się do

*Tajemnicy, a tam dociera już niewiele. To co jest, co było historyczne i polityczne zużywa się szybko, co obserwujemy obecnie. Jest takie falowanie. Poezja destyluje i zostawia to co najcenniejsze, czyli to co dotyczy najgłębszej istoty życia, rzeczy ostatecznych; jest to także kwestia języka.*

Cz. M.: Nigdy nie wiadomo, co zostaje po naszej twórczości, bo jak powiedział Norwid – nie lubię cytowania Norwida, ale w tym wypadku trzeba powiedzieć: „Ni swoimi wstępuje drzwiami, / Lecz które jemu odemknęto –”. Rzeczywiście nie wiadomo jak. Znamy bardzo dużo wierszy pisanych pod wpływem tej potrzeby destylacji, które z pozoru nie mają bezpośredniego związku z wydarzeniami historycznymi tak jak erotyczne wiersze Świrszczyńskiej, tak jak ironiczne wiersze Szymborskiej, albo niektóre wiersze Różewicza, ale prawdopodobnie wśród tych utworów jest dużo takich, które są trwałe. Bo o co właściwie chodzi? Chodzi o wyeliminowanie głupot, głupstw, którym ludzie są normalnie bardzo poddani. Użyłem przykładu Świrszczyńskiej, która stała godzinę pod murem, czekając na rozstrzelanie – to wprowadza jakąś potrzebę przyzwoitości, przywrócenie właściwych proporcji.

*K. M.: Jakich proporcji?*

Cz. M.: Proporcji takich, że liryki Tetmajera pod tym wpływem tracą. Wszystko się sprowadza – cała literatura się sprowadza do rzeczywistości, do pogoni za rzeczywistością, niekiedy pisaną przez duże R, niekiedy, a może to jest to samo; Oskar Miłosz mówił o tym, że poezja jest poszukiwaniem archetypu języka – a może rzeczywiście ja ceniąc Mickiewicza, szukam archetypu języka.

*K. M.: Najważniejszymi dla mnie pisarzami XX wieku są Samuel Beckett i Czesław Miłosz. Jak by Pan wyjaśnił ten dla wielu dziwny wybór?*

Cz. M.: Ja bym się zgodził z wybitnością Becketta, mniej z wybitnością Miłosza. Beckett jest pisarzem XX wieku i on jest więcej w harmonii z tym wiekiem niż Miłosz. Ale ja napisałem jeden wiersz, który pasuje do Becketta: „I tylko w zaprzeczeniu dom swój miała świętość.”

*K. M.: To jest jakby synteza dzieła Becketta.*

Cz. M.: Tak – więc mnie się wydaje, że istnieje więź pomiędzy mną i Beckettem, ale *sacrum* to w ogóle dzisiaj jest problem. *Sacrum* pojawia się tylko przez nieobecność, przez brak.

*K. M.: To Beckettowskie Nic, które tak jak u mistyków przemienia się w Coś.*

*Cz. M.:* To jest tak jak w wierszu Różewicza, że najlepszym opisem chleba jest opis głodu. Jest dzisiaj bardzo szczególny stosunek do *sacrum*: niewymawialność imienia Pana Boga. Jak ktoś wymawia imię Pana Boga, to już źle.

*K. M.: Dla kogo źle?*

*Cz. M.:* Dla pisarza. I to nie tylko chodzi o to, że traci estymę swoich współbraci, bo jest religijny, ale źle dla jego dzieła. Przecież najbardziej znamienne jest, że malarstwo religijne jest dzisiaj przeważnie kiczem.

*K. M.: Ale w przeszłości największe dzieła odnosiły się do Boga.*

*Cz. M.:* No właśnie. Kiedyś to było najwyższe i najbardziej płodne artystycznie, a dzisiaj Beckett jest właśnie przykładem pisarza religijnego, który może mówić tylko przez zaprzeczenie. To jakoś się łączy z wielkim kryzysem pojęcia Boga osobowego. Mówi się o transcendencji, tak jak moja nieżyjąca przyjaciółka Jeanne Hersch, która była niewątpliwie osobą bardzo religijną z natury i ze swojego pochodzenia żydowskiego i socjalistycznego. Na pewno jej ojciec, który był socjalistą z Bundu, który nie wymawiał imienia Pana Boga, był bardzo pobożnym człowiekiem. Ona też nie wymawiała imienia Pana Boga – mówiła o transcendencji.

*K. M.: Jeanne Hersch nie była pisarzem.*

*Cz. M.:* Była filozofem.

*K. M.: Jacy pisarze XX wieku byli dla pana najważniejsi?*

*Cz. M.:* Nie umiem tego zrobić. W ciągu życia przechodzi się dużą zmianę i ewolucję, człowiek się łapie jednych, potem innych, i tak dalej, trudno to odtworzyć, jacy pisarze począwszy od moich lat pacholęcych na mnie oddziałali. Niewątpliwie pierwszym, który tak oddziałał był William James – *Doświadczenia religijne*, jego stosunek do religii. Przeszedłem przez wszystkie lektury, które przechodzi uczeń szkoły w Polsce: Rodziewiczówna, Żeromski, przeważnie zła literatura. To byli główni pisarze w szkole, których się czytało, niekoniecznie z powodu tego, że nas zmuszali. Jack London oczywiście. Potem przyszedł Iwaszkiewicz.

*K. M.: Ale kto Pana zdaniem najdalej zaszedł na drodze zbierania danych o rzeczach ostatecznych w kondycji ludzkiej i najbardziej wypracował po temu swój język?*

*Cz. M.:* To jest sprawa właśnie tego, że język dzisiejszy nie nadaje się do chwytania tych spraw. „I tylko w zaprzeczeniu dom swój miała świętość.” Być może pisarze, którzy im bardziej są ateistyczni, tym bardziej są pobożni, na zasadzie tego, że niesłuchanie trudno jest mówić o rzeczach, które się szanuje. Jest na przykład książka Różewicza – *Matka odchodzi*, która jest najbardziej rozpaczliwą książką, dlatego że jest to książka ateisty, który patrzy, jak umiera droga jemu istota i nie ma dla niej żadnej pociechy. Im bardziej to jest rozdzierające, tym bardziej jest prawdziwe. Książki Camusa, w tym wypadku bardzo daleko idące.

*K. M.: A tacy pisarze jak Marcel Proust, Tomasz Mann, Franz Kafka?*

*Cz. M.:* Mnie się zdaje, że Proust jest tutaj bardzo istotny dlatego, że u Prousta jest to typowe zastąpienie religii przez sztukę. Tomasz Mann to jest ta sama formacja kulturalna, jeżeli chodzi o epokę. Kafka – nie wiem. Na przykład Kroński twierdził, że uniwersalizowanie Kafki jest błędem, ponieważ Kafka był żydowskim inteligentem, który przeczuwał zagładę. I to właściwie jest – według Krońskiego – istota Kafki, tak że nie należy szukać u niego egzystencjalnej sytuacji człowieka tylko specyficzną problematykę żydowską.

*K. M.: Żydowską, czyli religijną.*

*Cz. M.:* Tak, ale Kroński chciał to sprowadzić na ziemię i rozpatrywał historycznie, twierdząc, że Kafka był przede wszystkim pisarzem nadciągającej grozy. A kto jeszcze sięgał daleko?

*K. M.: Thomas Stearns Eliot.*

*Cz. M.:* Ja nie jestem bez zastrzeżeń czcicielem Eliota. On trochę na mnie wpłynął, ale nie tak znowu bardzo. Mnie się u Eliota nie podoba taki pastorski ton jego późnej twórczości. *Ziemia jałowa* to jest utwór katastroficzny, apokaliptyczny. Kiedy ja i moi koledzy tworzyliśmy tzw. szkołę katastroficzną, nie znaliśmy Eliota zupełnie. W *Traktacie poetyckim* w ostatniej IV części pod tytułem *Natura* są akcenty polemiki z Eliotem.

*K. M.: Jak Pan widzi i ocenia współczesną prozę polską? Czy jest dzisiaj „silna proza” i co to znaczy: „silna proza” w polszczyźnie dzisiaj, po dokonaniach Prousta, Kafki, Joyce’a czy Becketta – właśnie w ich kontekście, bo jaki jest sens odwoływania się do pisanej na inne czasy wielkiej prozy XIX wieku?*

*Cz. M.: Mnie się wydaje, że te wszystkie zapatrzenia, przewroty, które się odbywały na zachodzie, są bardzo niezdrowe dla polskiej prozy – chleba mieć, a potem ciastka. A chleba w prozie polskiej nie ma.*

*K. M.: A na przykład Wacław Berent.*

*Cz. M.: Berent był bardzo wybitnym pisarzem i myśmy kiedyś z Ważykiem zastanawiali się, jakby wyglądał w przekładzie na polski. (śmiech) Na przykład *Oziminę* przetłumaczyć na polski chcieliśmy. To jest nieszczęście manieryzmu Młodej Polski, która zepsuła całkowicie wielki umysł Berenta, zdolny tworzyć bardzo dobrą prozę.*

*K. M.: Także zepsuła Żeromskiego.*

*Cz. M.: Tak, wątpię, czy dzisiaj można czytać Żeromskiego. Może w pewnym stopniu *Przedwiośnie*. Ale Berent w starszym wieku, kiedy pisał na wpół fikcyjne reportaże historyczne, to było bardzo dobre – Aleksander Wat, który świetnie znał się na literaturze, mówił o nich z wielką atencją.*

*K. M.: Dzisiaj Berent jest nieobecny.*

*Cz. M.: Zupełnie nieobecny.*

*K. M.: Co więc znaczy „silna proza” w dzisiejszym, nowoczesnym zrewolucjonizowanym przez odkrycia naukowe świecie?*

*Cz. M.: Mnie się wydaje, że istnieje pewna konwencja prozy, która się opiera na opowiadaniu interesujących rzeczy czytelnikowi. Pan mówi, że tak daleko zaszliśmy dzisiaj w naukowych odkryciach, że nastąpiła zmiana perspektywy świata i człowieka, no dobrze, ale proza ma swoje prawa niezależnie od tych zmian. Najlepszym dowodem jest *Harry Potter* – to są milionowe nakłady. Nie było takiego rekordu wydawniczego jak te przygody jedenastoletniego chłopca, który jest czarodziejem. (śmiech) Autorką jest Angielka – pani Rowling. Ale żeby tak pisać, to trzeba normalnie używać języka, żeby coś cie-*

kawego opowiedzieć. Widzi Pan, nie uratuje ludzi, którzy chcą artystyczną prozę uprawiać, ale czytelnik po dwóch stronach rzuca to, bo to go nudzi. Cała literatura popularna, sensacyjna operuje zwyczajną prozą opisową.

*K. M.: No dobrze, ale są tacy, których Joyce nudzi i są jego fanatyczni wielbiciel, którzy mówią, że Joyce to jest w prozie rewolucja.*

*Cz. M.:* Ja wiem, że rewolucja, ale mnie to nudzi. Czytałem *Ulissesa*, ale mnie to nudzi. Istnieją prawa prozy. Najlepsza proza polska pisana w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci to jest Józef Mackiewicz. Taka proza dokładnie jak rosyjska proza XIX wieku, bo on opowiada ciekawe rzeczy i to jest istotne. A jak widzę maszynopis powieści, który się zaczyna w pierwszej osobie, zaczynają się przygody wewnętrzne, to odkładam. Słabość polskiej prozy jest bardzo duża. Poezja to jest zupełnie co innego, ale z prozą polską jest niedobrze. Czytałem parę opowiadań rosyjskich, bardzo potężnych, teraz pisanych w ciągu ostatniej dekady. Rosjanie mają tradycje wielkiej prozy, a Polska nie ma, bo to są te wielkie nazwiska swojego czasu, które nie wytrzymują próby czasu. Rodziewiczówna była bardzo czytana, jak ja byłem w szkole, była jedną ze szczytowych pisarek i po wojnie tak samo – w PRL-u wszyscy czytali Rodziewiczówną, to niesłychanie trwały wpływ.

*K. M.: Ale artystycznie to nie jest wybitna proza.*

*Cz. M.:* Nie, ale jeżeli ktoś umie prowadzić interesująco narrację, to już bardzo dużo.

*K. M.: Proza Iwaszkiewicza?*

*Cz. M.:* Iwaszkiewicza nie uważam za prozaika. Bardzo lubiłem jego powieść pt. *Księżyc wschodzi* i jego wczesne prozy, bardzo dziwaczne, jak *Zenobia Palmura* itd. Ale później nie lubiłem, nawet tych opowiadań, chociaż *Panny z Wilka* i *Brzezina* to są chyba dobre opowiadania. Ale powieści Iwaszkiewicza... nie mogę czytać *Sławy i chwały*, mnie to nudzi.

*K. M.: A Andrzejewski?*

*Cz. M.:* *Miazga* – nie mogę tego czytać. Ja mam przeszkodę, jak Pan wie, w czytaniu z powodu oczu: im dłuższa powieść tym mniej dla mnie dostępna i to muszę tutaj zastrzec. Jerzy był moim przyjacielem i chciałbym być dobrego zdania o nim; pamiętam, jak napisał opowiadanie *Przed*



sądem, jedno z pierwszych za okupacji, drukowaliśmy je razem w takim podziemnym piśmie, które on wymyślił – było to pismo przepisywane przez panienki dla kompletów.

K. M.: *Proza Gombrowicza.*

Cz. M.: Czytałem *Ferdydurke* z wielkim zachwytem. Zastosuję tu kryterium czytelności i niewątpliwie te kilka powieści Gombrowicza – właściwie cztery i opowiadania... Gombrowicz był dobrym pisarzem, jeżeli chodzi o język, o to, co się działo. Bo jeżeli mówimy o kryterium prozy, to z jednej strony – umiejętność fabuły, opowiadania, z drugiej strony – jakiś tajemniczy czynnik, który sprawia, że chwytną tę prozę, że ona budzi w nas jakiś rezonans. Przykładem jest *Lalka* Prusa. Tam to zachodzi, sama materia języka na nas tak działa. Znacząca jest ta dobra polszczyzna.

K. M.: *I Sienkiewicz.*

Cz. M.: Tak, Prus i Sienkiewicz.

K. M.: *A Orzeszkowa?*

Cz. M.: Nie, przy całym moim szacunku i sympatii do Orzeszkowej, trzeba się jednak trochę zmuszać do czytania Orzeszkowej, bo jest nudna. (śmiej) Natomiast Sienkiewicz porywa jako narrator. Ale dlaczego pisał równocześnie te powieści z życia współczesnego jak *Rodzina Polanieckich*, jak *Bez dogmatu*? *Rodzina Polanieckich* jest trudna do strawienia z powodów ideologicznych i język gorszy, nie działa. A *Bez dogmatu* jest mniej więcej na tym samym poziomie co *Le disciple* Bourgeta. To są przegrane, Sienkiewicza też. Ale tutaj Gombrowicz w tej lidze językowo wygrywa – w lidze prozaików opierających się na silnym nurcie języka polskiego, począwszy od *Pamiętników* Paska.

K. M.: *W tej lidze są Sienkiewicz i Prus. I Orzeszkowa?*

Cz. M.: Orzeszkowa nie bardzo. Sienkiewicz i Prus.

K. M.: *Żeromskiego też nie ma?*

Cz. M.: Żeromskiego tu nie ma; może, jak powiedziałem, *Przedwiosnie* częściowo. Czy Dąbrowska tutaj należy? Może *Ludzie stamtąd* – jej

pierwszy zbiór opowiadań. Kiedy myślę o *Nocach i dniach*, to myślę o kronice życia polskiego w okresie końca XIX wieku i początku XX wieku, ale znacznie mniej jako o prozie. A w prozie jeszcze są znakomici eseiści jak Jerzy Stempowski.

*K. M.: A Nałkowska nie mieści się?*

*Cz. M.:* Napisałem, że Nałkowska pisała ten *Dziennik* w czasie wojny i na szczęście dla siebie nie miała czasu na pisanie powieści (śmiech), bo musiała pracować w sklepie tytoniowym. Ale niektóre części jej *Dziennika* są przejmujące.

*K. M.:* „*Dzienniki*” *Dąbrowskiej* mają także przejmujące fragmenty.

*Cz. M.:* Ale mają tylko wartość historyczną i obyczajową, a nie samą w sobie. Intelktualnie to na przykład *dzienniki* Zygmunta Mycielskiego są o wiele ciekawsze.

*K. M.:* *Hanna Malewska*.

*Cz. M.:* Honorowe osiągnięcie.

*K. M.:* *A Bruno Schultz?*

*Cz. M.:* To taka boczna droga – nie można wszystkiego szosą rozstrzygać. Ale główna droga to jest opowiadać coś interesującego. Schulz to jest fermentacja języka.

*K. M.:* *Podobnie Białoszewski: też boczna droga i też fermentacja języka.*

*Cz. M.:* *Pamiętnik z powstania warszawskiego* jest bardzo dużym osiągnięciem, które stawiam na równi z *Budowałam barykadę* *Anny Świrszczyńskiej*.

*K. M.:* *Czy i jak sny wiążą się z rzeczywistością i z twórczością? Czy sny mają jakiś wpływ na życie człowieka?*

*Cz. M.:* Na pewno mają, tylko jaki wpływ, to ja nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Jak Pan wie, w snach mieszają się najpoważniejsze intuicje i najbardziej głupie szczegóły życia codziennego i ta dziwna miesza-

nina to są te sny i wyluskać z tego co jest istotne, jest bardzo trudno. Ponieważ nie jestem zwolennikiem Freuda i psychoanalizy, więc nie wiem i nie mogę zabierać głosu na ten temat.

*K. M.: Czy w Pana życiu sny odgrywają ważną rolę?*

Cz. M.: Ponieważ tyle napisano w XX wieku o snach i tak to jakoś odpowiada umysłowi XX wieku grzebanie się w snach, to ja raczej pasuję, bo nigdy nie byłem poddawany psychoanalizie – jak powiedziałem gdzieś humorystycznie: nie mam wnętrza. (śmiech)

*K. M.: Rodzaj medium: „Przez ciebie płynie strumień piękności...”*

Cz. M.: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś piękną.” (śmiech)

*K. M.: Jakie są zdaniem Pana najważniejsze znaki czasu w dobiegających do końca XX wieku i drugim tysiącleciu: jakie zagrożenia, jakie nadzieje, co najważniejszego do zrobienia?*

Cz. M.: Może bardzo się mylę, ale mnie się zdaje, że żeby coś powiedzieć sensownego o tym, to trzeba by patrzeć na najmłodsze pokolenie dzisiaj zaczynające pisać, myśleć, tworzyć. Jestem chyba za stary, żeby się pochylać nad tą runią najmłodszą. W tej chwili XXI wiek ukazuje się nam jako zupełna enigma, tylko przypomnijmy sam początek XX wieku i spójrzmy z tamtej perspektywy człowieka żyjącego właśnie wtedy, kiedy ukazało się prorocze *Jądro ciemności* Josepha Conrada. Spójrzmy, że wszystko prawie co zdarzyło się w XX wieku, dla niego było niemożliwe, tzn. wydawało się niemożliwe, całkowicie poza jego zasięgiem. XX wiek był takim sprzężeniem sił demonicznych, że niekoniecznie musi się powtórzyć, to stulecie, tego rodzaju straszliwe rzeczy, które się zdarzyły. Kiedy się myśli o tym, co się stało w XX wieku, to groza ogarnia. Zdarzyły się też rzeczy zachwycające – teoria względności Einsteina, teoria kwantów, olbrzymie postępy medycyny. Wcale nie mówię, że wiek XIX był taki idylliczny, wcale nie jestem wielkim zwolennikiem XIX wieku. W XIX wieku zdarzyły się też rzeczy takie jak eksterminacja Indian amerykańskich, jak wielka, krwawa wojna domowa amerykańska, bardziej krwawa niż wojny napoleońskie; także XIX wiek to jest rewolucja przemysłowa, która była odpowiednikiem okropności XX wieku w pewnym sensie, no i wojna, która kończy wiek XIX – I wojna

światowa, masakry wojny okopowej. Ale co się zdarzy, to byłoby niesłychanie nierozsądnie coś powiedzieć. Nie mamy znaków – nie ma jeszcze znaków. Może potoczyć się tak albo inaczej.

*K. M.: André Malraux powiedział, że wiek XXI albo będzie religijny albo nie będzie go wcale.*

**Cz. M.:** Ja nie wiem, bo bardzo trudno jest powiedzieć, dlatego że – jak Pan wie – religia jest zjawiskiem społecznym, to znaczy bardzo trudno jest oddzielić duchowość w religii od masowego charakteru takich zjawisk jak pielgrzymki, jak przywiązanie obyczajowe, czy narodowe. O tym już zresztą mówiliśmy, że dla mnie katolicyzm polski jest wysoce tajemniczy – robi wrażenie, że jest antymetafizyczny, to znaczy, że przede wszystkim opiera się na obyczaju. Polski papież jest romantykiem – to jest droga kolektywna, to znaczy mesjanizm i historiozofia. Papież jest uczniem Norwida, a to trochę lepiej niż „Chrystus narodów”, bo to jest jakiś bardziej dojrzały katolicyzm. Ale to jest romantyzm wszystko. Można powiedzieć: *Słowianie, my lubim sielanki.* (śmiech)

*K. M.: A diabeł będzie obecny także w XXI wieku.*

**Cz. M.:** Na pewno. Diabeł polski przybierał kostium narodowca – to był ten diabeł antysemityzmu, obrony cnót, nie chcę być demagogiem, ale także Niepokalanowa i mordowania prezydentów, jak Narutowicza. Naturalnie jest ten substrat w Polsce w tym kierunku. A jeżeli chodzi o Rosję, to widzę, ponieważ wykładałem Dostojewskiego, jeżeli się czyta pisma publicystyczne Dostojewskiego, to tam jest bardzo dużo materiału, który może być przechwycony i zużyty przez rosyjski bolszewikofaszyzm. Myślę o tym, że to jest słowiańska religijność i tu są podobieństwa pomiędzy Polską i Rosją – to są historiozoficzne rozmyślenia. Potwierdzam, co kiedyś mówiłem, że religia jest kluczem do tego, czym będą Polacy jako zbiorowość, w jakim kierunku to się potoczy. Jestem bardzo zadowolony z tego, że współpracuję z „Tygodnikiem Powszechnym”, ze „Znakiem”, bo to są jedyne grupy, które – chwała Bogu – działają, ale są bojkotowane przez większość kleru i większość Kościoła. Osobiście jestem rad, że występowałem zawsze przeciwko narodowemu katolicyzmowi, bo to jest beznadziejna, ślepa ulica i pułapka.

*K. M.: Czyli – na zakończenie – jaka jest nadzieja?*

Cz. M.: Myślę, że powinniśmy jednak mieć poczucie szczęśliwego obrotu rzeczy po tym XX wieku, bo jednakże żyliśmy – w każdym razie ja żyłem – jako świadek wzrostu i upadku dwóch totalizmów. To jest jednak bardzo dużo. Trzeba zastanowić się nad niemal opatrnościowym rządzeniem, że te dwa diabelskie systemy upadły i trudno tutaj nie mieć sympatii do papieża, który jako młody student w Krakowie nie wierzył, że te systemy mogą przetrwać: jako młody student w Krakowie i jako papież później, nie wierzył, że ten totalizm drugi przetrwa. To bardzo dużo. To jest nadzieja.

Kraków, lipiec 2000.





*Jerzy Andrzejewski*

Dziennik paryski (3)

niedziela, dn. 7 II

Ania Posner leci do Warszawy dopiero w czwartek, ale już dzisiaj był u niej wieczór pożegnalny, więc i dzisiaj oddałem jej torebkę z całym pozbieranym do niej wnętrzem. Chyba będziesz zadowolona. Pogoda okropna, od wczoraj zaczął wiać paskudny wiatr i dzisiaj zimno, nawet nie wiem ile stopni mrozu, ale w każdym razie kilka na pewno, co – oczywiście – na Was po Waszych mrozach nie może robić żadnego wrażenia. Zupełnie poważnie myślę o kupieniu sobie futra, rzecz jasna nie z myślą na dzisiaj, ale na przyszłość, u nas, trochę się jednak waham, bo to ogromny wydatek, do 50 tysięcy franków. Zastanowię się jeszcze.

Ania Posner, bo pewnie ją poznasz, jest dobrą dziewczyną po czterdziestce, świetny kompan, tylko ma hyzia erotycznego i jest stale wściekle podniecona, co na dłuższą metę bywa męczące. Myślę, że w Polsce bardzo narozrabia.

Wczoraj rano oglądałem nową i już słynną w sensie skandalu wystawę Buffeta, osiem olbrzymich płócien pt. *Oiseaux* (snobistyczna galeria przy Champs Élysées), w życiu nie widziałem obrazów szacowanych na miliony i tak wrednych i godnych pogardy, złe malarstwo, chamski cynizm: jeden temat paskudnej, chudej, czarnej kobiety rozwalonej w pozie najbardziej wyuzdanej, a nad nią (każdy inny zależnie od obrazu) rozkraczony ogromny ptak: struś, sowa, kruk, orzeł itd. Ewa Fiszer, z którą byłem, najpierw stała osłupiała zupełnie, a potem gwałtownie pociągnęła mnie do ucieczki. Po małym posiłku w barze amerykańskim (sandwicze z szynką i sok pomidorowy, wielki komfort) poszliśmy na nowy film francuski, debiut reżyserski pt. *Pantalaskas*, historia chłopca litewskiego zabłąkanego w Paryżu i nie rozumiejącego ani słowa po francusku. Na pewno nie arcydzieło, ale wiele pięknych rzeczy, a przy tej okazji byłem w kinie „Marbeuf”, gdzie była premiera *Popiołu*, bardzo piękne i wygodne kino. Już jest po 11-tej, jestem śmiertelnie zmęczony, idę spać, dobranoc. Strasznie jestem ciekawy, jak Ci się spodoba torebka i to, co w niej.

### środa, 10 II

Przyszedł dzisiaj Twój list z 6-ego, widać z niego, że nieskończenie długi cykl kartek jeszcze do Was nie doszedł. Dopisuję krótko, bo jeszcze mam parę spotkań, a pod wieczór zobaczę Anię Posner, która leci do Warszawy jutro rano. Tu mały mróz i cały dzień olśniewające słońce. Pozawczoraj, wczesnym popołudniem siedziałem chyba całą godzinę na otwartym tarasie kawiarni przy Champs Élysées i właściwie było tak, jak w marcu na Gubałówce.

1) Propozycje otrzymania opcji na tłumaczenie *Ciemności* zupełnie idiotyczne. Po pierwsze prawa ma Kiepenhauer, a poza tym po doświadczeniach z *Popiołem i diamentem* żadnej opcji nie dam tzw. sławistom. U Stocka powieść bardzo się podobała, ale przekład trzeba poprawiać. W lutowym „Esprit” są moi *Synowie*.

2) Ostatecznie zdecydowałem: do Włoch na razie nie jadę. To nie tylko inercja, ale i zmysł praktyczny. Jeżeli będę tam miał zaliczki – pojedę w okresie Wielkanocy.

Poza tym zmęczenie i na brodzie mam czerwone plamy, co mnie okropnie denerwuje. Całuję Was.

J.

Jaką suknię byś chciała mieć, czy spódnice? Co najpotrzebniejsze dzieciom?



środa, dn. 10 lutego

Jakoś tak nijako i sam nie bardzo potrafię sobie zdać sprawę, na czym to polega. Za dużo, jak na mnie, różnych spraw w zawieszeniu, tutaj wszyscy rozsądni ludzie raczej utwierdzają mnie w decyzji pozostania we Francji, ale choć sam wiem, że to jest rozsądne – żal mi trochę Włoch i chociaż wiem, że to teraz nie na moje siły – żal pozostaje żalem i tak oto czuję się, jakbym się znalazł w zaczarowanym kole oczekujący, że ktoś za mnie przerwie ten zamknięty krąg. Wczoraj byłem w Quartier Latin na starym filmie Elie Kazana (Srebrny Lew w Wenecji, ale nie wiem, w którym roku) pt. *Au guais*, film oczywiście świetnie zrobiony, ale po raz pierwszy zobaczyłem Marlona Brando, Boże co to za aktor, nawet James Dean przy nim blednie, to jest coś niezwykłego: urok, niespokojność, sprzeczności, trochę jak Dean wyobcowany ze świata, ciągle wykonywujący dziesiątki różnych drobnych gestów, coś ze zwierzęcia i z anioła, czysty wewnątrz, ale wplątany w brudne sprawy, zuchwały i uległy, zdobywczy i poddający się, teraz rozumiem skąd jego sława. Zdaje się, że u nas nie było z nim filmów, ale to Marcin będzie lepiej wiedział.

Dzisiaj całkiem niespodziewanie zadzwonił do mnie Leyfell (ten kiedyś z PIW-u, a teraz w naszej ambasadzie w Tokio) i dlatego spotkaniem z nim zajęty, tak na chybcika dopisałem kilka słów listu do Ciebie, żeby wieczorem zanieść do Ani Posner. Dużo mi Leyfell opowiadał o Warszawie, hołdy mi składał za *Bramy rajy* – Irenka napisała kartkę, że nawet ona nie spodziewała się, że tak potrafię pisać – okazuje się, że jednak *Niewinni czarodzieje* nie idą ze względu na klimat pesymistyczny, cóż to za smutny ustrój, w którym smutnym człowiekowi być nie wolno. Ty wiesz najlepiej, jak jestem próżny, pochwal i uznania spragniony, ale ponieważ wszystko się we mnie toczy kilkoma drogami, więc i gdy słowa najwyższego uznania do mnie docierają – czuję się prawie o krok od szczęścia, ale jeszcze bliżej niepokoju i zwątpienia. Ludzie, nawet ci najbliżsi, którym to mówię – uśmiechają się w sposób wyrozumiały, jak traktuje się czyjeś nieszkodliwe dziwactwo, ale gdy oni są pewni, że ja jeszcze wiele napiszę i rzeczy coraz lepszych, ja – znając swoją pustkę i odrętwienie – naprawdę męki przeżywam, że już nic zrobić nie potrafię i jestem tylko drewnem. Wszystkie dawne doświadczenia w niczym mi nie są pomocne, każde zwątpienie jest zwątpieniem ostatecznym – tak, jak każda miłość, jest miłością jedyną. Gnębi mnie świadomość, że kwitnę pozorami, nawet mój dobry wygląd, który tu wszyscy pochwalają, jest tylko pozorem, w istocie jestem śmiertelnie zmęczony i beznadziejnie samotny, pisał mi Zygmunt, że Cię znalazł na koncercie w świetnej formie i w pięknej sukni, o ile pamiętam właśnie dzisiaj miał przyjść do Was wieczorem, teraz

dochodzi dziesiąta, dziecko szczęścia (bo za takiego wielu ludzi mnie uważa) czuje się zupełnie zagubione, jakieś belkoty po mnie chodzą, ale Ty wiesz, jak od belkotu do tzw. dzieła sztuki daleka jest droga, zwłaszcza dla takiego człowieka jak ja, który nim jeden krok zrobi – wybiega w różne strony i nie zawsze potrzebnie. Cieszy mnie to, co piszesz o Marcinie, ale myślę (wbrew, niestety, sercu i kochaniu), że w Agnieszce są większe wartości i to jest naprawdę KTIOŚ. Wiesz, że niepodzielnie cała moja miłość jest dla Marcina, ale coraz częściej odczuwam wyrzuty sumienia, że i Ty i ja nie potrafimy w istocie kochać Agnieszki, to trzeba sobie jasno powiedzieć. A zobaczysz, że to będzie naprawdę KTOŚ, czego nie spodziewam się po Marcinie. Miłości są ślepe, a rodziców ślepe najbardziej. Oczywiście z tej świadomości nie wynika i nowe kochanie, gdy popelni zbrodnię, pozostanie kochaniem. Wydaje mi się, że w miłości do własnych dzieci jest coś z pragnienia zgody z naturą, potrzeba wierności, ale to jest potworne, ponieważ właśnie natura kryje w sobie tysiąc zrad. Dobranoc.

#### czwartek, dn. 11 lutego

Po wczorajszym ataku zgniłej neurastenii poszedłem rano na wystawę van Gogha. Już nie ma mrozu, ale dość chłodno i mgła, zawsze piękny tutaj koloryt dzisiaj wydał mi się szczególnie ładny, na placu Concorde, wśród rozległych perspektyw, nagie i niebieskie drzewa, gołębie powietrze i wysoko przymglone, zupełnie żółte słońce, mokre trotuary od skraplającej się mgły, kiedy z bulwaru Hausmanna zawędrowałem długą piechotą właśnie na Concorde i już głodny i zmarznięty zawróciłem, aby zjeść obiad u Webera (tylko firma restauracji słynna, teraz to jest tzw. porządna restauracja przeważnie dla cudzoziemców i niespecjalnie droga). Van Gogh – jak Van Gogh. Siedemdziesiąt płócien ze wszystkich okresów i myślę, że oglądając te obrazy mógłbym być szczęśliwy, gdyby nie tłumy zwiedzających. To okropne, że malarstwo ogląda się zwykle w bardzo złych warunkach, nie mogłabyś czytać *Pustelni parmeńskiej*, gdybyś była otoczona setką ludzi również zagłębiionych w tej samej lekturze. Ale nawet ściśnięty tłumem, byłem olśniony, a szczególnie olśniony obrazami z ostatniego okresu, kiedy dzięki szaleństwu wprawił cały świat w ruch. Na tych ostatnich płótnach wszystko wyrывa się ze statyczności: jest utrwalone w pędzie, w rozrastaniu się, w grozie, która towarzyszy każdemu działaniu. Myślałem patrząc na te genialne płótna o *Bramach raju* i myślałem, że jeśli się one tak podobają, to może w istocie dlatego, że nie są opisem, ale ruchem i stawianiem się. Po obiedzie byłem na milej i dowcipnej komedii włoskiej (parodia *Riffiffi*), potem odpoczynek i cały wieczór z Anią Jawicz, obiad w restauracji włoskiej koło Champs Ély-

sées, długi spacer, na godzinę u Basi Kwiatkowskiej w jej hotelu przy avenue Wagram, biedactwo musiało z powodu anginy przerwać na kilka dni zdjęcia.

Ale wciąż nie wiem, co ze sobą zrobić. Urodził mi się nawet taki pomysł, żeby zostawiwszy część pieniędzy tutaj, pojechać na miesiąc do Włoch i wrócić z początkiem kwietnia do Polski, aby znów pojechać we wrześniu. Nie śmieję się, ale przeżywam m.in. gwałtowną tęsknotę za krajem, za Warszawą, za domem i różnymi ludźmi.

### piątek, dn. 12 lutego

Jak się udał wieczór z Ariką i Andrzejem? Właśnie dziś rano dostałem list od Andrzeja, że Cię spotkał w PIW-ie kwitnącą i w przepięknej sukni (to już druga relacja). A ja wciąż nie wiem, co ze sobą zrobić? Byłem po południu na starym filmie Kinga Vidora *Alleluja*, nie tak dobry, jaką ma sławę, ale kilka scen zadziwiających. Od szóstej jestem w domu, kolację zjadłem w domu, mam olbrzymie zaległości w korespondencji, ale nie mogę zdobyć się na wysiłek, żeby to odwalić; w przyszłym tygodniu Ania Jawicz – mając już na ten rok dwa filmy w produkcji – będzie trochę wolniejsza, więc mi pomoże. Mam pewną, ale jeszcze bardzo mglistą koncepcję książki, długi wieczór spędzony z Józkiem Czapskim tym mnie natchnął (?), mam znakomite motto z Gobineau, a Ty wiesz, co dla mnie motta znaczą. Mówi to motto o dramatycznych przejściach i zmęczeniu i zubożeniu, które wynikają z przeżycia spraw nazbyt gwałtownych. Pojęcia nie masz, jak bardzo bym się chciał znaleźć w Warszawie.

### sobota, dn. 13 II

Rano po raz trzeci w Luwrze, żeby obejrzeć Rubensa, Rembrandta, starych Flamandów i Niemców. I znów tylko kilka płócien zapadło mi w pamięć. Z kilkudziesięciu Rubensów jedynie portret jego drugiej żony, pięknej kobiety w ogromnym kapeluszu i z dwojgiem dzieci, prawie Renoir. Z Niemców jedynie zresztą Dürer, *Portret artysty*, oczywiście wizerunek wariata, jeszcze malutki Breughel, *Ślepcy*, zupełnie sobie nie wyobrażałem, że to jest tak małe, podobnie mały Bosch, *Nawa wariatów*, zupełnie genialne: łądz pełna ludzi, z drzewem kwitnącym pośrodku, na drzewie osadzona kaczka, albo gęś pieczona, a wśród gęstowia liści samotna ludzka głowa.

Poza tym cały dzień walka z narastającym katarem i ostatecznym wyczerpaniem. Deszcz, mgła, nie mogę żyć w ten sposób, nic mnie to wszystko właściwie nie obchodzi, jest mi tak potwornie źle, że gdyby nie resztki zdrowego rozsądku – wsiałbym w pierwszy pociąg, aby znaleźć się w War-

szawie. Nie umiem żyć, wszystko mi się w palcach rozłązi, dla ludzi jestem tylko męczący i wołam mnie podziwiać z daleka, tak prawdę mówiąc i Wam jest w istocie lepiej, kiedy ja istnieję na odległość tysiąca kilometrów, bardzo dobrze zdają sobie z tego sprawę i może nawet nie powinienem tego pisać, ale jestem tak zmęczony i samotny, że nawet udawać mi się nie chce. Za moim oknem w tej chwili, gdzie już jest noc, gra radio, gra oklepny koncert Czajkowskiego, i noc pełna tej muzyki czyni mnie jeszcze bardziej samotnym, chwilami – tak życia laknący – żyć mi się nie chce, i nawet wiem dlaczego: miłości nie potrafię dawać, tylko w siebie i wciąż w siebie zapatrzone, wciąż oczekuję miłości, drobnego ciepła, głosu ku mnie zwróconego, uśmiechu aprobaty, ale to miraż w moim wieku i z moją „pozycją”, oglądam siebie dzień po dniu w lustrze i wiem, że tylko poblaski sławy, albo brzęk pieniądza mogą skłonić kogokolwiek w moje ramiona. Myślę trochę, jakby można było zrobić nową wersję Hioba, całkiem współczesny i zgodnie z cytata, którą mi dał z Gobineau Czapski, stwierdzającą, że „trwałość związków daje im dwie trzecie ich wartości, niestałość w miarę czasu powoduje obojętność.” I jeszcze ten sam cytat: „Kiedy się widziało dwa czy trzy razy orszak jakiegoś księcia tatarskiego, który wkraczał, aby ściąć głowę swemu poprzednikowi tatarskiemu, timurskiemu czy arabskiemu, który znów to samo uczynił ze swoim poprzednikiem, i kiedy wskutek tych wydarzeń przeszło się przez tyle rozmaitych sytuacji, gdy się jak Saadi było wolnym człowiekiem, potem żołnierzem, potem więźniem chrześcijańskiego wodza feudalnego, gdy się pracowało jako robotnik ziemny przy fortyfikacjach księcia Antiopii i ostatecznie wróciło pieszo z powrotem do Farsu i Szirazu – jakże łatwo przwiać, że nie zlego, co istnieje, nie jest rzeczywiste, a przynajmniej nie jest warte przywiązania.” Dobranoc.

### poniedziałek. dn. 15

Wczorajszy dzień żaden, podobny do poprzedniego, nikogo od paru dni nie widuję, ja do nikogo nie dzwonię i do mnie nikt nie dzwoni. Tzw. kolację jadłem w domu, położyłem się o 9-tej, spałem do godziny 2-giej, czytałem trochę *Jaguara*\* di Lampedusy (rzeczywiście znakomita książka), aż wreszcie wziąłem proszki nasenne i spałem prawie do samego śniadania.

Dzisiaj znów deszcz, wiatr – trochę chwilami śniegu, to głupie, że pogoda może w taki bezwzględny sposób wpłynąć na samopoczucie i humor. Wciąż nie wiem, co postanowić, a coś zdecydować muszę. To południe spędziłem kilka godzin z Zygmuntem Hertzem, zawsze dobrym, serdecznym i pogod-

\* w polskim przekładzie Zofii Ernstowej – Lampart

nym, trochę ciepła dobrze mi zrobiło, kupiłem trzy plasterki polędwicy (tu się wędliny sprzedaje na plasterki), jeden szynki, dwa małe chlebki, butelkę wina i z tym wszystkim wróciłem przed ósmą do hotelu. Pewnie w kraju nikt z moich przyjaciół i znajomych nie wyobraża sobie, że tak mogę spędzać paryskie wieczory – sam w hotelu – gdy nie dalej niż na wyciągnięcie ręki mam sto lokali, sto sztuk, sto filmów i miejsca, do których modlą się swymi pragnieniami Polacy. Miałem rację, kiedy w tych miesiącach przedwyjazdowych ogarniała mnie panika na myśl o podróżowaniu. Teraz już wiem, że był to lęk przed świadomością, która w sposób aż nadto brutalny odłoni mi prawdę, że jak pisał przed latami młody Słonimski, nie pomogą podróże, dalekie wyjazdy – wszędzie jest jednakowe niebo, i księżyc, i gwiazdy – więc lęk, że się mogę przekonać, iż w pewnym sensie skończył się dla mnie okres odkryć, nowych doznań i olśnień, to już jest za mną, teraz mogę tylko potwierdzać odczucia dawniejsze, mogę tylko powtarzać samego siebie w kształtach coraz smutniejszych i jedyne, co pozostaje, to „wyśpiewać” swoją niezmienną naturę, utrwalić skurcz serca, żalność ciała i to zdumienie pomieszane ze śmiertelnym strachem, że za niewiele lat będę gnić w gęstej ziemi – ja, który teraz myślę o kupieniu miękkiej koszuli wełnianej i miękkich mokasynów, to głupie i śmieszne, ale jedyne prawdziwe. Wybacz mi, kochanie, że w sposób tak maniackalny mówię tylko o sobie, ale listy do Ciebie, jeśli to w ogóle listami można nazwać, są jedyną dla mnie w tej chwili formą mówienia, możliwie szczerego, piszę: możliwie, ponieważ głębokość szczerości jest właściwie nicosiągalna.

Teraz dochodzi dziewiąta, położę się, będę czytać *Le guépard*, dwa najbliższe wieczory mam „wypełnione”: jutro u Pawła Zdziechowskiego, pojutrze wielkie zbiegowisko u Konstantego Jeleńskiego. Muszę już wysłać ten list, bo będzie za gruby. Gdybym nagle zmienił adres – wyślę depeszę, albo zatelefonuję. Tak bym chciał wiedzieć, czy Ci się podoba torebka i pasek? Myślę o Was więcej, niż sobie wyobrażasz, ale pewnie i smutniej, niż to możesz przypuszczać, a z tego to chyba wynika, iż – niestety – o ludziach, którzy w taki, czy inny sposób są mi bliscy, wiem wszystko, chociaż w życiu nie chcę, albo nie umiem tego pokazać. Dobranoc.

**wtorek, dn. 16**

Dostałem dzisiaj Twój długi list, ale już nie odpisuję na niego, bo ten będzie zbyt gruby. Ta przekłeta pogoda z chłodem, deszczem i wiatrem zupełnie mnie fizycznie rozkłada. Ale chyba przejdzie i to. Całuję Was wszystkich.

**PS.** Szerokość paska (6-8 cm) sama, kochanie, wskazałaś. Poza tym ten pasek się układa w węższy kształt. A że za krótki – rzeczywiście przeoczenie.

### czwartek, dn. 26 II

Wczoraj był ziąb i wiatr, przez całą noc padał deszcz, a ponieważ z wieczora nie wziąłem nasennych proszków, więc prawie co godzinę budziłem się – wciąż w szumie i w plusku za oknem, rano także lalo, aż nagle koło dziesiątej zrobiła się wspaniała pogoda i kiedy wyszedłem, znalazłszy na dole nareszcie list od Ciebie – na dworze była zupełna wiosna, wilgotne ciepło, ale w cieniu przenikliwe, chłodne podmuchy. Ta zmienność pogody zupełnie mnie fizycznie rozbija. Prawie przez dwa tygodnie walczyłem z podchodzącą wciąż do mnie gripą, lykalem masę różnych proszków, także aspiryny, ostatecznie grypy w dosłownym tego słowa znaczeniu uniknąłem, ale serce zaczęło mi nawalać i ohydne osłabienie, pocę się jak mysz i jeżeli możesz to dostrzec – ręka mi się trzęsie przy pisaniu. Tak się poza tym złożyło, że w tygodniu mojego najgorszego samopoczucia, Ania Jawicz położyła się z ciężką anginą, całe dni byłem sam, na obiad tylko wychodząc, a już kolację w domu przeważnie jedząc. Rozumiesz, że w tych warunkach jakkolwiek decyzję trudno podjąć, i w ogóle czegokolwiek chcieć poza możliwie bezpiecznym trwaniem, czego znów życie hotelowe nie zapewnia.

Czytałem Twój list kilkakrotnie, wcale się ze mną nie rozminął, choć to, co piszesz o mnie dobrego, może i będąc przesadą – mnie się jakoś wymyka, nigdy nie potrafiłem i do dzisiaj nie potrafię zobaczyć siebie oczyma innych ludzi, nie mam pojęcia, jak wyglądam oglądany z bliska, z dystansu, lub z całkiem obcej ludzkiej odległości. Oczywiście coś tam sobie wyobrażam, ale dla moich przeżyć i tych, czy innych moich odczuwań nie ma to większego znaczenia. Zdaję sobie sprawę, że odznaczam się szczególnie ożywioną skłonnością do przesady i dlatego się też miotam w sprzecznościach i skrajnych nastrojach, że tak rzadko udaje mi się ową przesadę skierować ku jej właściwemu nurtowi, to znaczy ku pisaniu. W twórczości przesada wyzwała się w sposób naturalny, to jest jej naturalny żywioł, a pozbawiona tego ujścia – z samego życia kreuje nieudane widowisko.

### piątek, dn. 4 marca

Pisałem przez ostatnie tygodnie sporo kartek wysyłanych pocztą lotniczą, chyba już dawno doszły, jakoś się nie mogłem zdobyć na pisanie listu. Ostatnie dni lutego kończyły się dosłownie w letnim klimacie, w ciągu dnia dochodziło do dwudziestu kilku stopni w cieniu, w niedzielę do godziny 11-ej wieczorem siedzieliśmy z Ewą Fiszer w kawiarni na świeżym powietrzu. Teraz od paru dni chłodniej, ale wiosennie, zmiennie, zresztą i wczoraj i pozawczoraj położyłem się na całe dwa dni do łóżka, nie tyle

z chorobą, ile z obrzydzenia do wszystkiego i wszystkich. Dzisiaj załatwia-  
 lem od samego rana tzw. sprawy (o których niżej) życiowe, a pod wieczór  
 pokrzepił mnie jeden z najlepszych filmów, jakie w ogóle widziałem po  
 wojnie, nienajnowszy zresztą film Johna Forda, *Grona gniewu* według Ste-  
 inbecka z Fondą w roli Tomma Joada, wiesz – Fonda, to ten genialny ak-  
 tor, który gra główną rolę w *Dwunastu gniewnych ludziach*, tylko tu o do-  
 brych kilka lat młodszy. Znakomity film, zresztą nie obejmujący końcowej  
 partii powieści. Potem wracałem już o gęstym zmierzchu starymi uliczka-  
 mi Quartier Latin, koło St. Etienne i Panteonu, niebo nad czarnym ogro-  
 dem Luksemburskim było zupełnie czerwone. Niestety, zupełnie nie zna-  
 my naprawdę dobrych filmów amerykańskich, a wiele wielkich nazwisk  
 reżyserskich i mnie było dotąd całkiem obcymi.

A teraz sprawozdawczo sprawy życiowe:

1) Wyjazd do Włoch na dłuższy czas nieaktualny (co najmniej na miesiąc).  
 Moja wiza straciła swoją ważność, myślałem, że to drobiazg przedłużyć tutaj  
 prawo wjazdu (27 luty), tymczasem dzisiaj się dowiedziałem, że muszę skła-  
 dać nowe podanie i to musi iść do Rzymu. Ze względu na zaliczki (dwie po  
 100 tysięcy) bardzo mi to wszystko komplikuje, ponieważ muszę czekać tutaj  
 cały miesiąc, albo wracać dość szybko, o ile mam nie zrezygnować z zakupów.

2) Przedłużenie pobytu na Francję dostałem dzisiaj do 4-ego czerwca (?)

3) Mam w tej chwili 50 tysięcy franków + 2 tysiące szwajcarskich,  
 a więc razem: 265 tysięcy franków. To na razie wszystko. W tym jest po-  
 dróż do Włoch i powrót do kraju.

4) Od Stocka wciąż nie mam realnej odpowiedzi, a pieniądze z Londy-  
 nu mają przyjść dopiero w kwietniu. Chciałbym zresztą zostawić tutaj ja-  
 kieś pieniądze. Pisałem już o tym, ale jeszcze raz powtarzam adres: 2<sup>is</sup>  
 étranger 16/25 (nazwisko) Banque Française et Italienne pour l'Amérique  
 du Sud, rue Halivy – Paris 2. W umowie z Norwegią podaj to.

5) Oddaj Norwegii prawa na Finlandię i Danię, to wcale nie kompli-  
 kuje, tylko chodzi o wyższą sumę. Tłumacza duńskiego podaj. Nie chcę  
 mieć nic do czynienia poprzez ZAiKS. I tak tracę, i tak tracę, ale przez  
 ZAiKS jeszcze więcej.

6) Tekst dany „Twórczości” jest identyczny z tekstem w PIW-ie, a ten  
 jest całkowicie gotowy do druku. Porozum się z Radziwiłłową, ona ci po-  
 wie, z kim się należy w Redakcji Literatury Współczesnej skomunikować.

7) Włosi wydają – Silva w Genui: tom – *Złoty lis, Niby gaj, Bramy rajy*;  
 Levici Editori w Mediolanie *Popiół i diament*.

8) Co to jest te 7<sup>1/2</sup> tysiąca za *Popiół*? Chyba tylko reszta za 10 tysięcy?  
 A ma wyjść nakład 20-tysięczny. Dowiedz się, kiedy książka wychodzi, bo  
 za drugie 10 tysięcy płaci się po wyjściu książki.





9) Zadzwoń do ZAiKS-u do p. Wiśniewskiej i spytaj, co jest z zaliczką na umowę japońską *Popiołu*. Wiem od Leyfla, że to wychodzi, niech ZAiKS zwróci się w tej sprawie.

10) Wszystkie ewentualne umowy kieruj na punkt 4.

11) Wiem, że wydałem tu głupio (ale i nie zawsze głupio) potwornie dużo pieniędzy, ale nie rób mi z tego powodu wymówek, bo i tak jedną z moich zmór tutejszych są tzw. sprawy ubraniowe. Zupełny koszmar. W Paryżu wszystko się potwornie zużywa, nie licząc na włoskie mokasy-ny, rozkleiły się jeszcze w styczniu, a buty, które kupilem, też już są do niczego. Spodnie flanelowe – szmata, szara marynarka też tknięta, a to nowe ubranie (wcale w nim nie chodziłem) jakieś głupie, spodnie za ciasne, зда-je się, że mimo wszystko przytyłem.

12) Mam w tej chwili trzy koszule nylonowe (jedną cudo praktyczno-ści) i jedną sportową wełnianą, to coś znakomitego, kupię takich kilka dla Marcina i siebie, bo są tańsze z mieszanki bawelniano-nylonowej. Mam dwie nowe pyjamy.

13) Moda: kolory szare, rdzawe, zielone, brązowe. Wszelkie materie miękkie, włochate, gruzelkowate.

14) Mój hotel podwyższył od 1-ego ceny (na moim podwyżka 700 fr.), ale ja o tym nie jeszcze oficjalnie nie wiem i mam nadzieję, że mieszkające-mu trzy miesiące, nie zrobią mi tego świństwa. Ostatni rachunek, choć wkraczał już w marzec, bez zmian. W razie podwyżki będę musiał się przeprowadzić, a to też koszmar.

15) Więc tak: zostaję na razie w Paryżu i składam podanie o wizę wło-ską. Wróciłbym wówczas natychmiast po Świętach.

16) Nasze wspólne plany wyjazdowe odłożmy na razie na przyszłość. Piszę to, kochanie, w sposób suchy i zupełnie nie odpowiadający Twoim listom, ale zrozum, że i już tu dłużej być nie mogę i nie chcę, ale – mam nadzieję, że jednak punkt 4 rozwijać się będzie optymistycznie. Poza mną ma prawo podejmowania pieniędzy jeszcze jeden człowiek.

17) Listy dzieci uroczę – każdego w inny sposób. Agnieszka jednak im-ponująca, cóż to za siła i ile w niej prawdziwej godności. A nasz syn prze-cież chyba trochę za infantylny. Poznałem teraz chłopca, który ma 17 lat i robi w tym roku maturę w tym sławnym liceum, Louis Grand, syn Hisz-panki i Rosjanina, rodzice rozwiedzeni, adorator *Popiołu i diamentu*, matka tłumaczka Dos Passosa i Hiszpanów, on idzie na szkołę filmową, wprost trudno sobie wyobrazić, co ten chłopak widział i czytał, jaka chłonność, in-teligencja, dojrzałość. Raphael Sorin (oczywiście, po prostu Zorin). Właści-wie tylko ze względu na niego i zawsze Anię Jawicz zostaję w Paryżu.

18) Wczoraj rano przed ósmą dzwonił z Łodzi Jurek. Coś niesłychanego, bo poza jednym listem słowem się nie odezwał.

19) Co z książkowym wydaniem *Bram raju*?

20) Lisowski już na dniach kończy przekład. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

21) Raphael mi mówił, że przekład *Synów* w „Esprit” bardzo niedobry. Niczego się po tej idiotce [...] nie spodziewałem.

22) Co sobie powinienem kupić: bardzo ciemne szare spodnie z tergalu (nie mnący się gatunek wełny), mokasyny, czarne buty, jesionkę, letni płaszcz, spodnie z welwetu, jakąś marynarkę – wszystko razem + slipy, podkoszulki, koszule – bite 100 tysięcy. Zakupy dla Agnieszki i Marcina doliczam na 50 tysięcy. Więc właściwie ruina, ale liczę, że w najbliższych dniach różne sprawy się wyjaśnią.

Tyle na razie, co i tak jest dużo ze strony człowieka, który przed kilkoma godzinami wyszedł zakłopotany z *Gron gniewu*, bo to naprawdę film i wyjątkowo znakomicie zrobiony, a jak grany (matka! – cóż to za aktorka) i jaki mądry i ludzki.

Jutro mam iść z Raphaelem na pokaz filmów surrealistycznych.

Całuję wszystkich

J.

PS. Postaram się wysłać kilka numerów „Paris Matsch”.

środa, dn. 9 marca

Wylał się kubel z Polakami: w poniedziałek przyleciał Andrzej Wajda, spędziłem z nim wieczór, a nazajutrz aż do jego odlotu po południu również z nim i z Polańskimi, którzy mieszkają teraz u swego producenta, przy lasku Bulońskim, w pełnym luksusie nowoczesności. Bardzo to zabawne. W niedzielę byłem u nich na obiedzie, potem przyszła Ania Jawicz z wyznaniem, że spodziewa się dziecka. Oczywiście wszystkich rady, aby je urodziła i jednak nasz dobry kardynał (czytałem o jego liście pasterskim w „Mondzie”) ma jakąś rację, dość istotną dla Polaków, nie jestem przecież katolikiem, odszedłem od wielu katolickich pojęć, a mimo to pozbywanie się dziecka zawsze ma dla mnie coś z morderstwa i tylko zupełnie wyjątkowe okoliczności mogą w moich oczach usprawiedliwić chamstwo skrobanki.

Andrzej dużo mi o stosunkach u nas opowiadał, ale znów jego projekty kolidują trochę z moimi. Odjeżdżał, nie wiedząc, jak długo będzie siedział w Argentynie, najdłużej trzy tygodnie. Oczywiście wciąż marzy o *Bra-*

\* wyraz w rękopisie trudny do rozszyfrowania

*mach raj* i to wcale nie jest wykluczone, że mu się to uda zaaranżować. W kołach filmowych ma naprawdę świetne nazwisko i ze swojej strony zrobi wszystko, aby zostać tutaj i coś nakręcić – coś, to znaczy *Bramy raj* – nie mów o tym absolutnie nikomu. Ja znów gonię naprawdę resztkami pieniędzy (rachunki hotelowe liczą mi na szczęście po starej cenie) i liczę się z tym, że wizę włoską dostanę właśnie za dwa, trzy tygodnie. Mógłbym w tej chwili przejść na utrzymanie producenta Basi, aby pisać dla niej scenariusz, ale – pomyśl sama – czy ja to mogę zrobić? Jestem doskonale pusty, zmęczony, bez pomysłów i nawet bez ich wewnętrznej potrzeby, a zamówieniowych robót – jak wiesz – nie bardzo umiem robić. Każdy z nich obu – i Polański, i Andrzej – jest na swój sposób potęgą woli i ambicji, ale co mnie do tego, który woli nie ma, i tylko ambicję? Czuję już w każdym razie, że nie wyjadę stąd przed powrotem Andrzeja, i to jest okropne, bo tak mnie już tu wszystko nudzi, już mam tutaj wydeptane i wąskie ścieżki, ich się trzymam, z ludźmi widywać mi się nie chce, jutro, albo pojutrze muszę się zdobyć na zupełnie gigantyczny wysiłek, aby poczynić zakupy dla Agnieszki, bo akurat w najbliższą niedzielę wraca do Warszawy Koźniewski i sam uprzejmie się zaofiarował, że chętnie weźmie jakąś paczkę. Po gorącym lecie teraz się trochę oziębiło, padają deszcze, ale właściwie można chodzić tylko w marynarce.

godz. 20

Zadzwoiłem do Zygmunta Hertza, żeby mi jutro pomógł zrobić zakupy. Zadzwoiłem do Czesławów (książkę jego posyłam) i będę u nich w piątek. Proponowali mi u siebie dłuższy pobyt, ale to ponad moje siły. Swoim życiem żyć nie potrafię, a cóż dopiero życiem ludzi innych!

piątek, dn. 11 marca

Dla pomniejszenia trudności w podejmowaniu decyzji – dzisiaj przyszedł list od Bonnera z zaproszeniem mnie, jako gościa, do Sztokholmu pod koniec kwietnia. Piszą, że bardzo im na moim przyjeździe w momencie wyjścia książki zależy. Sam nie wiem, co zrobić? Widziałem ostatnio dwa świetne filmy – *L'équipée [...]* (*The Wild one*) z Marlon Brando, jest to historia kilkunastu amerykańskich chuliganów jeżdżących całą gromadą na motocyklach, wszyscy w czarnych, skórzanych koszulkach, z tego filmu poszła moda na Francję. Drugi film – to Hitchcocka *Człowiek, który za dużo wiedział* z Jamesem Stewartem – w filmie po raz pierwszy zaśpiewano *Que sera*.

\* wyraz w rękopisie trudny do rozszyfrowania

12 III 60

Sprawunki

Spodnie dla Marcina chyba będą dobre, może cokolwiek za szerokie w pasie, kupione w wielkim magazynie, lepsze bywają tylko oryginalne amerykańskie, ale trudno je znaleźć.

Spódnica dla Agnieszki jest z tergalu i po praniu nie prasuje się jej. Trochę się boję, że niebieski sweterek za mały, ale drugi na pewno dobry. Kolory dobrałem, jak umiałem.

Koszule nosi się na wierzch, napisz, czy Marcin chce taką samą czarną.

Papierosy oddaj Pawłowi, niech już on porozdziela, bo to są i ode mnie i od Zygmunta Hertza, książki już nie daję, bo i tak paczka duża.

Jakich butów potrzebuje Agnieszka? I Marcin? Jakiego rodzaju sukienka (całość) potrzebna jest Agnieszce?

To wszystko, co posyłam, w istocie bardzo tanio wyszło (około 15 tysięcy), chociaż kupowane w dobrych sklepach, za to z 20% rabatem, bo za franki szwajcarskie wykupiłem czeki dolarowe honorowane w tzw. wielkich magazynach.

Obszerny list wysyłam za parę dni.

Całuję J.

List dostałem wychodząc, ale już nie mam czasu dłużej pisać.

Wajdę widziałem, do końca miesiąca chyba zostanę w Paryżu.

Bonner zaprasza mnie jako gościa do Sztokholmu na koniec kwietnia.

wtorek, dn. 15 marca

Dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że Koźniewski zabrał ze sobą tylko małą część rzeczy, a resztę (teksasy dla Marcina, dwie dla niego koszule, skarpetki dla Agnieszki, papierosy) zostawił u Ewy Fiszer. Bardzo się tym zmartwiłem, bo trudno przewidzieć, kiedy nowa okazja się nadarzy. Wybaczcie, ale wysyłanie pocztą przekracza moje możliwości. Nie umiem sobie radzić z tzw. realiami, mam w tej chwili całą stertę listów do odpowiedzenia: Weidenfeld z Londynu chce noty bio-bibliograficznej (*Ciemności* pt. *Inkwizytorzy* wychodzą w Londynie w kwietniu), Knoph chce tego samego i jeszcze fotografii (w New Yorku w maju), Levici Editori pytają, jaką umowę chcą mieć na *Popiół i diament*, Silva pyta, kiedy przyjadę do Genui,

Bonner pyta o to samo w związku ze Szwecją, nie znam dobrze żadnego języka, aby samemu to wszystko odwalić, nie mam maszyny, ludzie, na których mogę liczyć, są – ostatecznie – dość zajęci, pomyśl o tym wszystkim, Maryśku, choć przez chwilę, i zrozum, że mnie tu zżerają te drobiazgi, nie umiem sobie z tym dać rady, nie wiem już zupełnie, gdzie jechać, a gdzie nie jechać, wiem tylko tyle, że muszę zarobić tu jak najwięcej, bo w Polsce nie zarobię grosza. Przy tym ta pogoda: wciąż koło 20-stu stopni, godzinę słońce, potem leje, chodzę spocony jak mysz, w metrze upał, przy wyjściu przeciągi, wracam do domu zupełnie nieżywy i wcale nie piszę o tym, żeby się skarżyć, ale żebyś zrozumiała, że po prostu nie co dzień jestem w stanie napisać coś z sensem. Od miesiąca nie mogę kupić butów, bo ich jest za dużo. Nie wiem, jakie Marcinowi są potrzebne: grube, solidne na każdą porę, czy letnie mokasyny w rodzaju tych, które mu Andrzej dal z Ameryki? Który numer Agnieszki butów i jakie? To są bardzo tanie rzeczy. Tobie jaka suknia i jakie wymiary? Liczę, że jednak teoria ostatniej złotówki (przez Miłosza wspomniana w jego ostatniej książce) jednak jest teorią naukową i coś się stanie, żebym miał pieniądze. Jak wiecie, miał dzisiaj przyjechać Wujaszek.\* Dużo z tego powstało zamieszania, ośmiuset wybitnych ludzi siedzi od tygodnia na Korsyce, Czesław też się musi dwa razy dziennie meldować, a tymczasem (gdy Kadar przyjechał do Warszawy) przed niewieloma dniami rozstrzelano na Węgrzech młodych chłopców, którzy w roku 56-tym mieli po czternaście i piętnaście lat, a teraz stali się pełnoletni. Pomyśl, wielkie osoby ślą telegramy do Ameryki z prośbą o ulaskawienie Chesmana (nawet nie wiem, czy znasz tę sprawę – skazany na śmierć, od czternastu lat przechodzi ciągle przez różne instancje i już kilkanaście razy miał być w komorze gazowej), ale o tym wszyscy milczą. Tu się rozumie, jak nasz świat jest spodlony i jak małymi kreaturami jesteśmy w istocie my wszyscy. Sartre – ten kabotyn – pojechał na Kubę, ale w sprawie tych chłopców czekających w więzieniu na mord, nie otworzy ust. Nawet Mauriac ich nie otworzy, bo pragnie pokoju. Wszyscy czepiają się jakiejś wiary, żeby usprawiedliwić swoją nikczemność. Tu się więcej wie i dlatego tu jest jeszcze smutniej niż u nas.

Pierwszą stronę tego listu chciałem dołączyć do paczki, ale w porę się zorientowałem, że może być czytana. Dlatego piszę paczce tylko taki głupi kawałeczek.

Całuję Was.

J.

\* Nikita Siergiejewicz Chruszczow – przywódca KPZR i szef rządu ZSRR

Teraz pokrótce realia:

1) Po liście z Finlandii odpisałem, że chcę około 200 dolarów zaliczki, teraz obawiam się, że oni też nie mogą posyłać pieniędzy do innego kraju. Niedobrze.

2) Zaliczki włoskie mają być tak wpłacone we Włoszech, że tu je będę mógł odebrać we frankach.

3) Czekam na 100 funtów z Anglii, tylko one mogą mnie na razie uratować od zupełnej plajty.

4) Tu *Popiół i diament* wciąż się przedłuża.

5) Może z *Bram rajy* (film) coś wyjdzie, ale to jeszcze na wodzie pisane. Wajdy na razie nie ma z powrotem.

6) Trudności zakupów: za dużo wyboru. Texasy Marcina są całkiem amerykańskie, sztywne, grube, bardzo długie, z rozlicznymi kieszeniami. Koszule ciepłe z tzw. polo (nylon z wełną): granatowa i bordo. Na razie muszę kupić sobie spodnie z tergalu i buty, bo właściwie nie mam w czym chodzić. Który numer koszul nosi Marcin: 38, czy 39?

7) Przed moim oknem dzieją się cuda: o świcie śpiewają wilgi, wszystko się zieleni, słońce mam z samego rana, a całe popołudnie poblask zachodu.

8) Powoli wychodzę z całego miesiąca neurastenii i ohydneho samopoczucia. Mam pewne pomysły do pisania, ale to jeszcze nie teraz.

9) Martwię się, że nie mogę w tej chwili przesłać żadnych pieniędzy, ale wierzę w swoją gwiazdę, coś się musi stać.

10) Słuchałem niedawno płyt na patefonie o dźwięku stereofonicznym (dwa pomocnicze aparaty) m.in. *Cztery pory roku* Vivaldiego, to coś fantastycznego, Marcin by oszalał.

11) Przy najbliższych pieniądzach kupię Wam wszystko, co trzeba, teraz już nie nie mogę.

12) Chciałem w dzień ślubu Grzesia zadzwonić do Abgarowiczów, ale do 11-tej nie mogłem dostać połączenia. Napiszę do niego.

Tyle na razie, żeby list nie był przeciążony, a chcę go wysłać jeszcze dzisiaj. Do dzieci oddzielnie, z wczoraj wysłałem trzy kartki, ale normalną pocztą.

Całuję wszystkich.

J.

Jerzy Andrzejewski

## TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/15/1997), Stanisławie Lemie (nr 4/16/1997), Janie Józefie Szczepańskim (nr 1/17/1998), Ryszardzie Krynickim, (nr 2/18/1998), ks. Janie Twardowskim (nr 3/19/1998), Jarosławie Marku Rymkiewiczu (nr 4/20/1998), Kazimierzu Hoffmanie (nr 1/21/1999), Julianie Kornhauserze (nr 2/22/1999), Leszku Szarudze (nr 3/23/1999), Piotrze Sommerze (nr 4/24/1999), Gustawie Herlingu-Grudzińskim (nr 1/25/2000), Marii Danilewicz Zielińskiej (nr 2/26/2000) prezentujemy wybór Ryszarda Kapuścińskiego.

### *Ryszard Kapuściński*

Wybrane przeze mnie trzy wiersze są tak głębokie i piękne, iż wydaje mi się, że wybór ten nie wymaga objaśnień i uzasadnień. Ważna jest natomiast kolejność: Hoffman, Kamieńska, Baczyński.

*Kazimierz Hoffman*

Nad Safoną

tu noce są mroźne  
otul skronie Safo  
w ciszy lisich kroków  
pęka z hukiem dąb

pod rumowiem liści  
tura wieczne rogi

tu noce są mroźne  
otul piersi Safo  
bo co je zaciśnie  
wielki chłód od rzeki  
gdy przetacza z chrzęstem  
swoje okolice

tu noce są mroźne  
otul stopy Safo  
a bywało przecież  
plac drutami spięty

długie igły wody

tysiąc nagich ludzi  
kryształ  
po kryształe

kto ci co innego  
tu przypomni Safo  
w śniegu jakie zwierzę  
z lotu jaki ptak

Z tomu: Kazimierz Hoffiman, *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo Morskie, 1978.

*Anna Kamińska*

Mindla Marysia Diament

Tej Mindli schwytanej jak motyl we Francji  
Mindli zgilotynowanej w Breslau  
cóż dać  
Nacht und Nebel  
Noc i mgła  
ona idzie na śmierć woła  
Courage



Tej Mindli z Końskowoli  
polskie miasteczko  
rynek jak paznokieć  
na rogu stoi dziadek Mindli  
pluje w zaświaty

Tej Mindli bez pięknej głowy  
bez oczu sarny  
bez warg całowanych  
bez szyi jak wieża Libanu  
tej Mindli co ma Radość na drugie imię  
Simchà  
co dać

Tej Mindli która była córką  
siostrą i ukochaną  
a nie zdążyła być matką  
Marysi Diament bez dziecka w ramionach  
co dać

Niepotrzebny jej nasz czas  
czas się kończy głowa opada  
lęk przed światem noc i mgła  
ona idzie drobna wątła  
Courage

Z tomu: Anna Kamieńska, *W pół słowa*, Czytelnik, 1983.

*Krzysztof Kamil Baczyński*

\*\*\*

Moja ty ciemna,  
w nocy wykuta,  
w strasznym obłoku.  
Słowa jak skrzydła  
poodrywane  
umarłym wegom.

Oczekiwanie:  
te obce twarze  
zmniejszone trwogą  
są jak obrazki  
na długich łodziach  
dawnych norwegów.

Na cienkiej smudze  
naszych szerniałych,  
wygasłych spojrzeń  
przyszłość kołysze  
jak obcy owoc,  
który już dojrzał.

Pokąd nam padać  
w głuche jeziora  
drżące pod nami  
jak łzom dwu spojrzeń  
wrzeźbionym w jeden  
umarły kamień?

To tylko huczy  
szarego smutku  
rosnący szerszeń.  
Moja ty ciemna,  
w nocy wykuta,  
wykuta w śmierci.



Fot. Aleksander Judoński

## Kazimierz Wyka

### Pesymizm a odbudowa człowieka (I)

*Tylko oddziaływanie na wewnątrz, oczyszczenie i uszlachetnienie duszy zależy od woli ludzkiej, nie wpływ na świat i życie. Człowiek jest toporem wzniesionym przez niewidzialną dłoń – toporem, który sam siebie ostrzy. W tym samym sensie można by powiedzieć: złe czyny spełnia człowiek sam, dobre spełniają Bóg i natura przez niego.*

*Friedrich Hebbel, Dzienniki*

#### I

Duchowość określonej epoki więcej niejednokrotnie od tego, co w niej się mieści jako siła kształtująca i dziedzictwo późniejsze, charakteryzuje to... czego danej epoce nie dostaje. Duchowość każdej doby wylania się zawsze z nowego uładzenia i uszeregowania dążeń, siły wątków duchowych, które same w sobie istnieją stale, tyle że nadana zostaje im nowa hierarchia. Ale w życiu ducha bywa jak w życiu społecznym: zawsze poniżej hierarchii są upośledzeni i odrzuceni, tyle że każdym nawrotem kto inny na to miejsce spada. I wygląd pariasa i kto nim jest, pozwala odtworzyć wygląd hierarchii.

Pariasem duchowym czasów naszych jest ten wielki wątek myśli i uczuć, jaki potocznie zwiemy pesymizmem. W duchowości naszej doby brak absolutnie warunków, które by pozwoliły, już nie powiem na rozwój, ale zrozumienie, uznanie możliwości tego stanowiska, chociaż rzeczywistość społeczna i historyczna woła o swoich Izajaszów i woła na próżno. Nie było chyba nigdy takiej rozbieżności, by podobna ilość zła, ojca pesymizmu, rozprzestrzeniona w społecznym i historycznym powietrzu epoki, nie zdołała zupełnie precyzyjnie się w jej powietrze: moralne.

Zwyczaj optymizmu jest oznaką stabilności i pomyślności i, podobnie jak teorie automatycznego postępu, zwykł zakwitać tam, gdzie usunięta jest troska o przyszłość i gdzie się wydaje, że rzeczy wprawione zostały w tak prostolinijszy i ciągły ruch, iż nic go nie powstrzyma. Automatyzm optymistyczny wymagał dotąd maszyny społecznej, w której trybach nie ma ziaren piasku; dowiódł tego Sorel w *Złudzeniach postępu*. Dzisiejszy brak pesymizmu jest przeto zjawiskiem tak niepojętym, sprzecznością tak niesamowitą, że warto zaiste zatrzymać się, pariasowi spojrzeć w oczy, mówić się zdające, że niezwykle trzeba było pychy karłów, by przed progiem czasów stal on – niedopuszczony.

W społecznym i historycznym powietrzu tych lat dwudziestu, które historycy w przyszłości zwać będą zapewne latami międzywojennymi, cóż się działo? Wydaje się dzisiaj, z progu drugiej wojny, ta doba czymś zamkniętym, skończonym, zwłaszcza dla tych, co z racji wieku swojego nie mogą pamiętać ostatnich podźwigników ubiegłego stulecia, łagodnym dodatkiem, ciszą spokojnego zachodu barwiących ostatnie lata sprzed wojny 1914-1918. Jest ta doba czymś zamkniętym, o ile naturalnie przerwa dramatu może takie cechy nosić. „Rzeczywistością całą jest-że *entr'acte* w teatrze” – pytał Norwid, a jednak przerwa, w której nic się nie dzieje dla oczu widza, a dekoracje i osoby nowego aktu przygotowują się za kurtyną, taka przerwa była rzeczywistością całego dwudziestolecia. Tak dalece te lat dwadzieścia wydają się międzyaktem, nie czymś mającym własny charakter, ale przemieszaniem ostatniej zorzy mijającej epoki i pierwszych blasków niewiadomego świtu, że niczyje słowa lepiej jej nie określą, jak słowa Norwida, poety historii, poety takich międzyaktów i pauz. Same się cisną pod pióro wiersze z *Quidama*:

Syn Aleksandra szedł jak człowiek młody  
W powietrzu, które nagaba sumienie,  
W powietrzu, zwianym z przedświtów Epoki  
Nowej, z mętami starej – z siarką, z solą,  
Z szeptaniem kształtów nikłych jak obłoki,  
Z bitw gwarem, które mają być, a bolą;

Powietrzu, które, czujesz, że się może  
Zapalić wkoło, jak pomiotło Boże,  
I kometami rozstrzelić – miast wiele  
Zmazać, i ludzi porównać w popiele.

W tym międzywojennym przygotowaniu przewijało się jednak parę znamion konkretnych, które bez względu na rozgrywkę dramatu już wówczas się widziało, nim ten na nowo się rozpoczął. Zbiorowość ludzka coraz zręczniejsza i silniejsza ujmująca leżące rzeczywistości fizycznej, coraz sprawniejsza we władaniu materią, z niespotykaną w żadnej chyba epoce przełomu straciła panowanie nad sobą a szczególnie nad tym, co w jednostce jest zasadą etyki kolektywnej. Nie sens świata fizycznego został zagnębiony, bo o ten po prostu nie pytał się ucywilizowany barbarzyńca zurbanizowanej i zindustrializowanej masy, zadowolony, że dla użytku swego ciała opanował, nie – nauczył się bezmyślnie wyzyskiwać pracę mózgu zwyciężającego materię. Ztracony został sens świata ludzkiego, sens współżycia zbiorowego, sens różnorodności narodów i kultur, sens historii, która niczego nie wpoila, owa rzekoma mistrzyni życia. Krótko – sens humanistyczny świata padał w gruzy, humanistyczny w najszerszym znaczeniu wszystkiego, czym człowiek jak stworzonym przez siebie zasobem wartości duchowych się otacza.

Stało się to w ułamek chwili – w obliczu dostępnych nam dziejów człowieka, nie mówiąc już o miarach rozleglejszych – nieledwie po tym kiedy człowiek samoistny, ostatecznie oderwany od religii, uniesiony został w antropocentrycznej apoteozie. Kiedy nareszcie został wyzwolony i nareszcie ani węzły wiary, ani ustępstwa etyczne w imię współżycia z drugimi, ani wstyd przed zakrywanymi dotąd tajemnicami psychiki go nie krępowały, a to co najmniej świadome i najmniej ludzkie doczekało się swojego tryumfu w kulcie zbiorowego instynktu, intuicji podświadomości. Hymny wyzwolenia jeszcze nie przygasty, jeszcze je modulowali specjaliści; nareszcie nie w jednostce wysubtelnionej, która własnym trudem i rozmysłem dobiła się absolutnej samodzielności człowieka, ale w uprzeciętnionej masie to wyzwolenie rozeszło się pod kształtem pigulek duchowych, gotowych skrętek frazeologicznych, umaczanych w setnej wodzie po marksistowskim czy relatywistycznym, czy freudowskim kisielu.

Równocześnie dopiero w tym dwudziestoleciu dokonało się naprawdę to, ku czemu cała rewolucja społeczna zmierzała od czasu rewolucji francuskiej. Padły wszelkie autorytety i polityczne i kulturalne i religijne stulecia dziewiętnastego, padły wraz z ostatnimi wielkimi monarchiami Europy lądowej. Nareszcie począł rządzić lud. Może się wydać niesłuszną przesadą, ale naprawdę dopiero teraz, w tych wielkich ruchach społeczno-naro-

dowych, których kilka wydał ten czas przejścia, lud jako masa, jako uprawnienie zbiorowe dla prawdy głoszonych prądów i ustrojów został podniesiony do godności wyblagiwanej, przypisywanej mu mistycznie przez swych proroków z wieku liberalizmu mieszczańskiego.

Dla zwolenników tego łagodnego, pięcioprzymiotnikowego ludu, jaki istnieje w umiarkowanym socjalizmie, podobnym doprawdy w takiej swej roli do niewinnego baranka usadzonego na bestii, której zębów nawet on nie przeczuwa, podobne twierdzenie wydaje się bluźnierstwem. A jednak tak jest. Jeszcze nawet w zeszłym stuleciu, mimo jego oficjalnej demokratyczności, były klasy społeczne, które z racji wychowania czy urodzenia czy wreszcie zasługi, na gatunek i metody rządzenia wywierały łagodny wpływ i nie pozwalały w ten sposób na całkowite ujawnienie się konsekwencji ludu jako instancji ostatecznej dla słuszności rządzących oraz tego, w swoich ciemnych pokładach, widzimy dzisiaj, zupełnie nie przetrawionego ludu jako bazy rekrutacyjnej dla ludzi, którzy zostaną wyniesieni na szczyty i których instynkty staną się prawem. Te konsekwencje dopiero w naszych oczach ukazały się w zupełnej obfitości i to w obydwu dotąd zahamowanych kierunkach. Ujrzeliśmy ruchy i prądy, dla których jedyną i najwyższą sankcją prawdy i każdej zbrodni w jej imię popełnianej, stała się masa przeciętna, naród jako to wszystko, co wyodrębnia, co podcina związki żywotne poza naród sięgające. Można to naturalnie nazwać uzurpacją, terrorem zewnętrznym – i tak postępują przedstawiciele barankowego pojęcia ludu. Byłoby to zastrzeżenie słuszne, gdyby nie rekrutacja społeczna owych rzekomych uzurpatorów, poczynając od największych, od tych kilku, których nazwiskami znaczyć będzie historia te lata chaosu aż po najskromniejszych wykonawców (i oprawców). Cała ta struktura ludzka wywodzi się przecież w jednym pokoleniu z tzw. ludu, wszystko to są ludzie, którzy właśnie swemu prostemu pochodzeniu, właśnie brakowi wszelkich hamulców etycznych, które jeszcze niedawno temu rządzący posiadali, a doskonałemu zrozumieniu utajonych instynktów mas, skrywanych dotąd wstydliwie, bo nie znajdujących oficjalnego i upragnionego ujścia, zawdzięczają swoje miejsce. Niech więc nikt nie oskarża tyranów dzisiaj, niech nikt nie woła o uciśnionej niewinności mas ludzkich, ponieważ nie skądinąd, lecz z ich obrębu wytrysnęło wszystko – co danym jest nam przeżywać. Temu absolutnie demokratycznemu pochodzeniu przywódców, sprawców i samych doktryn nie zaprzeczy żaden sofizmat.

I cóż w tych duszach, które z miazgi zbiorowej wielu narodów, z ich podziemi wyniesione zostały ku naśladownictwu, ku prawdzie głoszonej doktryny, ujrzeliśmy, my świadkowie tego niezwykłego doświadczenia?

Otwarte czeluście i wybiegają z nich stwory psychiczne gorsze od zwidzeń demonologów, bo stwory zatajone w duszyczkach dziennikarzy, nauczycieli ludowych, samouków-rzemieślników, prowincjonalnych kupców i adwokatów, nieukończonych studentów, urzędniczków. Więc tyle kryje w sobie ten przyczajony, najzwyczajniejszy człowiek i trzeba jedynie warunków, aby prawda takich ludzi rozkwitnęła nagle i przeraziła swym piekielnym kwiatem.

Człowiek sam sobie pozostawiony, w samotności ze swoimi instynktami i dyspozycjami odziedziczonymi po nieznanych mu przodkach, jakież to odpychające i niskie widowisko. Jakżeż małym, nędznym stworzeniem jest ten człowiek samotny i jak się ludzić, że sam przełamie potęgi diabelskie, w nim utajone. Omotany jest przez nie, zostawcie bez dozoru, odda się im z rozkoszą, bo nareszcie w tym uścisku nie będzie musiał panować nad sobą i zwyciężać siebie. Zaraźliwość doktryn chaosu – tylko znaczki ferajny odmienne – bo w każdym narodzie tkwi słabiej lub mocniej opanywany przez wieki łaski i kultury, człowiek nagi, dziki i samotny. I wystarczy mu wmówić, że ta samotność, której się lęka i przed którą umyka, jest jego prawem i wyższością, że powinien się w niej pogrążyć, a usłucha. Widząc gnębienie Żydów, zapomni, że wykruszają życie jego narodu, bo ma sklepik pełniejszy zgłodniałych nabywców; widząc chwilowy swój dostatek, zapomni w chwili sytości, że i na niego czeka kolej; pójdzie za ramię do zbrodni, bo tu się dopiero wyżyje i będzie czymś groźniejszym i wyższym. Diabeł skażonej natury ludzkiej jest wszędzie ten sam, choć mówi rozmaitymi językami i porozumiewa się natychmiast, zwąchuje się błyskawicznie. Ta zbrodniczość doktryn chaosu, już nie przeciwko słabym skierowana, ale przeciw Bogu i jego piętnu na poszczególnych narodach. Dławiący smutek tego widowiska.

Jakieś skażenie pierwotne i nieczystość jest w człowieku, odrzucającym wszystko, czym go przeszłość i przodkowie obdarzyli. Ten brak radości, czystego śmiechu, uweselenia, które znamionuje człowieka prawdziwego, jakżeż widoczny jest w człowieku samotnym, ponurym zwierzęciu. Śmiać się nie umieją jak zwierzęta. Cieszyć się tylko potrafią z cudzego nieszczęścia i na cudzą krzywdę umieją uderzyć w dzwon radosny, nie znają radości czystej. Nie ma w człowieku wiele dobra poza tym, co zostało wypracowane i w trudzie utrzymane, stracić może człowiek wszystko, co zdaje się człowieczeństwem i jego istotą. Ohyda pogrzebna u dna dusz, przejście wprost w państwo straconego. Szatan za pychę ukarany i człowiek, co z pychy ujawnia swoje z nim pokrewieństwo.

Pycha. Pycha człowieka współczesnego, jakaś ostateczna konsekwencja dumnego antropocentryzmu, u którego kresu ujawnia się bestia obnażona, kultura nietknięta. Pycha, co czoła przed niczym nie schyla, przed Bogiem

i przed tym jedynym dziełem ludzkim, które ma w sobie znamię dobroci i ukojenia sphywającego na każdego – przed sztuką. Ta pasja niszczenia, która u siebie pohamowana, wylewa się z okrutną swobodą, kiedy nareszcie otworzą jej bramy na cudzą ziemię. Męczeństwo dzieł sztuki – zestawienie pojęć, którego, zdawało się, nie pozna już kultura Europy. Klóć się i w katalogach odnotowują, i szukać będą wszędzie znaczka pocztowego o nadłamanej w rogu linii, a zbezczeszczą i z ogniem puszczą dzieła nieprzeplacone, biblioteki, budowlę. Sprzeczności naszej doby, na których rozpięci, gubimy się i tracimy.

A w tym złu najpotworniejsza jest zaiste jego nieświadomość własnej roli, brak wyrzutu, skrzywienia wewnętrznego, wywołanego przemożną obecnością szatana w duszy. W mózgach i sercach tych gładkich młodzieńców, wszystko jedno jakim mówią językiem, każdej chwili gotowych do okrucieństwa, nie gości zapewne żadne przecucie grozy, potworności przez siebie zasiewanej. Szatan w nich przebywa, dla nich niewidoczny. Ta niedostrzegalność zła, brak widzenia wewnętrznego dla jego ukrytego sprawcy jest czymś niesamowicie przerażającym w naszej kulturze i wieku. Nigdy władza złego nie była wszechmocniejsza, bo tak niewidoczna, utajona przed oczyma swych doraźnych wykonawców.

Obyczajowość i piśmiennictwo ubiegłych stuleci, przede wszystkim zaś piśmiennictwo zeszłego wieku przyzwyczaiło nas do obrazu zła, nie zakrywało przed nim oczu. Zło Baudelaire'a, Dostojewskiego, Zoli, Żeromskiego, Conrada. Ale nauczyło nas równocześnie rozpoznawania zła, ukazało złamanie duchowe, zgnębienia, straszliwą brzydotę następstw i samą brzydotę wykonawców zła, towarzystwo chorób, szczurzą, zdradliwą, krętaską, niepewną, po zakamarkach i nieodwiedzanych zakątkach dusz obecną, w ciemności, w odosobnieniu, w strachu przed ujawnieniem się społecznym, przegryzającą boskie spojenia człowieczeństwa pracą szatana. Tropy diabelskie były tu wyraźne i nie można się było pomylić w ich rozpoznawaniu. Błąd, choroba, grzech, upadek człowieka pod brzemieniem, które tylko szatan nosi lekko, a pod którego ciężką już człowiek pada i rozpręga się – wiedziano, jakim imieniem nazwać znaki szatana. Jeden Dostojewski nie lękał się wziąć tego brzemienia, nie chciał nazwać ani potępiać, pozostawiał swoich ludzi diabelskiej władzy, zabraniał im pokuty, nie uznawał moralności kary. Ale i on się uginał, bo jakąż brzydotą fizyczną, ohydą otoczenia, odstręczającym oparem nędzy, niedbałości, płacił za tę zgodę na zło. Odstręczał, po niewoli odpychał, jak świadek, który nie może zaprzeczyć prawdzie swoim wyglądem, choćby pragnął zaprzeczyć słowami.

Groza zła była tam oczywista, cuchnąca, rozpoznawalna. Te oznaki grozy dzisiaj nie wystarczą i nie wskazują obecności szatana. Tam zło było indywidualne, w jednostce i dlatego z takimi oporami musiało walczyć,



bo człowiek niecośmielony naśladownictwem lęka się ujawnienia, albowiem nie wie, czy przypadkiem nie jego tylko duszę szatan sobie szczególnie obrał. Opiera się, oddaje się tylko w ciemnej samotności i tą skrytością poświadcza przewodnictwo mocy jasnych i boskich. Ośmielenia tylko potrzeba. Komuś komu odtrącony wszepiał uparcie, że niech podniesie głos, a nie przebrzmi niewysłuchany, a odpowiedzą mu rzesze dotąd przyczajone. Ośmielenia się, uznania się, skupienia się ludzkiego w imię spychanego i zwalczanego trzeba. I dlatego zło naszych dni jest dla swych służek niedostrzegalne, a obecne na samej powierzchni ich dusz i czynów, ponieważ nauczono ich, że w tym się porozumieją i zwąchają. Groza powszechna, wspólnie stwarzana, w której się powszechnie uczestniczy, przestaje działać.

Są dni apokaliptyczne, ale na inny ich widok byliśmy przygotowani. Apokalipsa naszych czasów jest uśmiechnięta, zdrowa, młoda, młodziutka, aż o dzieciństwo dotyka, pełna oczu na pozór niewinnych, jest wymyta, wyczyszczona, lubi film, piosenki, buzie i nóżki ładne, i dlatego wymiary jej niesamowitości w rzadkich jedynie chwilach dadzą się przeczuć. Trudno było przewidzieć, że szatan aż tak się zamaskuje. Że nie będzie szczurzego zakamarku, wyrzutu, skrzywienia, świadomości grzechu i upadku, że te wszystkie przeszkody usunie on swoją przemyślnością a równocześnie jego dzieła będą się dokonywać w słońcu najpełniejszym. Mordują, kaleczą, znęcają się, grabią, łupią, niszczą, hańbią, są bandyci i mali złodziejaskowie, są cyniczne hieny o mózgach wyćwiczonych w sztuce nicowania oczywistości, są pięści gotowe miażdżyć; różnaitość i pomysłowość wykonawców zła jest nieobjęta, ale na żadnym szczeblu nie znają wyrzutu i nie walczy w nich z władcą ciemności przeczucie dobra.

W iluż to krajach ta sama oczywistość zła i jego niewidoczność. Podpastrują się wzajemnie, uczą. Te same objawy i ten sam sprawca występujący pod odmiennymi i skłóconymi zawołaniami, ale ślepy dojrzy, że jego zawołania przypadkowe nie stanowią żadnej różnicy istotnej. Będą zapewne przyszli historycy wysuwać rozmaite powody tego spotwornienia historii; zbestializowania narzędzi i wykonawców, w rządzie powodów znajdą się zapewne i psychologia narodów i ich skłonność, nie wszędzie równomierną, do okrucieństw, i bezwzględność walk życiowych przetworzona w podobne środki walk międzynarodowych i niesprawiedliwość podziału świata i wiele innych. Wylicz, ile zdołasz, pozostanie wspólna w każdej odmiennej sytuacji, każdej „ideologii” międzywojennego chowu, tożsamość zjawisk, wyjaśniająca obecność szatana i bez niej nie pojmiesz niszczycielskiej nieużyteczności, bezcelowej pasji deptania tego, co już złamane, hańbienia tego, co zwyciężone.

Jeżeli kto wątpił o niewidzialności Boga i jego wszechobecnym czuwaniu, niech ogląda, jak odtrącony podpatrzył jego sprawę i niech wie, że nigdy chyba nie był on bliżej Boga, bo nie wdął się bardziej w jego jedyne właściwości. Bo dobro kieruje nami i nie uwidacznia się, nie naprzykrza, skoro jest ufnością najwyższą, łaską i pewnością, że zbłądzony i pomyłony nawróci sam, przybiegnie do stóp, kiedy weń o chwili niewiadomej uderzy promień łaski i rozświetli przebywaną i ciemną z pozoru drogę, pokaże, że na każdym załomie i niepewności czuwała dłoń przewodnicza i powiodła łagodnie i teraz dopiero, w promieniu Bożym, widnieje i jest obecna w przeszłości. O tej mocy marzy odtrącony i zwycięża, gdy uda mu się naśladować i umknie spłoszony, kiedy nazwać go jego imieniem – ty niski, ty szcurzy, ty lichy, którego dzieła nie przetrwają, któryś za słaby, by nie szczerć, gdy bije w ciebie promień słuszności i zwycięstwa.

Doktryny chaosu nie widzą jednakże w sobie fermentu przejścia. Widzą właśnie próbę wyprowadzenia świata z chaosu i próbę sądu, kto jest winowajcą takiego stanu. Cechą ludzi prymitywnych jest to, że dla uzdrowienia rzeczywistości uznają tylko i widzą sposoby prymitywne, a kiedy te okazują się zawodne, nie sposoby swoje prymityw reformuje, ale będzie się mścić na tej reszcie nieuwzględnionej, nie mieszczącej się w jego pojęciu rzeczywistości. Gdy Murzynowi nie udaje się nakręcić budzika, to budzik rozbije, ale nie przypatrzy się kółkom. Prymitywne reformowanie jest ojcem niszczenia tego, co się w planie prymitywnym nie mieści.

Ta karła, nikczemna niezaradność jakżeż łączy ustroje duchowe i polityczne, które miały zbawić świat w latach międzywojennych. Te systemy duchowe najbardziej były pozbawione przyprawy, bez której wszelka przebudowa świata czy człowieka staje się bezradnym choć pysznym doktrynerstwem: nie posiadały odrobiny pesymizmu, odrobiny widzenia świata pod kątem niedoskonałości i braku. Dla komunisty, narodowego socjalisty czy faszysty rzeczywistość dotąd nie będzie doskonała, dopóki nie przybierze formy nakazanej przez uzdrawiającą doktrynę. Tę formę udaje się jej na pewnej przestrzeni narzucić: mimo to nawet na tej przestrzeni rzeczywistość nadal doskonała nie jest, chociaż według doktryny już być powinna. Wobec tego istnieją pewni, określani, dający się nazwać po imieniu winowajcy. Dla jednych ludzie innego poglądu, dla innych całe zakresy duchowe, jak np. religia dla komunizmu i cała nienawiść za niepowodzenie na nich się skupia. Powstaje to najohydniejsze rozdarcie moralne, które na każdym kroku, przy każdej formule fanatyzmu, przynosiły lata międzywojenne: gorączkowy, prostacki optymizm, chwalba dla siebie samego jako strona górna doktryny, a pod nią prąd nienawiści, okrucieństwa, zbrodni – wstydliwie przesłaniany, ale ten, który jest właściwie krwią żywotną syste-

mu. Bo gdyby nie było ludzi, grup, poglądów, narodów, na których można by umieścić winę zupełną za niedoskonałość wcielenia i reformy, musiałaby powstać rysa nie do spojenia w tym oficjalnym, przepojonym prymitywną pychą optymizmem. Coś jak odrzucony wyrzut sumienia, który przeszedł w nienawiść, by nie mógł powrócić i dręczyć.

Systemy i ludzie walczący rzekomo z chaosem, a więc, zdawałoby się predestynowani do pesymistycznej wizji rzeczy, bynajmniej jej nie posiadają. Posiadają jedynie bardzo pesymistyczny obraz swoich przeciwników i dlatego głębokiej zmiany nie są w stanie dokonać. Wydaje im się, że winni są pewni ludzie czy pewne klasy bądź instytucje, ale nie umieją sięgnąć głębiej i zrozumieć, że takie napięcie chaosu zrodzone zostało zapewne z wstrząśnienia pierwszych podstaw natury ludzkiej, z zapomnienia o jej niezmienności i z chybionej próby uznania za dobre wszystkiego, co w niej egzystuje. To jest bowiem ślepotą optymistycznej dumy zasianej w masę ludzką. Ślepego optymistycznie stać tylko na skupienie winy na wybranych przeciwnikach, i to zawsze dowolnie, zawsze w myśl doktrynerskiego widzimisię; ślepy optymistycznie ma pole winy ciasne. „Szczęśliwi doprawdy uciśnieni, gdyby zgniatające ich siły przybierały nadal twarz ludzką, gdyby miały jeszcze złośliwość i egoizm, o które oskarża się tyranów. Niestety, tyranów już nie ma, lecz uciśnieni są ciągle. Nie ma już jednostek ani klas społecznych nawet odpowiedzialnych za jarzmo, które ciąży na masach i łamie jednostki.” (Robert Aron i Arnaud Dandieu, *La révolution nécessaire.*). Wina jest pospólna i musi być wzajemnie niesiona. Ale tymi słowami nie przemówisz do wystrojonego w doktrynę kołtuństwa.

Komentarzem czasów najlepszym *Apokalipsa*. Groza zalewająca świat, okrucieństwo i fanatyzm, bestia rozpełtana. Twórcami jej małe, zaplute na siebie wzajemnie, ochrypięte od „propagandy” karły. Tyrani, którzy nie przewodzą, ale są funkcją algebraiczną mas, ich niewolnikami bardziej skrępowanymi od pospolitego prostaczka. „Dyktatorzy są lokajami ludu i niczym więcej – (sobacza zresztą rola), sława zaś jest wynikiem przystosowania się jednego umysłu do głupoty narodowej”, wołał Baudelaire. Małość okrutna, małość masy, potężnej tylko liczbą, przerzucającej do siebie statystykami: myśmy tyle spłodzili, a wy ile płodzicie? I fałszują, i udają, że spłodzili i przewidują, ile być powinno za lat dziesięć, za dwadzieścia, kiedy się dogonią, prześcigną. I napełniają bomby i montują samoloty i kują lufy, by nie dać się prześcignąć, by ujarzmić, wygniść, wystrzelać konkurenta. I to wszystko radośnie, hucznie, z entuzjazmem, „w oparciu o wolę narodu”.

Przed progiem dusz parias zebrzący wstępu – pesymizm. Nie ma dla niego miejsca, chaos absolutny wszystko zmieści, ale zasklepił się nieprzepuszczalnie przed lada powiewem z tej atmosfery. Dlaczego tak, dlaczego tego

miejsca poskąpiono? By na to pytanie odpowiedzieć, musimy jednak najpierw przerwać rozważania nad epoką optymistycznego chaosu i radosnego okrucieństwa, a przyjrzeć się podstawowym strukturom pesymizmu, ponieważ to dopiero naprowadzi i na odpowiedź na rzucone pytanie i na to, czym pesymizm być musi w czekającej nas odbudowie człowieka i świata.

## II

Źródłem pesymizmu jest poczucie niedoskonałości i braku człowieka albo też całego świata, poczucie, które, dostrzegając nieuchronne skażenie przez zło i niepoprawność obranej pod badanie moralne sfery, każe poza nią umieszczać dziedzinę wartości bezwzględnych. Pesymizm jest przeto z natury swojej dualistyczny moralnie. Moralnie, nie ontologicznie, choć zasadniczo monistyczne formacje ontologii nie są w stanie породzić pesymizmu. Opiera się pesymizm na przeciwstawieniu etycznym, na napięciu tragicznym, podobnym do napięcia egzystującego w zjawisku tragiczności. Optymizm jest moralnie monistyczny. Optymizm najbardziej bezwzględny, optymizm naturalistyczny, dla którego świat rzeczywisty bez żadnych uzupełnień jest w myśl osławionych słów Leibniza najlepszy z możliwych światów, taki optymizm nie zna żadnego napięcia ani przeciwstawności, cały oparty jest o tożsamość świata i wartości. Filozofia tożsamości w każdym swoim wygładzie uczy optymizmu. Pesymizm tej tożsamości moralnej nigdy nie zna – samo jej dopuszczenie przekreśla pesymistyczną wizję rzeczywistości.

Można by w konkretnych systemach pesymistycznych szukać dowodu, że nieprawda jakoby ten dualizm etyczny był konieczną bazą pesymistycznego stanowiska. To system Schopenhauera. Ta druga kłamra dualizmów pesymistycznych, którą zawsze tworzył Bóg jako ostatnia ostoja dobra, została przez Schopenhauera odrzucona. Bóg chrześcijański jako stwórca i wzór wartości nie istnieje dla niego; ślepa wola, jako zasada bytu, ta wola, której niewiele brakowało, a nawet w tym systemie mogłaby zostać uczczona i nazwana Najwyższością, zostaje utrzymana na stopniu zła bezwzględnego, rodziciela ustawicznego cierpienia, ustawicznego i nigdy nie dającego się nasycić natężenia pragnień ludzkich, rodziciela czasu, zmienności, tych świadków najwyższych nicości naszej. Byt kierowany ślepią wolą godzien jest tylko zaprzeczenia i wykruszenia przez człowieka, który poznał jego wybiegi i nie zgodzi się na niewolnictwo w sidłach woli, manii ludzkiej zaspokojeniem, jakie nigdy nie przyjdzie. Z pozoru więc całkowity monizm pesymistyczny, tożsamość jak w optymizmie, ale innych pierwiastków – bytu i zła.

Jednakże i tu dwoistość sfer moralnych, wbrew zapewne świadomemu pragnieniu wielkiego mędrca i artysty, utrzymuje się – że w proporcji niepomiarnej okrojonej kosztem sfery wartości bezwzględnej, to rzecz inna. Dość, że utrzymuje się, a obecność taka podkopuje od razu cały system. To litość jako zasada etyki Schopenhauera, która łagodzić ma bestie ludzkie w ich pożyciu wzajemnym i kontemplacja estetyczna jako zasada, która pojedynczego człowieka wyzwala z objęć woli życia, która uśmierza w nim zło świata i zło jego samego. I litość i piękno, napiszmy bliżej myśli Schopenhauera – i litość i muzyka nie są z porządku świata takiego, jakim go widział filozof, są one z tego drugiego, nie dającego się pominąć, choćby go przyszło dalej niż ktokolwiek nakreślić – brzegu wartości. Bo nie było bynajmniej czymś konsekwentnym ze stanowiska pesymistycznych założeń systemu to wywyższanie etyczne litości: skoro wyniszczenie woli życia ma być celem człowieka świadomego, czyż nie lepiej, by hydra ludzka pożarła się prędzej sama i by rychlej wolę wyniszczyła? Naturalnie można to odeprzeć podobnymi kruczkami myślowymi, jakimi Schopenhauer odpierał kwestię samobójstwa, jako najprostszego unicestwienia woli.

Tak więc i ten system najbardziej skrajny świadczy, że w pesymizmie dualizmu moralnego, jako bazy tego stanowiska, nie daje się usunąć nigdy. A to zaś znaczy, że nie daje się nigdy z pesymizmu wydzielić, choćby równocześnie padały, jak u Schopenhauera, diatryby na „judeo-chryścianizm”, utajonego w nim pokładu chrześcijańskiego. Pokładu, który widząc zło i niepoprawność, który poszerzając je nawet do rozmiarów predestynacji, na jaką nie podziela Łaska, nawet do tych wymiarów, co nie mieszczą się w katolicyzmie, zachowuje jednakże brzeg drugi wartości absolutnej, który z najgłębszego upadku nie zamyka oczu na jasność i tego dualizmu etycznego nie układa nigdy na prawach równorzędności manichejskiej, skoro nawet tak skromnie stanąwszy na brzegu dobra, jak Schopenhauer, umie z tej strony widzieć rzeczywistość w jej odbłasku nieskażonym. Ta pewna miara, ta pewna równowaga jest czymś koniecznym już nie tylko ze stanowiska dobra, ale ze stanowiska skuteczności pesymizmu. Zobaczymy niżej to dziwne zjawisko, że właśnie pesymizm dla swego działania moralnego domaga się tej przeciwnej mu ostoji, a to, co się wydawało pesymizmem bezwzględny, nieustępliwym, okaże swoje oblicze skrzywione pychą ludzką; bo pycha może się nosić wyniosłe i niedostępnie, ale pycha może kajać się w urojonych skargach i nie przestaje być sobą.

Poczucie niedoskonałości i skażenia oraz dualizm etyczny to więc dwa filary główne pesymizmu. Ale pesymizm jako system waha się zależnie od tego, gdzie to poczucie zostanie umiejscowione: czy za złą i skażoną uznaje

się naturę człowieka czy sam porządek świata. Są to te dwa zasadnicze bieguny pesymizmu, między którymi od zarania chrześcijaństwa przesunął się ów wielki prąd ducha. Naturalnie, skoro zło widzi się w ułomnej naturze człowieka, nie znaczy to, by z porządku świata zostawało ono wykreślone całkowicie; znaczy jedynie, że widzi się je przede wszystkim w naturze ludzkiej. I na odwrót: zło widziane w urządzeniu pozaludzkiem świata nie oznacza wyanielenia zupełnego natury ludzkiej, oznacza jedynie, że przede wszystkim w tym urządzeniu należy go szukać. To są dwie zasadnicze struktury pesymizmu, który w obrębie tych struktur zasadniczych może się różnić jedynie ostrością akcentów kładzionych na sądy o naturze człowieka lub naturze rzeczywistości.

Pierwsza struktura pesymizmu to pesymizm chrześcijański z dziełem św. Augustyna u szczytu, struktura druga to pesymizm romantyczny z wieńczącym go dziełem Schopenhauera. Przeciwwstawienie, zwłaszcza w swym drugim członie, może się wydawać dosyć paradoksalne, postaramy się jednak dowieść, że taka właśnie formacja pesymizmu jest najostrzejszym przeciwieństwem pesymizmu chrześcijańskiego.

Kamień węgielny pesymizmu chrześcijańskiego stanowi nauka o grzechu pierworodnym. W Nowym Testamencie o grzechu pierworodnym, jego skutkach i zmazaniu mówią tylko Listy św. Pawła. Rzecz to charakterystyczna, ale nie niespodziewana, że zajmuje się tą nauką ten jedynie pisarz Ksiąg Kanonicznych, który z nich jedyny posiada surową i pesymistyczną wizję natury ludzkiej, pełną pasji w karceniu, w nienawiści do zła ludzkiego, ten co wołał „nie rozumiej wysoko, ale się bój”. Zostaje ten grzech zmazany ofiarą Chrystusa, z Nim „stary nasz człowiek pospółu jest ukrzyżowany, aby zepsowane było ciało grzechu i abyśmy dalej nie służyli grzechowi” (*Do Rzymian, VI, 6*). Otwarta została wprawdzie człowiekowi droga do doskonalenia się, ale nie została przywrócona doskonałość utracona. Śmierć cielesna jest tu wskazaniem tych skutków niezamazanych nawet ofiarą Chrystusa, bo przecież praojciec Adam miał być nieśmiertelny cieleśnie, a śmierć fizyczna, jako kara za grzech pierworodny, przeszła na jego wszystkich, aż po skończenie świata, potomków. Skutki grzechu pierworodnego więc trwają i w postaci skłonności naszej natury i w postaci faktów, a ich rozumienie było w historii chrześcijaństwa zarodem sporów i potępianych przez Kościół katolicki interpretacji, predestynacyjnych absolutnie w duchu Kalwina, czy predestynacyjnych w mierze łagodniejszej w duchu Jansena, ale czy tak czy inaczej pojmowany, takie czy inne wydający skutki społeczno-religijne (purytanizm kalwiński) on to zawsze, symbol odpadnięcia natury ludzkiej od dobra jest filarem pojmowania tej natury w chrześcijaństwie.

Kościół katolicki swoje stanowisko w tej kwestii ustalił na soborze trydenckim, wówczas kiedy reformacyjne interpretacje grzechu pierworodnego domagały się dokładnej odpowiedzi Kościoła. Odpowiedź poszła nie w ślady św. Augustyna, ale św. Tomasza z Akwinu. Św. Tomasz z Akwinu odrzuca wprawdzie (*Prima secundae*, 81-83), podobnie jak św. Augustyn, pelagianizm – dzisiaj tę herezję można spokojnie nazwać praojcem optymistycznego naturalizmu – negujący dziedzictwo grzechu pierworodnego w rodzaju ludzkim, ale nie przyjmuje tego dziedzictwa w takim zakresie jak św. Augustyn, ten który wyznaje, że jedną z najgłówniejszych przeszkód w uznaniu wcielenia Chrystusa było to, że „bał się wierzyć w Boga wcielonego, aby nie musiał wierzyć w cielesne splamienie.” (*Wyznania*, V, X)

Według *Summary* cały rodzaj ludzki musi być pojmowany na podobieństwo jednego człowieka, uczestniczącego jako całość w naturze przekazanej przez pierwszych rodziców; nie jest więc grzech pierworodny stanem przekazywanym z pokolenia na pokolenie, a więc takim, który mógłby ulegać zmniejszeniu lub wzrostowi, ale stanem metafizycznie barwiącym naturę ludzką bez względu na pokolenia. Sam zaś grzech pierworodny, to *habitus*, a zatem coś więcej niż przemijająca *dispositio*, *habitus*, który nie może być zestawiany z tego rodzaju *habitus* jak nauki i cnoty, których istotą nadawanie naszym władzom popędu do czynu. Jest to *habitus* mimo swej trwałości gorszego gatunku, a mianowicie pewien złożony przydatek natury, jak np. choroba lub zdrowie, a więc jest to stan zawieszenia równowagi, która przed grzechem istniała w naszej naturze. Grzech pierworodny zwie się przeto wyczerpaniem, zmęczeniem tej natury – *languor naturae* – zmęczeniem, które najbardziej zakaziło naszą wolę, kierując ją ku pożądlivosti. W tym ukazaniu woli jako strefy szczególnego działania grzechu pierworodnego jest św. Tomasz całkowicie zgodny ze św. Augustynem, który wielokrotnie i dobitnie powtarza że „wola jest przyczyną naszych złych czynów”. (*Wyznania VII, III*)

Widzimy jak subtelnie jest w tym systemie pomieszczony grzech pierworodny i jak znakomicie jest rozwiązana jego trwałość i powszechność. Miejsce zaś, jakie ten grzech zajmuje w całym porządku wszechświata, najlepiej unaoczni zestawienie z przeciwnym typem pesymizmu. Oto Schopenhauer gotów był uznać grzech pierworodny – ujrzymy to niżej – jeżeli będzie się przez niego rozumieć grzech całego świata, który wiedzie za sobą cierpienie całego świata („Nachträge zur Lehre vom Leiden der Welt”), czyli zepsucie całego porządku świata. Nic podobnego u św. Tomasza. W jego pełnym niesamowitej precyzji dziele w ogóle nie ma pytania postawionego, czy i jak grzech pierworodny mógł skazić porządek powszechny świata. Gdyby takie pytanie w ogóle pojawiło się w umyśle Doktora Anielskiego,

nie omieszkalby go postawić, ponieważ jest ono na pewno ważniejsze od stawianych problemów, czy np. istniałby grzech pierworodny, gdyby tylko Ewa zgrzeszyła, lub czy Adam w stanie niewinności mógł oglądać aniołów. Jedyny ślad tego pytania jest w rozstrząsaniu kwestii, że karą za wypowiedzenie przez człowieka posłuszeństwa Bogu stało się wypowiedzenie przez zwierzęta posłuszeństwa człowiekowi. Grzech pierworodny nie wpłynął więc zupełnie na całość porządku pozaludzkiego, nie obniżył wagi tomistycznej zasady, że wszystko, co istnieje, skoro istnieje, jest w pewnej mierze doskonale, a więc dobre etycznie, a zło nie jest bytem ani naturą, lecz jedynie brakiem dobra, jak ciemność jest brakiem światłości.

W takiej interpretacji świata miejsce grzechu pierworodnego, jest dokładnie określone i – ograniczone. Wiadomo dokładnie pokąd ten grzech sięga, czego zaś człowiek nie zdołał skazić swoim błędem. Natomiast z porządkiem pozaludzkiem świata ten pesymizm nie wchodzi w kontakt: człowiek jest skażony, ale byt i wszechświat jest dobry, ponieważ w prostej linii, bez łamiącej przeszkody grzechu pierworodnego, pochodzi od nieskończonego dobra i miłości.

Nie oznacza to jednakże płaskiego optymizmu *à la* Leibniz o najlepszym z istniejących światów. W twierdzeniu bowiem takim nie jest rozwiązana kwestia, czy to jest nailepszy w ogóle świat, na jaki stać było Stwórcę, czy też po prostu ten świat, jako istniejące już dzieło Boga, posiada niejaką doskonałość i w tym sensie nie mógłby być lepszy, bo musiałby być całkiem inny. Odpowiedź zaś druga wcale nie przesądza pytania, czy Boga nie stać na inne, lepsze światy, czy ich nie stworzył, czy nie istnieją nam niedostępne, lub czy nie stworzy, a w takim razie świat nasz nie jest najlepszy, mimo że w dostępnej mu jakości bytu jest dobry. Tak przynajmniej twierdzi teologia katolicka, tak czytamy u św. Tomasza (*Prima*, 25,6) i tak brzmieć musi chrześcijańskie ujęcie doskonałości porządku pozaludzkiego, które nie dopuszczając pesymizmu w ocenie całości bytu, zarazem stawia tamę kwietystycznemu i naturalistycznemu zadowoleniu.

Ta konsekwencja jest przeważnie jednak umysłem niedostępna i dlatego to najślabszym miejscem chrześcijańskiego porządku świata pozaludzkiego są te pomijane nawet w pesymizmie chrześcijańskim, nie mówiąc już o innych układach duchowych, pytania o rozmiar cierpienia, które panoszy się wśród wszelkich stworzeń żyjących, pytania o zło zbiorowe społeczeństw ludzkich, pytania czy naprawdę zasada miłości i dobroci tłumaczy fizyczny porządek rzeczy. Dlatego to od tej strony najostrzej nacierano na chrześcijaństwo, wskazując, że bywa ono niepomierne wymagające wobec natury ludzkiej, a banalnie łagodne i optymistyczne wobec wszystkiego, co istnieje poza człowiekiem i jego naturą moralną, a przysparza mu więcej



cierpień i upadków, aniżeli ta natura. To miejsce najdogodniejszych zarzutów na razie tylko wskazujemy, do ich słuszności dopiero powrócimy.

Kształt więc pesymizmu chrześcijańskiego musi w grubym skrócie wyglądać jak niżej, musi zmierzać ku tym dwom biegunom oceny: natura ludzka jest upośledzona, a rzeczą sporną wśród wyznań chrześcijańskich są tylko sposoby, jakimi Bóg lub człowiek sam wydobywa się (albo nie wydobywa) z tego stanu. Natura pozaludzka jest albo doskonała, bezbłędna, albo przynajmniej spoczywa na takiej podstawie, że nie dotyczą jej wymagania moralne stawiane człowiekowi. Nie twierdzę naturalnie, ażeby sposób chrześcijańskiego ujęcia wartości człowieka i wartości bytu, zwłaszcza jeżeli chodzi o katolicką *analogia entis* między Stwórcą a tym co stworzone, musiał przybierać tylko ten pesymistyczny charakter, by dostarczone przez Odkupienie środki zatarcia niepoprawności nie umniejszały tego ludzkiego czysto zarodu zła do ledwo tlejącej iskry. Chodzi jedynie o to, jeżeli na skutek specjalnej dyspozycji umysłu, powtarzającego ten przebieg moralny, albo na skutek warunków czasu, ukazujących niekiedy jaskrawo, jak bardzo stworzone ucieka od swego wzoru, rozwiązanie pesymistyczne wartości człowieka, ale rozwiązanie w duchu chrześcijańskim, stanie przed jednostką czy epoką, to wówczas jego bieguny nie mogą się ułożyć inaczej: człowiek, dzieło Stwórcy, które Go zawiodło, świat który nie zawiódł.

U szczytu przeto tego dualizmu i pesymizmu chrześcijańskiego stawiać należy dzieło św. Augustyna, albowiem nikt śmieiej nie wydobył konsekwencji tego stanowiska. Świat jako całość był dla św. Augustyna czymś doskonałym i skończonym, jak dzieło sztuki, bo innym nie mógł dla niego wyjść z ręki Boga. We wszechświecie nie było według św. Augustyna miejsca na zło – i ontologicznie, i estetycznie. Ontologicznie, ponieważ św. Augustyn, zawsze przeniknięty swoim wyzwoleniem się od manicheizmu, najwięcej trudu wkładał w to, by dowieść filozoficznie, że zło nie jest żadną substancją bytową, jak widzieć je pragnął manicheizm. Św. Augustyn przeto przeprowadził zasadę, później oczywistą, „że zło nie jest niczym innym, jak brakiem dobra, dochodzącym aż do stanu zupełnej nicości”. (*Wyznania III, VII*) Ale przede wszystkim względ estetyczny u niego decydował. Pisał wszakżeż o *universitatis admirabilis pulchritudo*, Boga nazywał „najwyższym wzorem piękna”, dziwił się, jak mogą być ludzie, nie dostrzegający estetycznego ład u wszechświata, ba, nawet sądził, że grzech ludzi nas dlatego, ponieważ ukazuje pewne piękno zwodnicze i niedoskonałe. Piękno, nie tylko we wszechświecie, ale i w ludzkich sprawach, było dla niego zapowiedzią prawdy.

Świat jako piękno nieogarnione, w nim zaś człowiek nieuchronnie, okrutnie spalony znamieniem grzechu Adama i słuszność cierpienia całego rodzaju. Istota wszechświata nie była inna od istoty Stwórcy. A istota czło-

wieka? – „Oni chcą być światłem nie w Panu, lecz sami w sobie, uważając, że istota duszy jest tym samym, czym jest Bóg, i dlatego to stali się tym bardziej nieprzebraną ciemnością, gdyż o tyle dalej wskutek straszliwej swej zarozumiałości odeszli od Ciebie”. (*Wyznania, VIII, X*) Człowiek nie był zdolny sam do podniesienia się moralnego i jedynie łaska – kapryśna, zaiste, łaska, skoro nie uznawał św. Augustyn związków przyczynowych między nią a zasługą człowieka, może tego dokonać. Między pięknem i dobrem wszechświata a ułomnością człowieka jest w tej interpretacji dualizmu chrześcijańskiego taka rozbieżność, taki dysonans, że samo pozostawienie przez Boga człowieka w tym nieskażonym porządku wszechrzeczy być winno dostatecznym powodem wdzięczności.

Rozmyślnie postawiliśmy wygląd najbardziej krańcowy i zarzucony później pesymizmu chrześcijańskiego, by tym ostrzej zarysował się kontrast wobec drugiej struktury pesymizmu, równie konsekwentnej i nieugiętej, ale przeciwnie rozkładającej przyczyny zła, tej struktury, jaką w piętnaście wieków po biskupie Hippony ustalił Schopenhauer, tej, która, mimo że jej apogium minęło wraz z literackim i filozoficznym modernizmem, pozostaje jedyną dostępną dzisiejszemu człowiekowi krystalizacją pesymizmu.

Schopenhauer najbardziej pogardzał i za najniższą religię uważał judaizm. Ten sam Schopenhauer pisał jednak, że jedynym, co mogłoby go pogodzić ze Starym Testamentem, jest historia grzechu pierworodnego, albowiem pod alegoryczną postacią skrywa jedyną prawdę metafizyczną tych ksiąg. Posiadał przeto przeczucie, czym dla każdego pesymizmu być może ów fundament pesymizmu chrześcijańskiego, od razu jednak, już przy interpretacji tej prawdy, znajdujemy u niego dziwaczne zamieszanie i rozdwójnienie. Grzech pierworodny, odnosząc się do natury ludzkiej, nie do natury świata pozaludzkiego, przymusza do widzenia człowieka jako stworzenia lichego i niedoskonałego. Schopenhauer nie był pozbawiony takiego spojrzenia na naturę ludzką. Twierdził, że tylko porządek społeczny hamuje zwierza ludzkiego, ale rozpetany gotów się on zawsze pożerać, bo złośliwość jest mu wrodzona, jak jad wężowi. Egoizm ludzki znalazł tak świetnie, że jako zasadę postępowania etycznego wobec drugich stawiał właśnie wykluczenie „normalnych” pobudek ludzkiej działalności. A jednak ten sam myśliciel z lubością cytował słowa Vaniniego: „si daemones dantur, ipsi, in hominum corpora transmigrantes, sceleris poenas luunt.” Istnienie ludzkie na ziemi było więc równe cierpieniu piekielnemu i niewyczerpaną doprawdy pomysłowość rozwijał Schopenhauer w podciągnięciu wszystkiego, co człowieka otacza, pod jeden strychulec wielkiej złośliwości, dokuczliwości wobec niego; człowiek w końcu wyglądał w jego systemie, jak średniowieczny skazaniec, zamknięty w nabitą gwoździami „dziewicę” tortur.

A to była przecież sprzeczność, ta najbardziej dzisiaj uderzająca w systemie Schopenhauera niezgoda dwóch struktur pesymizmu: pierwszej odnoszącej zło do człowieka, drugiej do porządku powszechnego. Struktura pierwsza jest tutaj w zaniku, ale jeszcze na tyle widoczna, by zrozumieć, skąd ta sprzeczność się poczęła i dlaczego dzisiaj tak uderza.

Według głównego bowiem przekonania filozofa dola człowiecza jest zbiorowiskiem nędzy i cierpienia, nie dlatego, że człowiek przez swoją nikłość moralną sam jest sprawcą swego losu, ale dlatego, iż jest narzędziem w rękę ślepej woli życia. Wola jest łącznikiem między człowiekiem a wszelkim światem zewnętrznym, ale wola jest jedynie w człowieku odpryskiem powszechnej woli życia, bezgranicznej, nie znającej spoczynku w czasie, nawet właśnie twórczyni czasu, jako głównego medium tortury ludzkości. Człowiek rządzony jest pragnieniami, które nasycone, narodzą nowe pragnienia i tak w nieskończoność, ponieważ, byt jego to *existentia fluxa*, ale ta właściwość nieuchronna jego bytu jest tylko fragmentem, wycinkiem (naturalnie w znaczeniu metafizycznym) ogólnego porządku rzeczywistości. Nie dlatego więc natura ludzka jest zła i skazana na cierpienie, by to stanowiło cechę odróżniającą ją od reszty bytu, ale dlatego, ponieważ cały porządek bytu jest złem i cierpieniem i natura ludzka nie może ująć spod tego prawa. Grzech pierwotny, powiada mędrzec, jest grzechem świata, wiodącym za sobą cierpienie świata, a nie grzechem człowieka, sprowadzającym cierpienie przede wszystkim na niego.

Oto zapowiadane zupełne przesunięcie nacisku i przejście pesymizmu w jego stan drugi. To przesunięcie tłumaczy zarazem wspomnianą sprzeczność:

Schopenhauer widzi to specyficznie ludzkie zło naszej natury, które nie ma przecież żadnego wytłumaczenia w porządku świata rządzonego ślepa wolą, które jest samoistne i nieśmiertelne, a jednak nie wysnuwa z tego żadnej konsekwencji. Stwierdza i porzuca wątek. Natomiast to zło i cierpienie, które widzi w naturze ludzkiej, pochodzi z całkiem odmiennej sfery, z jego specjalnej konstrukcji rzeczywistości. Człowiek przeto cierpi u niego nie, by w nim były pierwiastki duszy, godne kary i cierpienia, pierwiastki, które są winą i skażeniem, ale cierpi, bo taki jest skonstruowany przez myśliciela bieg świata.

System Schopenhauera można by przedstawić w obrazie dwóch dróg, które biegną ku sobie, mają się spotkać i nagle się rozchodzą – niepogodzone. Człowiek jest zły – i tu mógłby być przeskok do przyczyn ludzkiego cierpienia, ale przeskok się nie dokonuje. Człowiek cierpi, ponieważ jest niewinnie, bezsilnie ze swojej strony, bez prawa protestu, bez możliwości zerwania wplątany w bieg świata, który nie wiadomo za co go karze. Nigdzie lepiej tej zasadniczej sprzeczności (lepiej i mimo woli)

Schopenhauer nie ujął, jak w takim zdaniu: *Die Welt ist eben die Hölle und die Menschen sind einerseits die gequälten Seelen und anderseits die Teufel darin*. Zdumiewające, jak w pogoni za błyskotliwością aforyzmu prześlepiął prostą stąd, a sprzeczną z kierunkiem jego głównym prawdę: skoro dręczona niewinnie dusza, to nie diabeł, a jeżeli diabeł, to nie dusza dręczona, lecz ktoś kto sobie sam swój los zgotował.

Oskarżonym w pesymizmie Schopenhauera jest porządek świata tak dalece, że oskarżenie zostaje w całości rozciągnięte na pierwszą przyczynę świata: tej w postaci dobra lub nawet mądrości nie ma u Schopenhauera, wszystko wypływa z woli, a wola jest złem. Wspomnijmy dla kontrastu św. Augustyna, u którego szata zła, najszczelniej zakrywająca naturę ludzką, rozpowija się i niknie, im wyżej w porządek bytu, aż staje się uniesieniem estetycznym nad pięknem Boga. Skąd to przeciwieństwo struktury pesymizmu wzięło się u Schopenhauera?

Jako odpowiedź wysnujemy konsekwencje z faktu, z którego filozof nie chciał ich wysnuwać: stwierdził w człowieku zło moralne, nie powiązał go z porządkiem etycznym świata. Najpierw jednakże konieczna jest pewna wycieczka myślowa, mająca uzasadnić przymiotnik „romantyczny”, kładziony przy tej drugiej strukturze pesymizmu. Przymiotnik ten wbrew temu, co się prawie powszechnie twierdzi w analizach myśli Schopenhauera, musi być również rozciągnięty na jego system. Dlatego wbrew wszystkiemu, bo najczęściej spotyka się zdanie, że ów system był gwałtowną reakcją na ewolucyjny optymizm tożsamości, panujący w oficjalnej filozofii romantycznej, ten optymizm, którego koroną stała się historiozofia Hegla. Wiadomo, jak Schopenhauer nienawidził tego optymizmu romantycznego, ile mu poświęcił kart pełnych sarkazmu i dokuczliwości, bo i on w swoim systemie pragnął widzieć kompletną reakcję przeciw romantycznej filozofii identyczności bytu, pojęcia i dobra. Wiadomo również dalej, że spoczywające w zapomnieniu dzieło Schopenhauera dopiero pod koniec jego życia nabiera rozgłosu, kiedy to po gwałtownym rozczarowaniu Wiosny Ludów, dowodzącym, iż rzeczywistość historyczna bynajmniej nie realizuje się w doktrynie idei, poczęto szukać innych mistrzów.

A jednak... A jednak filozofia Schopenhauera jest w nim skryształizowana przed 1818 rokiem, a więc w pełni niemieckiego romantyzmu, dojrzewa w nim współcześnie z działalnością Schellinga, Fichtego, Novalisa i jest rzeczą z góry nieprawdopodobną, by do niej nie przeciekło z ducha panującego prądu. Taki hermetyzm byłby czymś niepojętym. Tą zaś cechą romantyki europejskiej, która najsilniej i najkonsekwentniej rozwinęła się w romantyzmie niemieckim, która gdzie indziej występuje w dużo bledszych odcieniach, jest bezwzględny indywidualizm romantyczny, jest prawo

„ja” romantycznego przemienione w oś moralną i filozoficzną wszelkich zjawisk. Romantyzm żadnego narodu nie zdobywał się na tak bezwzględne w tej mierze akcenty, jak romantyzm niemiecki. Oto słowa Tiecka: „Wszystko podległe jest mojej woli, każde zjawisko, każde postępowanie mogę nazwać, jak mnie się wydaje stosowne; ożywiony i nieożywiony świat zwisa na łańcuchu, którym mój duch włada, całe życie moje jest tylko snem, którego przerozmaite postacie kształtują się według mojej woli. Ja sam jestem jedynym prawem całej natury, prawu temu wszystko podlega.” Młody Schlegel wołał: „Cóż innego jest godnością naszą, jak postanowienie i zdolność, by Bogu stać się podobnym.” I podobne zawołania, które dziesiątkami można by podawać, rozumiane być muszą nie metaforycznie, ale dosłownie.

Ta zasada bezwzględnego antropocentryzmu nie była sama w sobie specjalnie romantyczną zdobyczą. Romantyzm zbierał tylko owoce przemian zachodzących od czasów odrodzenia. Odrodzenie dokonało dziwnej zamiany: ziemia nasza, która w kosmologicznym układzie średniowiecza i chrześcijaństwa zajmowała miejsce centralne, została przez Kopernika strącona z tego ośrodka i umieszczona później w rzędzie równych sobie planet; ale jakby w nagrodę i odpłatę za ten upadek kosmologiczny, człowiek i jego natura, które w systemie średniowiecznym zajmowały poślednie, odtrącone od doskonałości miejsce, ta dwójca coraz śmielej zostaje wprowadzona na miejsce centralne. Strącając planetę swoją, człowiek ją sobą zastąpił.

Ten antropocentryzm rósł ze stuleciami, ale zawsze jeszcze starał się posiadać pozory prawdy, obiektywizmu, praw powszechnie obowiązujących – był przeto antropocentryzmem racjonalistycznym i prawodawczym. Dopiero romantyzm wysnuł wszystkie konsekwencje, nie zatrzymał się w połowie drogi: jego spór z prawodawczym klasycyzmem jest właściwie sporem braci, starszego, który jeszcze dba o formy, i młodszego, który odrzucić je pragnie wszystkie. Bo teraz miejsce środkowe zajmuje antropocentryzm uczuć i instynktów; człowiek jest podobny Bogu właśnie przez to, że jest absolutnie podobny sobie, temu co w nim subiektywne, podświadome, odróżniające od drugich. „Ja” romantyczne nadaje rzeczywistości swój obraz wewnętrzny, bezceremonialnie i z dumą zwąc to „prawem”, i ma w swym przekonaniu tę rzeczywistość oceniać, wartościować według swojego wewnętrznego obrazu uczuciowego. I to jest najistotniejsze: romantyk nie pyta rzeczywistości o jej prawa, nie stara się być obiektywnym, nie zna oceny prawnej, tej która nie pyta o subiekt, lecz o rzecz i słuszność, ale jakość jego uczuć jest zarazem jakością świata. Stąd formą pesymizmu romantycznego jest niechęć, niezadowolenie idące z duszy jednostkowej, które po zabarwieniu przez siebie rzeczywistości zewnętrznej zostaje uznane przez romantyka za cechę, za ujemną jakość tej rzeczy-

wistości dającą prawo do wyrzutu, do skargi, do oczerniania rzeczywistości. Pierwsza część tego procesu dokonuje się jednak po cichu, jako pewien przymiot duchowy, do którego nie należy się przyznawać, a dopiero części drugiej zostaje nadany rozgłos.

Naturalnie nie tylko pesymistyczna barwa świata w ten sposób zostaje mu nadana, podobnie przebiega proces romantycznego szalu, radosnej afirmacji świata, który znów obiektywnie nie będzie tak jaskrawy, jak go widzi romantyk, ale w tym wypadku niesłuszność tego procesu tak się nie ujawnia, ponieważ nie wie on do krzywdy w imię subiektywizmu zadawanej światu.

A czyż inaczej wartościowanie porządku pozaludzkiego i obciążanie go złem wygląda u Schopenhauera? Dowodzi on wprawdzie, że dola ludzka jest licha i pełna cierpień, ponieważ ta dola jest narzędziem w ręku woli życia, ale ten dowód nie może być uznany jako coś obowiązującego i obiektywnego. Ponieważ to tylko pewna hipoteza metafizyczna, mająca poza człowieka przenieść i przedłużyć powód jego cierpień. Tę hipotezę metafizyczną zwolennik systemu naturalnie przyjmie, ale przeciwnik, czy choćby człowiek patrzący z boku, nie może w niej widzieć dowodu, lecz tylko konstrukcję mającą zastąpić dowód, kiedy się w całość systemu uwierzy.

Hipotezę należy przeto odrzucić i jako jedyny pewny ośrodek systemu pozostanie to: centrum świata stanowi człowiek, wplątany w koło udręczeń, nieszczęść, cierpień, człowiek, który nie umiając sobie wyjaśnić powodów tego wplątania, który nie widząc ich ani w swojej naturze, ani w układzie moralnym świata, szuka sprawców i wobec tego w typowo romantyczny sposób z jakości swej indywidualnej czyni jakość bytu. Raz to uczyniwszy, poczyna ten byt oskarżać i buduje całą przesubtelną konstrukcję, z jakiej wychodzi on niewinnie udręczony, zmiążdżony światem. Z systemu pozostaje więc ta zupełnie romantyczna reszta, bo – raz jeszcze – hipotezy woli, jako monistycznej zasady ducha i materii, nie sposób przyjąć, tak jest ona krucha i niepewna. Bezwzględny antropocentryzm uczuciowy o barwie pesymistycznej to ośrodek romantyczny pesymizmu Schopenhauera, ten sam antropocentryzm dumy i ludzkiej pewności siebie, który u innych także w imię upojenia człowiekiem odrzucał konstrukcję obiektywną świata i odrzucał Boga. Romantyczni przeciwnicy Schopenhauera upojeni byli radośnie, on sam ponuro, ale tym samym trunkiem: człowiekiem uczuć, instynktów, woli jako pędu nieświadomego, człowiekiem *par excellence* romantycznym jako centrum bytu. Jako centrum jedynym, poza którym nie ma wartości, ale od którego wartości właśnie zależy jakość całego bytu.

Rozumiemy teraz wreszcie, dlaczego Schopenhauer, widząc zło w naturze człowieka, a więc posiadając pierwszy stopień do tragicznego związku upadku i kary, nie zagłębiał się w to przeczcucie. Dla romantyka człowiek może cierpieć i to bywa złem w jego bytowaniu, ale człowiek sam w sobie jako ośrodek rozbiegającego się odeń wartościowania zły nie może być nigdy i nie jest. I osobista mizantropia Schopenhauera, nakazująca mu pisać o ludziach-wilkach i ludziach-wężach, jest w tym wypadku bardziej przenikliwa od lancetu systemu. Ten zawodzi – z romantycznej konieczności. Szata zła, skrywająca szczelnie twarz bóstwa, nie sięga ludzkiego oblicza – śmiało to rzec możemy.

Słabości pewnego systemu najlepiej się nieraz ujawniają w jego wydaniach wtórnych. Pesymizm literacki europejskiego modernizmu cały był zbanalizowaniem i spospoliceniem Schopenhauera i dlatego braki tej myśli odsłaniał. Posłuchajmy klasyka (*excusez le mot*) tego spospolicenia, Huxmansa: „Trzeba się poddać prądowi. Schopenhauer miał słuszość; życie ludzkie krąży jak wahadło między bólem a nudą. Trzeba tylko założyć ręce i zasnąć.” Czyli ośrodkiem stałym, miarą bezwzględną jest tutaj człowiek. Ponieważ on cierpi, ponieważ jego dręczy nuda, ponieważ jemu nie udaje się umknąć nieszczęściu, pesymizm posiada uzasadnienie. Nie dzieje się to naturalnie u Schopenhauera w sposób tak uproszczony jak u epigonów, ale sens równania moralnego inny nie jest.

Skontrastowawszy te dwie główne struktury pesymizmu, możemy obecnie odpowiedzieć, która z nich tylko ludzi i zasługuje na odrzucenie. Jest tą formacją pesymizm antropocentryczny, przerzucający źródła zła w porządek ogólny świata. Taki pesymizm jest pewnym sądem nad światem, sądem sprawowanym przez człowieka, ale by wyroki tego sądu mogły posiadać uzasadnienie, musiałby człowiek i jego twórczość mieć dane obiektywne, które przeciwstawione nieudolnemu porządkowi rzeczywistości nadawałyby człowiekowi możność sądzenia rzeczy, jakie go tak niesłychanie przerastają, że tylko fragmentarycznie może je zrozumieć, a cóż dopiero jako całość – ocenić. Takich zaś danych człowiek w ciągu swojej historii dotąd absolutnie nie posiadał i na pewno nie posiędzie.

Człowiek z otaczającym go światem własnych jego wytworów ledwie że daje sobie radę, człowiek pod ciężarem własnych swych dzieł jak często upada, a jednak z niezmiernymi pretensjami przychodzi do porządku świata i – o pycho: – poucza, naprawia, jest niezadowolony. Gdzież to są dzieła ludzkie o prawdziwej trwałości, o sensie uznawanym przez dziesiątki pokoleń, czy człowiek jest stwórcą tego, co nie przemija, co ma ład wewnętrzny i co nie zna sprzeciwu, lecz zawsze się narzuca, by ten człowiek miał prawo ukazywać

swoje dzieła na świadectwo, jak być powinien świat urządzony: A może jest tym dziełem samotna, ponura dusza ludzka? Może kultury całe, odgrzebywane z pustyń, wydobywane spod obojętnej ziemi, kultury, z których nic by nie pozostało, gdyby nie zmysł wyobraźni historycznej, wykształcony w krótkiej jak jedno stulecie dobie, który je na chwilę ożywił i uczcił. Zmysł, który może paść, gdyby zapanował barbarzyńca uprzeciwniony. Może miasta padające w ruiny, może gruzy i zniszczenie własne ręką niecone gęściej niż następstwo pokoleń, może prawa trwałe w obliczu czasów, jak przelot ptaka, może urządzania zbiorowe, nauki, teorie, pomysły – piasek sunący przez palce pokoleń, znikomość. „On dziecię potrzeb, nędzy i szaleństwa, nagie, bezbronne, głodne, syn zakopciałych i zatęchłych miast, jałowej lub wycieńczonej gleby i karłowatych drzew... On, przepisujący tą właśnie nędzą swoją prawa bytom.” – zdumiewał się Norwid. Dzieła ręki ludzkiej nie posiadają trwałości i umiejętności takiej, by dawały człowiekowi prawo do pesymistycznej oceny świata i jego porządku. Tylko piękno mogłoby dawać to prawo człowiekowi, ale ono właśnie przeciwko niemu przemawia: piękno jest władzą nadawania wiekuiętego ładu, celowej i zachwycającej niezmienności chaosowi, a więc tym, czego zasadniczo człowiekowi nie dostaje, a jest właśnie rozrzutnie obecne w dziele Boga i drobną kruszyną zeszło do rzeczywistości ludzkiej.

Czy porządek świata jest dobry czy zły, czy mógłby być ulepszony, czy urządzenie rzeczywistości niesie człowiekowi więcej zawodów czy szczęścia, są to zaiste pytania pełne nieprzysługującej człowiekowi dumy i równocześnie pytania... blahe, bo każda odpowiedź ludzka oceniająca będzie tak ważna, jak sąd mrówki o dębie. W samym zaś losie człowieka odpowiedź pesymistyczna nie przyniesie najmniejszej zmiany, tak że to co miało być przez nią uleczone, zostaje pominięte.

Jak zaś niewiele taka formacja pesymizmu pozwala zrozumieć losy człowieka, dowód jest jeden, ale wprost klasyczny. Oto prawdziwy pesymizm jest rodem z atmosfery tragicznej. W pesymizmie inaczej wprowadzić niż w tragedii, ale na podobnym poczuciu łączności, wzajemności moralnej buduje się związek winy i kary. W pesymizmie romantycznym i późniejszym ten związek został całkowicie zatracony. Człowiek nie jest winien, nawet na podobieństwo winy tragicznej, będącej winą odmiennego niż w życiu gatunku, a jednak spadają nań dotkliwość i ból. I nie dziwny się przeto, że ta sama duchowość, która poczęła bękarci pesymizm, nie zrodziła tragedii. Nie ma tragików od czasu klasycyzmu francuskiego, wszystkie tragedie romantyczne są pseudotragediami, pisarz zaś obdarzony duchem tragiczności – Wyspiański – jest w latach Ibsenów, Maeterlincków, Przybyszewskich doprawdy jak głaz narzutowy przyniesiony z nieznaną pod tą szerokością formacji geologicznej. Bezpośrednie sąsiedztwo klasycznej tragedii francuskiej



z wielkim wybuchem prawdziwego pesymizmu – jansenizm – nie jest przypadkiem, ale bliźniactwem duchowym, jak tym bliźniactwem jest brak tragedii, kiedy za pesymizm uznano wmówienia antropocentrycznej dumy.

Świadomość tych niebezpieczeństw wśród umysłów współczesnych romantyzmowi, sprawcy głównemu tych błędów, należy do absolutnej rzadkości. Tylko dwa nazwiska: Baudelaire i Hebbel. Baudelaire, który Georges Sand nazywał diabelską pokaśnicą, „opętana” (dosłownie), której „diabeł mówił, by się spuściła na swe dobre serce i zdrowy rozsądek i ażeby z koleji wmówiła wszystkim innym ciężko głupim, że mają się spuścić na swe dobre serca i zdrowe rozsądki.” Czyli na człowieka naturalnego, uwielbionego najmocniej od czasów Rousseau’a. Z *Dzienników* Hebbela nie mogę sobie odmówić radości przepisania takiej notaty pochodzącej z 1837 roku: „Nasze czasy, to złe czasy. Wielka tajemnica, «wgląd w nicłość», schowana była dawniej pod rygle i zamki, które dziś są uszkodzone: już chłopiec może je oderwać a młodzieniec je wylamuje, lecz – ach, czyż orzeł wzlatuje jeszcze, gdy już nie wierzy w słońce? Historia świata stoi teraz przed ogromnym zadaniem; piekło już dawno zdmuchnięto a ostatnie jego płomienie chwyciły i zżarły niebo, idea bóstwa już nie wystarcza, bo człowiek poznał w pokorze, że Bóg bez ogona, t.j. bez ludzkości, którą by karmił, kolysał i uszczęśliwiał, może być Bogiem i sam czuć się szczęśliwym; natura ma się do człowieka jak temat do wariacji; życie jest kurczem, omdleniem lub szałem haszyszowym. Skąd weźmie historia ideę, która by dorównała idei bóstwa lub ją przewyższała? Obawiam się że po raz pierwszy nie dorosła do swego zadania; wyszlifowała soczewkę, aby w niej skupić ideę swobodnej ludzkości i zbiera, zbiera promienie do nowego słońca – ach, słońca nie uciula się żebraniną.”

I po dzisiaj, choć wiek już dłużej zebrze, historia nie wyżebrała ludzkości jako prawdziwego miernika moralnego, gorzej, stan jej skarbu jest o wiele gorszy, niż przed stu laty, kiedy pod niedawnym urokiem rewolucji francuskiej, pod urokiem budzenia się uciśnionych ludów, można było jeszcze ufać w przyszłość tego skarbu. Mimo to samo zaufanie w to osamotnione słońce dopiero teraz w najszerszej masie ludzkiej świeci u zenitu i dlatego, choć sam system Schopenhauera w dzisiejszej duchowości nie występuje zupełnie, jednakże ten pesymizm antropocentryczny jest jedynym kształtem pesymizmu, który w rzadkich chwilach mizantropii zdolen jest zrozumieć człowiek współczesny. Jeżeli nawet zdobywa się on na czarownikstwo, to winowajcą mianuje stale porządek obiektywny rzeczywistości, człowieka zaś czyni krzywdzonym. Bo ten urojony pesymizm człowiek obecny jest w stanie zrozumieć dla wspólnej barwy tego poglądu i całej duchowości nowoczesnej: dla pychy, dla wielkiego zadowolenia człowieka

oderwanego od Boga, człowieka, który wszędzie dostrzeże plamę, ale nigdy w sobie. Człowieka, którego jego samotność metafizyczna wtrąciła w potworne zamęty zbrodni, bezsilności, chaosu duchowego, ale któremu pycha nie pozwoli się przyznać, że on winowajcą. Pycha i bezsilność. Pycha, co więzi w samotności i bezsilność, co oczernia porządek świata.

Kazimierz Wyka

### *Dzieje jednego tekstu*

Dążenie do publikacji tego tekstu było moją obsesją przez niemal trzydzieści lat, od chwili, gdy odnalazłem go w archiwum mojego ojca po jego nagłej śmierci w 1968 roku.

W latach 1943-1944 w Warszawie ojciec zajmował się gromadzeniem rękopisów dla mającego powstać po wojnie wydawnictwa „Wisła”. Dzięki funduszom przekazanym przez dwie osoby prywatne: Artura Schimmelmitza i Wiktora Lipińskiego ponad stu autorów otrzymało wówczas honoraria. Większość rękopisów udało się ojcu ocalić. Po wojnie wydawnictwo nie powstało, a pisarze opublikowali swoje teksty w „Czytelniku”, „Wiedzy” i innych firmach.

W archiwum ojca pozostały rękopisy ludzi, którzy stracili życie w czasie okupacji i powstania oraz tych, którzy nie widzieli szans na publikację swoich prac w powojennej rzeczywistości.

Teksty, które odnalazłem, były na ogół podpisane pseudonimami, część była w ogóle nie sygnowana. Do tych drugich należał *Pesymizm a odbudowa człowieka*, niewątpliwie jedno z ciekawszych „odkryć”. W uporządkowaniu archiwum „Wisły” mojej matce i mnie pomagali koledzy i znajomi ojca, współpracujący z nim w czasie okupacji. Należał do nich Kazimierz Wyka.

Udostępnił mi wówczas maszynopisy wierszy Baczyńskiego i ręcznie spisana przez poetę umowę wydawniczą.

Wyka przeglądał wszystkie teksty, miał również w ręku *Pesymizm*.

W 1943 roku zobowiązał się dostarczyć ojcu tom esejów, umowę podpisał jako Kazimierz Trawa i otrzymał zaliczkę (3 tysiące złotych). W maju 1945 pisał do ojca: „Umowa ta zdaje się zdezaktualizowana ze względu na swoją treść prawną, jak ze względu na ten prosty fakt, że wymieniane w niej *essays* nie zostały przeze mnie doprowadzone do stanu nadającego się do druku, dziś zaś przeważnie są nieaktualne”. Niestety umowa z Wyką nie zachowała się i nie wiemy, jakie teksty były w niej wymienione.

Kazimierz Wyka należał również do tak zwanej „nagonki”, to znaczy pośredniczył między wydawcą a autorami, przede wszystkim z Krakowa i okolic. Między innymi dostarczył ojcu konspekt nowego zbioru szkiców historycznych Władysława Konopczyńskiego.

Tekst drukowanego dziś eseju na początku lat siedemdziesiątych dawałem do czytania wielu pisarzom i historykom literatury. Przez pewien czas funkcjonowała hipoteza, że jego autorem mógł być Karol Irzykowski. Ktoś inny sugerował, że raczej Karol Ludwik Koniński. Alfred Łaszowski wahał się pomiędzy Arturem Górskim i Wojciechem Bąkiem. Bodajże Adam Mauersberger, skłonny do paradoksów literackich, a znużony tą dyskusją, twierdził, że albo napisał go z za grobu Marian Zdziechowski albo telepatycznie zainspirowała Simone Weil.

Wreszcie po kilku czytaniach, po wahaniach („czy to moje lektury z tamtych lat?”) Wyka zechciał przyznać się do autorstwa. Było to tuż przed jego śmiercią.

Zresztą, opublikowany po raz pierwszy w 1984 roku jego *Pamiętnik po kłęsce* (w jednym tomie z *Życiem na niby*) opatrzony jest adnotacją autora: „Rzecz niniejsza, pisana zimą 1939-1940, miała stanowić rodzaj pamiętnika myślowego po kłęsce. Później przerwana i już nie kontynuowana w całkiem innej atmosferze, kiedy sprawa zrazu tylko polska okazała się ogólną. Pierwszym przeto po niej szkicem był *Pesymizm a odbudowa człowieka* (XII 1940 – I 1941). 15.9.44.”

Wielokrotnie namawiałem różne redakcje na publikację tego tekstu, w sposób istotny dopełniającego dzieło Wyki, ale też niezmiernie ważnego do zrozumienia życia duchowego Polski międzywojennej i okupacyjnej. Bezskutecznie. Był niewygodny. Archiwum „Wisły”, a w nim maszynopis eseju *Pesymizm a odbudowa człowieka*, znajduje się obecnie w Muzeum Literatury w Warszawie.

Piotr Mitzner

## PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2/10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3/11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Kozioł (nr 4/12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), Floriana Śmieji, Macieja Niemca (nr 4/16/1997), Bolesława Taborskiego, Ewy Sonnenberg (nr 1/17/98), Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi (nr 2/18/98), Ludmiły Marjańskiej, Janusza Szubera, ks. Jana Twardowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Bohdana Zadury (nr 3/19/98), Adrian Szymańskiej, Ewy Kuryluk, Urszuli M. Benki (nr 4/20/1998), Józefa Kurylaka, ks. Jana Sochonia (nr 1/21/1999), Ryszarda Kapuścińskiego, Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej (nr 2/22/1999), Macieja Cisły, Mirosława Dzieńca, Piotra Szewca (nr 3/23/1999), Krzysztofa Ćwiklińskiego, Krzysztofa Lisowskiego (nr 4/24/1999), Stanisława Lema (nr 1/25/2000), Anny Nasilowskiej, Tomasza Jastruna, Jarosława Klejnockiego (nr 2/26/2000) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

## *Maria Danilewicz Zielińska*

\*\*\*

Po co piszę? Raczej: dłaczego piszę? I czym jest „pisanie”? Chyba czynnością wtórną, wykonywaniem zaleceń mózgu, utrwaleniem tego, co przez głowę przeszło – a w najlepszym razie ubieraniem w słowa i odtwarzaniem np. majaceń sennych. Technika pisania powoduje spowolnienie przekazu, koryguje lub przeinacza pierwotny tekst na podobieństwo swóistego stale się odbywającego dialogu myśli z żywą mową.

Dlaczego piszę? Ha, różnie z tym bywa! Najczęściej z musu. By informować, pouczać, odpowiadać, coś przekazywać, o coś pytać, kwitować, utrwać na piśmie coś, do czego może wypadnie wrócić. I dopiero gdzieś poza szablonowymi zastosowaniami pisma mieści się „pisanie” z pytania ankiety „Kwartalnika Artystycznego”, egzamin naszych uzdolnień i ambicji, naszej niewiary w trwałość żywego słowa i pamięci.

„Pisanie” (twórcze) jest czymś dyskretniejszym od praktyki plastyków czy muzyków – trudniej się uzewnętrznia, łatwiej likwiduje pomyłki. Milczy. W wyższym stopniu jest posłuszne naszej woli, łatwiej da się zniszczyć (wystarczy kosz na śmieci lub efektowny żar kominka), w sytuacji optymalnej jest od nas stuprocentowo zależne, ujawniane z naszej woli, od razu akceptowane lub przerabiane i odkładane „na później” z zawodną intencją powrotu.

To wszystko nie jest jednak odpowiedzią na pytanie ankiety „Po co piszę?”, bo pobudki i cele bywają bardzo różne. Najtrudniej jest zasiać do pisania z własnej nieprzymuszonej woli szumnie nazwanej natchnieniem, natychmiast i byle gdzie. To, podobno, jest nadal przywilejem poetów. Stachura na gorąco wpisywał do nie opuszczającego go notatnika szybko przebiegające przez głowę pomysły siedząc na malowniczym (dziś już zdeformowanym) peronie dworca w Aleksandrowie Kujawskim. Do historii przeszedł Marcel Proust pracując nad swym wielkim dziełem w idealnej ciszy uszczelnionych ścian pracowni. Nalkowska, ufna podszeptom podświadomości, w otumanieniu półsnu, na leżąco zapisywała udane sformułowania pomysłów na przygotowanych na wszelki wypadek karteluszka. Ja – bo przecież o mnie tu chodzi – piszę najchętniej wprost na staroświeckiej maszynie „Olympia” ze słownikiem ortograficznym i koszem do śmieci pod ręką.

Myślę, że w wielu, jeśli nie w większości wypadków „pisanie” da się łatwo podzielić na rzemieślnicze i twórcze. Praca zarobkowa piórem niemal z reguły przybiera kształt pisanych na zamówienie (lub ryzyko) tekstów. W moim przypadku „pisanie” polegało przez kilkadziesiąt lat na nagrywaniu felietonów radiowych albo krótkich recenzji do stałych rubryk w „Wiadomościach” Grydzewskiego, a następnie paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Ten ostatni dostrzegł „myśl przewodnią” dostarczanych mu tekstów i naklonił mnie do skonstruowania zarysu historii literatury emigracyjnej pod ostrożnym tytułem „szkiców”, dostrzegając, że są częstkami obrazu piśmiennictwa polskiego na obczyźnie, a pisane na gorąco są autentyczną formą spontanicznej recepcji. Fakt, że pozostawiał mi absolutną swobodę, sprawił, że gospodarowałam odważnie przechodzącymi przez moje ręce nowościami wydawniczymi napływającymi do Biblioteki Polskiej w Londynie i pisałam, o czym chciałam i po swojemu, odsiewając ziarno

od plewy. Myślę, że jest to przykład połączenia rzemieślniczej pracy kronikarza z pracą twórczą na miarę uzdolnień. Odpowiedź na pytanie „Po co piszę?” może zamknąć się także w słowach: „Dla chleba”, dla uzupełniania niezbędnych poborów i zaspokajania obserwowanego w pracy bibliotekarskiej zapotrzebowania na aktualne opinie o „nowościach”.

Pisanie pod pretekstem „Dla chleba, panie, dla chleba” bez przymusu terminów, ograniczanie rozmiarów i oszczędności w cytatach było luksusem, a występowało jeszcze wyraźniej w wypadku felietonów radiowych, które przez trzydzieści lat miały formę „dziesięciominutowek”, a tematycznie blisko sąsiadowały ze „Szkielkiem i okiem” z „Wiadomości” czy „Kroniką krajową” z „Kultury”. Radio zastrzegало ekskluzywność wygłaszanych przed mikrofonem tekstów – wersje do druku trzeba było opracowywać równolegle. Oto przykład „pisania” = rzemiosła, z tą różnicą, że inni byli odbiorcy. Dlaczego pisałam? – odpowiedź jest oczywista: by, podobnie, jak czyniły to patronujące mi pisma i RWE, wyrażając się patetycznie, „służyć sprawie polskiej”.

Równolegle, na lewo, uprawiałam „pisanie”, które – sprawa się znów komplikuje – wyraźnie odcinało się od prac bibliograficznych i edytorskich, a przede wszystkim historycznoliterackich, których rezultatem jest monografia poety polskiego Tymona Zaborowskiego (1798-1827) i rozsiane po szanownych czasopismach angielskich studia o tematyce bardzo różnej, ale zawsze z historią literatury polskiej związaną. Gdy się żyje długo (za długo?), znajduje się czas na pracochłonne ślęczenie nad najdziwniejszymi tematami dla zaspokojenia przelotnego kaprysu, lub chęci udostępnienia „odkryć” związanych z podsuwanymi przez los rękopisami (stąd „Mickiewicziana”).

Na ostatek – „pisanie” usprawiedliwiające zaproszenie do udziału w ankiecie „Kwartalnika Artystycznego”. Nie uprawiałam go w dwudziestoleciu onieśmielona kontaktami z ówczesnymi wielkimi nazwiskami, choć do pisania „dla siebie” zachęcał mnie i mój mistrz z Uniwersytetu prof. Józef Ujejski, i Waław Borowy i – przede wszystkim – Waław Berent, któremu nieoficjalnie sekretarzowała, gdy tworzył *Opowieści biograficzne*. Pierwsze opowiadanie – *Od Tążyny* napisałam w schronie przeciwlotniczym w Stanmore pod Londynem w zimie 1942/1943 w czasie dyżurów urozmaicanych nalotami bombowców niemieckich i kanonad artylerii przeciwlotniczej. W czasie dłużących się nocy, gdy moi współtowarzysze strażnicy (firewatcherzy) czytali lub drzemali, zachęcona przez Antoniego Słonimskiego, zaczęłam pisać – za przykładem Karola Estreichera – „obrazki piórem” odtwarzające nasze serdeczne adresy. Poetyckie analogie tych poczynań to *Kwiaty polskie* Tuwima, wspomnienia warszawskie Stanisława

Balińskiego, wiersze Slonimskiego, redaktora „Nowej Polski”, który mój *Maj w Krzemińcu* wydrukował w bezpośrednim sąsiedztwie słynnego fragmentu *Kwiatów polskich*: „Bukiety wiejskie, jak wiadomo”. Gdy rozpiłam się na dobre, „Nowa Polska” zeszła na złe drogi i odcięła się od Emigracji, a „Wiadomości”, do których pisywałam równolegle, straciły przydział papieru i zmuszone były do zamknięcia. Miałam już za sobą tomik *Blisko i daleko* i powieść o Włocławku lat 1920-tych pt. *Dom*, tak realistycznie ujmującą ówczesną rzeczywistość, że zgłaszali się do mnie rzekomi krewni fikcyjnych Żebrowskich, a kaprys losu wydobyl *Dom* z zapomnienia i przyczynił się do nadania mi obywatelstwa honorowego miasta Włocławka. „Po co piszę?” – po to chyba, by dać świadectwo prawdzie i zrobić użytek z własnych możliwości.

Maria Danilewicz Zielińska

## Jerzy Gizella

### Po co piszę? Po co wracam?

Urodziłem się w Krakowie – mieście, do którego na siłę sprowadzono szczątki Mickiewicza i Słowackiego. W którym popijał na dworze królewskim Kochanowski. Ten Wawel potem chciał zamienić na Ateny Wyspiański – zbałkanizować i uśrodkomorszczyć. Ale nie udało się. Zanim się urodziłem, po tym mieście, wokół Plant, chodzili poeci i zadzierali w gwiazdy głowy: Przyboś i Peiper, Gałczyński i Miłosz, Herbert i Jasnorzewska, Różewicz i Szymborska, Świrszczyńska i Poświatowska. I jeszcze dziesiątki innych, setki, tysiące wrażliwych, może więcej.

Wspaniali malarze i aktorzy, „Tygodnik Powszechny”, a obok „Piwnica pod Baranami”: Ewa Demarczyk, Piotr Skrzynecki. Staszek Czyż i Ireduński. Lem i Mrozek. „Przekrój” Eilego. Nowosielski i Brzozowski. W takim mieście trudno nie zacząć pisać wierszy, rysować, śpiewać. A równocześnie jacyś partyjni dygnitarze, przed którymi wszyscy drżeli. Dzwon Zygmunta i czerwone flagi wokół Rynku. Nowa Huta stalinowska i procesje na Boże Ciało. Grób Marszałka i portrety Bieruta, Rokossowskiego, Marksa, Engelsa, Lenina. Ten ostatni lubił chodzić na Kopiec Kościuszki i patrzeć na mia-

sto z góry. A skromny wikary od św. Floriana, który przenikał człowieka na wylot? Klub inteligencji żydowskiej na Sławkowskiej i katolickiej na Siennej? Cerkiew na Szpitalnej? Chóry. Orkiestry. „Skaldowie”. Teatr Kantora. Ołtarz Wita Stwosza. Bardzo ciasno.

Mieszkaliśmy na początku na ulicy Halickiej. Ojciec urodził się w Kolo-  
myi, mama w Jarosławiu – małe galicyjskie miasteczka. To wszystko wypa-  
rowało. I ludzie i krajobrazy. Szepty w kawiarni – wśród jakichś niedobit-  
ków stamtąd. Pokaż, co piszesz. Ojcu mój bunt przeciw temu wszystkiemu  
się nie podobał – mówił: pisz o Krakowie jak Iwaszkiewicz. To był wzor-  
rzec poezji „kresowej”. I na początku chciałem pisać o Krakowie jak Bia-  
łoszewski o Warszawie. Bo z wierzchu to miasto pełne było blasku, a we-  
wnątrz psuło się, rozsypywało, nowo przybyli wieśniacy z grodu robili  
gorod (termin Leszka Herdegena). To się do dziś we mnie nie ucukrowa-  
ło, ta mieszanina fermentuje ciągle, raz szybciej, raz wolniej. I ciągle coś  
nowego wyskakuje z pamięci, poraża wyobraźnię. Kraków ciągle atakuje.  
I dlatego jeszcze piszę – dla tej garstki podobnie czujących. Na przekór  
także tym krytykom, którzy chcą takich outsiderów wymazać gumą z hi-  
storii literatury. Chcą, żeby urodzeni w tym mieście poczuli się w nim ob-  
co. I pilnują, żeby nie wrócili.

*Jerzy Gizella*





Fot. Julian Kornbauer

## *Jerzy Gizella*

### Żegnaj smutku, choćby na chwilę

Na Stolarskiej  
Pod konsulatami  
Gołąb dziobie  
Słońce na chodniku  
Bo tak czysto  
Jak na plaży

Nienawiść wyparowała  
Z obrazu Vermeera

Na jasnej ulicy  
Wiosna zamiast wojny  
Tłumy się wyniosły  
W obiecane strony

Mały Rynek  
Jak szklana kula  
Płonąca  
Czerwonymi oknami

Ruda dziewczyna  
Ciągnie nas za ręce  
Do tunelu Siennej

Do nieba weteranów  
Przedwojennych uniesień  
A może zmyśleń

## Wyższe zniekształcenie

To pan jesteś pierwszy w rodzinie,  
Któremu służba nie mówiła paniczu?

Dryg do pisania po ojcu,  
Miecz (ognisty) po kądzieli?

To zresztą zaraz widać –  
Niechęc do stylu wysokiego

Tak piszą ludzie z niższych sfer  
Albo mieszkańcy – z poniżenia

Z powywieszania mężczyzn  
W Grodnie po powstaniach?

Teraz z powrotem u nas moda  
Na seriale rodzinne – odwieszanie

Tyle, że wszystkie świadectwa  
Spłonęły w Warszawie

Gdyby Niemcy lepiej celowali  
To byś pan nie miał tych problemów

No jednym słowem  
Nie ułatwili nam życia

A teraz nas swoi dobijają  
Wymazują z pamięci komputerów

Żebyśmy nie psuli przyszłości  
Jak wirus w programie

## Ulatnianie się

Przed śmiercią ojciec  
Pociągnął z powrotem na wschód  
Ja coraz dalej na zachód  
W pracy  
W hymnie  
W modlitwie

I tylko chyłkiem  
Czasem do swoich  
Do domu z lipami  
Na rynek  
Przez który  
Przejeżdżały pociągi

Ze wschodu na zachód  
Z zachodu na wschód  
Przeskakując góry  
Doliny  
Dworce kolejowe  
Lotniska

Z pamięcią rozbitą  
Jak szyba  
Po wybuchu Słońca  
O świcie  
O zmierzchu

## Schron przeciwlotniczy

Długo mnie nie było w rodzinnym Krakowie  
Odetchnęli krytycy i kelnerzy  
Po raz kolejny odmienił się złoty  
Pilcha przenieśli karnie do Warszawy

A były dni spokojne kiedyś na Jaskółczej  
Kiedyśmy grali w zośkę z Wojtkiem Gołubiewem  
I Januszem Bielańskim – ale nie biskupem  
Tylko zwykłym synem rektora uniwersytetu

Czasem dolatywały zza muru miłosne okrzyki  
Par ukrytych trawą wysoką – niekoszoną  
Więc niewinne chłopięta biegły ugasić  
Pragnienie do „Higieny” za rogiem Kościuszki

Bo Jaskółcza była metaforą życia  
Ta najkrótsza z krótkich uliczek Zwierzyńca  
Kończyła się ślepym murem z betonu  
I cieniem wierzby płaczącej choć jeszcze bardzo młodej

A ludzie wtedy wypatrywali znaków na niebie  
I znak się pojawił w budynku naprzeciw  
Czyli dworku Kościuszki  
Jak najbardziej katolickim

Ale nie ma już wytwórni wody sodowej „Higiena”  
I nie wiem ilu pamięta jeszcze Wojtka kompana  
A „Znak” wydawniczy lśni jak ostrzeżenie  
Oto wytwórnia delikatnych bąbelków

Znad Sekwany i Missisipi wracam nad Wisłę  
I znów szukam znaków na niebie i ziemi  
Tramwaj przelatuje jak pojazd z kosmosu  
I anioł amnezji pobłyskuje mieczem

*Jerzy Gizella*



Fot. Elżbieta Lempp

## *Jan Józef Szczepański*

### Johnny

Gdzie on może być? Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy żyje. Jak się nazywa, też nie wiem i nie wiedziałem nigdy. Johnny. Nikomu z nas nie przychodziło do głowy dociekać, co się za tym kryje. Johnny i już. Każdy z nas miał tutaj jakieś takie imię i to wystarczało. W tym przypadku to było trochę więcej, bo oznaczało także język, którego nikt w oddziale nie znał. Z wyjątkiem mnie. Kiedy szliśmy na odpoczynek do bunkrów, na Pękowcu, już mnie uprzedzali. „Nareszcie pogadasz sobie po angielsku. Bo tam jest ten Anglik Johnny. Nauczył się już parę słów po polsku, ale to mu ciężko idzie. Ucieszy się. Już mu o tobie mówili.”

Czekał na mnie. Siedział na zydlu przy tarcicowym stole, duży, ciężki, w niemieckim, żandarmskim płaszczu, z opaską na lewym rękawie. Na opasce litery: „WP”. Wojsko Polskie. Wszyscy nosiliśmy takie opaski. A płaszcz musiał być zdobyty w jakiejś akcji. Powitałem go po angielsku. Koledzy, którzy weszli za mną do bunkra przysłuchiwali się uważnie. Johnny wydawał się speszony. Odpowiedział z wahaniem. Nawet mnie jego angielszczyzna wydawała się jakaś dziwna. „Jesteś Szkotem? Czy

może Walijczykiem?” zapytałem. Uśmiechnął się. „Widzę, że mój akcent ci się nie podoba”, rzekł. „Jestem z Australii. Moja matka jest Australijką. W domu mówiliśmy zawsze dialektem. To dlatego...”

W dalszej rozmowie, która szła nam dość kulawo, próbowałem ustalić osobliwe cechy tego „dialektu”. Widziałem tylko, że Johnny radzi sobie z angielskim gorzej niż ja. Zmienił temat i opowiedział mi, że odwiedził dziś „the lady in the forest”. Cudowną kobietę. Wiedziałem, o kim mówił. To musiała być żona leśniczego, rzeczywiście młoda kobieta niezwyklej urody. Wielu z nas bywało tam, w leśniczówce odległej o jakieś 5 km od naszych bunkrów. Chodziliśmy tam kąpać się, a także pogadać, napić się herbaty, popatrzeć. A więc już ją odszukał, już tam trafił.

Leśniczego przeważnie nie było w domu. Młody, postawny, z krótko przyszyronym wąsem na ogorzalej twarzy. Odzywał się z rzadka. Ona też nie była rozmowna. Nie wiem, po jakiemu porozumiewała się z Johnnym. Kiedy ją dziś wspominam, nie potrafię odtworzyć żadnych szczegółów. Duże, ciemne oczy? Może tak. Nie wiem. I małe, bardzo czerwone usta? Może tak. Tylko ogólne wrażenie łagodności. Że jest łagodna i cicha. I że cały ten dom jest łagodny i cichy. Dzięki niej. Czasem słychać tam było jakieś szmery pod podłogą. Zwłaszcza w łazience. Ktoś tam jest? „To borsuk” mówiła uśmiechając się, jakby wymieniała kogoś bliskiego. „Ma norę pod domem. Jest bardzo porządnym, bardzo czystym”. Ale po jakimu rozmawiała z Johnnym? Czy potrzebowała?

Jednak angielszczyzna Johna nie dawała mi spokoju. Kiedy dowódca kompanii nas odwiedził, powiedziałem mu wprost: „To nie jest Anglik”. „Oczywiście, że nie”, zgodził się ze mną. „To jest Australijczyk. To istna wieża Babel, ten kraj. Emigranci z całego świata. Anglicy, Francuzi, Holendrzy, Niemcy. Zwłaszcza na prowincji. Więc on też. Może w domu mówili po holendersku, albo po niemiecku. W każdym razie nasza placówka w Częstochowie skierowała go do nas z najlepszą opinią. I przyszedł do oddziału z bronią”.

„Z bronią?”

„Tak. Nocą na ulicy rozbroił żandarma. Przyłożył mu do pleców latarkę, Hände hoch!, i już. Australijczyk!”

No więc dla nas był już Australijczykiem. Mieszkał w innym bunkrze, z innym plutonem. Do nas przychodził wieczorami. Wypalił papierosa, czasami napić się bimbrow. Pogadać ze mną, głównie o „pięknej pani z lasu”. A czym się zajmował? Powiedziano mi, że nadajnikiem radiowym. „Ale przecież on nie mówi po polsku?”. A po co? „Opieka techniczna. On się na tym zna”. Zresztą nie był u nas długo. Zabrali go z Pękowca, do jakiejś innej kompanii.

A potem myśmy też odeszli. I to wszystko musiało się zdarzyć, zanim zdarzył się wypadek w leśniczówce. W każdy razie on nic o tym nie wiedział. Ja zresztą też dowiedziałem się przypadkiem. Na jakiejś leśnej drodze.

Ona, ta piękna, ta łagodna zajmowała się także oświetleniem domu. No i pewnego wieczora lampka karbidowa wybuchła jej w rękach. Podobno miała ciężko poranioną twarz.

\*\*\*

Piękna „Lady in the forest”. Nie widziałem jej już nigdy. Nie wiem, co się z nią stało. On też nie wiedział. Może nawet nie wiedział o jej wypadku. O nim też nic nie wiedziałem. Czasem tylko docierały do nas nie potwierdzone wieści o „Australijczyku”. Był podobno gdzieś na Podhalu. Dzielny żołnierz. Opowiadano o jego niezwykłych czynach. Miał jakoby zdobyć własnoręcznie karabin maszynowy. „Australijczyk” budził powszechny podziw. Stał się legendą.

Jeszcze póki był u nas, próbowałem się dowiedzieć, skąd się wziął. Obóz jeńców. Tak wszyscy mówili. Gdzie? On sam wymieniał jakąś miejscowość – brzmiało to jak „Kielce”, ale nigdy nie słyszałem, żeby w Kielcach był jakiś obóz jeńców. Może w pobliżu Kielc? Dlatego pewnie zadałem mu pytanie, chyba głupie. Dlaczego do nas? Co skłoniło go do wyboru partyzantki? Nie potrafię dokładnie powtórzyć odpowiedzi, która już wtedy mnie zaskoczyła. Coś jak: „It’s fine”, czy „it’s good to be on the right side”. Pamiętam, że zastanawiał się chwilę, zanim jej udzielił. Ja też zastanawiałem się, karcąc siebie za naiwność. Czy ja, czy my inni mieliśmy jakieś wątpliwości? Od początku byliśmy „on the right side” i nie mogło być inaczej. Nie chodziło ani o teren, ani o miasta. Myśmy chcieli żyć i być sobą. A „Anglik” czy „Australijczyk”? O co jemu chodziło? O świat?

Zacząłem to pojmować trochę później, kiedy do oddziału dołączył podchorąży Śmiga, uciekinier z Oświęcimia. Nie poznał już Johna, ale natychmiast zidentyfikował go z opisu. Anglik? Bzdura. To Niemiec. Willi. Żandarm. Siedział w kacecie jako kryminalny. Był kapem. Uciekł w bardzo szczególny sposób. Wyprowadzał swoje komando poza obóz, do robót polnych. Między innymi budowali też dom letni dla SS-manów. Właśnie kopali doły pod fundamenty. John – czyli kapo Willi – miał w swoim komando starego Żyda, bardzo chorego. Ledwo stał na nogach. Zabral go ze sobą do tego kopania. Wykopali bardzo głęboką dziurę. John kazał staremu położyć się do niej. Sam skonstruował przykrycie. Kiedy kommando wracało do obozu, stwierdzono brak jednego człowie-

ka. Jak zawsze w takich wypadkach, ogłoszono alarm. Przez trzy dni trwały poszukiwania. Bez skutku. Żyd oczywiście umarł w tej norze, ale John przekonał się, że kryjówka jest pewna. Następnym razem sam się do niej schował. Znowu alarm. Trzy dni leżenia bez ruchu w zaduchu rozkładającego się ciała. No i uciekł. W ten właśnie sposób. Nie żaden obóz dla jeńców. Nie żaden Australijczyk. Oświęcim. Uciekł z Oświęcimia. Już nie miałem sposobności mówić z nim o tym, ale teraz rozumiałem jego wybór: dlaczego chciał być „on the right side”.

\*\*\*

O dalszych losach Johna – nie do końca (bo do dziś nie wiem, czy i jak zakończyła się jego burzliwa historia) – dowiedziałem się od Jacka. Jacka poznałem na początku okupacji. Był synem bogatego właściciela sklepu. Sam handlował, głównie złotem. Uciekł na Węgry – przeprowadzając dwóch Żydów. Po jakimś czasie wrócił (również przez „zieloną granicę”) do Krakowa, gdzie zainteresowało się nim Gestapo, wskutek czego wyładował w partyzantce, gdzie go znów spotkałem. Później przeniósł się na Podhale (wcześniej niż John) i tam wszedł z „Australijczykiem” w bliższe kontakty. Ledwo skończyła się wojna, ruszył (nielegalnie) na Zachód, odnowić jakieś swoje handlowe interesy. I tutaj w Monachium spotkał Johna. John był w polskim mundurze. Zdążył jeszcze wstąpić do II Korpusu, który był właśnie w likwidacji. Chciał być koniecznie w Wojsku Polskim, i był („to be on the right side”, jak sobie tłumaczyłem). Ale my, jego dawni towarzysze broni byliśmy teraz „on the wrong side”. Z uczuciem przygnębienia przemykaliśmy się pod haniebnymi afiszami: „AK – zapłuty karzeł reakcji”. To jednak nie docierało do niego. Uważał to widocznie za jedną z przemijających złośliwości historii. Bo czy tylko zwycięzcy są zawsze „on the right side”? Tak czy owak ucieszył się z Jacka i zaproponował mu, że zawiezie go do Krakowa, dokąd wybiera się właśnie jako wysłannik Unry. Miał do dyspozycji samochód. Papiery i nawet mundur amerykański załatwił Jackowi bez problemu. No i przyjechali. Jacek załatwił Johnowi kwaterę – u siebie w domu i miał być jego przewodnikiem. Ale samochód Johna, z amerykańską rejestracją parkował na podwórzu Jackowego domu. Dla czujnego UB był to dowód wystarczający. Jacek został aresztowany, jako zaplątany w rzekomą, nigdy nie wyjaśnioną, aferę szpiegowską. Uciekł z pociągu więziony na rozprawę, a potem ukrywał się przez dłuższy czas u mnie. Co się stało z Johnem – nie wiem, ani ja, ani on. Myślę, że i jemu udało się uciec. W każdym razie do żadnej rozprawy nie doszło.



Z Jackiem spotykałem się jeszcze kilkakrotnie. Po wielu przygodach i komplikacjach osiedlił się w Ameryce, dorobił się pieniędzy, wyrósł na statecznego obywatela. A John? Znikł mi z oczu tak zupełnie, że mógłbym o nim zapomnieć. Nie zapomniałem jednak. Choćby dlatego, że był, a może jest nadal, taki inny. Awanturnik? Tak. Na pewno. Ale dlaczego tak utkwił w mojej pamięci, chociaż tak mało go znałem? Czy to z powodu owego – jakby mimochodem rzuconego zdania, że chciał być „on the right side”? Kiedy dziś patrzę na to z odległości, nie wątpię, że o to właśnie chodzi. Bo wybór, którego dokonał, musiał mieć jakieś uzasadnienie. Może nawet nie całkiem zdawał sobie sprawę z różnicy między „wrong side” a „right side”. Żył, tak samo jak my, „on the wrong side”. Cały nasz świat egzystował „on the wrong side”. I on musiał o tym wiedzieć. Musiał to czuć. Kryminalista, Niemiec, więzień obozu koncentracyjnego, oświęcimski kapo. Morderca, żołnierz AK, żołnierz armii Andersa, awanturnik, narażający swoje życie „po dobrej stronie”. Nie wiem, czy żyje. Johnny – Australijczyk. Kapo Willi. Czy umarł „on the right side”? Mam nadzieję, że żyje, chociaż naszemu światu wciąż jeszcze daleko do „right side”.

*Jan Józef Szczepiński*



*Toruń; Katedra Świętych Janów, piętnastowieczna krata biblioteczna w prezbiterium.*



Fot. Andrzej W. Gajewski

## *Janusz Szuber*

O co w tym wszystkim chodzi?

*Antoniemu Liberze*

Kiście białego bzu:  
Pan tu a pani tu.  
Jedyna i jedyny,  
Niebo z ultramaryny.

Weranda pachnie żywicą,  
Woalką przykryte lico.  
O co w tym wszystkim chodzi?  
Zegar wypruty z godzin.

Zaczęte a nieskończone,  
Ze smyczy nie spuszczone,  
Niepewne samo siebie  
Łyzeczką w kawie grzebie.

Chciałoby, biedne, kształtu,  
Choćby za cenę gwałtu.  
Zegar wypruty z godzin.  
O co w tym wszystkim chodzi?

Kiście zwiędłego bzu:  
Pan tu a pani tu.  
Jedyny i jedyna,  
Wyblakła ultramaryna.

Placą, wstają, wychodzą,  
Ich cienie w trawie brodzą.  
Kelner złośliwy jak giez  
Z wazonu wyrzuca bez.

Żywica nie pachnie już.  
Werandę pokrywa kurz.  
Zegar wypruty z godzin.  
O co w tym wszystkim chodzi?

## Tu i tam

Byli jacy byli – a nam co do tego?  
Zamknięci w swoich niewidzialnych kulach,  
Jak jętki jednodniowi albo puch dmuchawca;  
Nimi na murawach zielonego sukna  
Grają w golfa złe i dobre Moce,  
W wiecznym teraz bez wschodów i zachodów słońca.

## Są obietnicą w kłębach dymu

Wiesz, że tak będzie aż do końca  
I nie ma już się czemu dziwić.  
A jednak, mimo wszystko, właśnie  
Jakby od nowa można zacząć.

Rogiem chusteczki spod powieki  
Wymiesz łzawiącą iskrę dymu.  
Perony przez spoconą szybę  
Jakby od nowa można zacząć.

A jednak mimo wszystko, właśnie  
Bo jest się jeszcze czemu dziwić,  
Zanim ostatni raz chusteczką  
Wymiesz tę iskrę spod powieki.

Komu jak komu, ale tobie  
Perony przez spocone szyby  
Są obietnicą w kłębach dymu.  
I tak już będzie aż do końca.

## Potem

Kiedyś, był tego nicomal pewien,  
Służby specjalne Pana Zastępów znajdą tę  
Czarną skrzynkę, która rejestrowała wszystkie  
Jego niecenzurowane myśli, i niepotrzebny  
Już będzie wykrywacz kłamstw, kiedy  
Zostaną przesłuchane kilometry wewnętrznych  
Monologów i dialogów, i te wiersze,  
Których po przebudzeniu się żadną miarą  
Nie mógł sobie przypomnieć i zapisać.

## Powroty

Odeszło – odejść musiało.  
Szarpało oścień, wierzgało.  
Na żerdziach odartych z kory  
Ryngrafy i tranzystory.

Powroty, ale do czego?  
Do piasku w klepsydrze sypkiego?  
Do skóry czy pergaminu?  
Do dzieży z resztkami zaczynu?

## Słownik domowy

Jak nie urok, to sraczka, panie dobrodzieju.  
I tak już zostało. Że coś jest nie do winkła.  
I z czym do pani hrabiny. Ne chody Hryciu.  
Obsmuszyć gałązkę. Tu każdy wiedział, kto to Szpicyfinder.  
Czy ktoś kiedyś napisze: taka była ich, jego, mowa  
I w żółtym metalu odleje matryce? Wątpię. I słusznie.  
Cyrk wędrowny zwijając, zostawiamy po sobie  
Krąg trawy wydeptanej i ubitą ziemię,  
Na chwilę wysoka wieża powietrza,  
Dymiąca resztką głosów po zachodzie słońca  
I brawami, jeśli udał się ostatni numer.  
Hrycio idzie w oddali za panią hrabiną,  
Która zrywa gałązkę, obsmuszoną z liści  
Uderza się po butach do konnej jazdy.

*Janusz Szuber*

## Marzena Broda

### Latanie bez skrzydeł

(fragment)

*Trudno przywyknąć do gór komuś, kto ukochał oceaniczne równiny, chociaż, gdy z zaskoczenia zaświeci nad szczytami słońce, obramowując pierścieniem pomarszczonego widnokrąg, potrafi być w dole ładnie. Szczególnie, jeżeli w szklącym śniegu odzwierciedla się zmierzchniące niebo, a potem arystokratycznym krokiem nadchodzi noc, ściemniając dzienne światło i zapalając kolejne gwiazdy, wśród których jest gwiazda i Archimedes i Safony i Leonarda da Vinci i Einsteina i Yourcenar i wielu osób, które patrzą na Ziemię z największej wysokości, w porze, kiedy luty nie zachęca do opuszczenia domu. Wtedy przejścia prowadzące do świata są nieprzejezdne, ukryte pod zmrożonym, zbitym w stożkowate zasy śniegiem, że nie widać w fałdach bieli kierunków i łatwo jest się w nich pogubić, w zniecka urywającej się drodze prowadzącej w niewłaściwą stronę, gdzie nie ma niczego poza otwartą przestrzenią. Śmiertelnie jasną i zsyłającą na niedoświadczonych wędrowców ostateczny sen pod śnieżnym puchem, w ostatniej sekundzie wydający się im ciepłym i bezpiecznym łóżkiem, kojącym zmęczenie.*

11.

Alma intuicyjnie odgadywała okrucieństwo Wielkiego Mrozu, nie znając jeszcze laski ciepła i odpoczynku. Nigdy nie zraniło ją też zimno ani nie złamał strach o oddech, mierzony oszalałym tętnem, dobiegającym do celu w godzinie śmierci. Pewnie z tego, a może z innego powodu, nie opalała pokoi na półpiętrze, przeznaczonych dla zapodziających gości. Zazwyczaj świeciły pustką do momentu, gdy słońce ciepłymi promieniami rozwijało tkwiącą jak w kokonie wieść pod Lambenburgiem. Oznaczoną wystarczająco niewyraźnie na mapie, aby jej nie znaleźć za pierwszym rzutem oka, lecz dzięki pilności kartografa, dostatecznie widoczną w zalesio-

nym kwadracie, gotowym okazać się oazą spokoju, połączoną z dyskrecją, jakże potrzebną kochankom, którzy poznając wzajemność ciał na równi z urokami uczuć, są zmuszeni ukryć się przed resztą świata, ale nawet gdyby zakochani do nieprzytomności gdzieś byli, Alma nie ludziłaby się, że trafią do „Niebieskiego Księżyca”.

Nazwę wymyślił jej mąż. Nic oryginalniejszego nie przychodziło im do głowy. Albo byli zbyt młodzi i niecierpliwi, pragnąc jak najspieszniej otworzyć interes, by czerpać zyski, pozwalające na utrzymanie zaplanowanej rodziny, która nie powiększyła się z powodu epidemii grypy, zabierającej Ludwika. Została po nim karczma, koń, długi u Schnellera i niezły rocznik beczkowanego wina, stającego się na pustkowiu jedyną rozrywką mężczyzny, że nie trzeźwiejąc przestał zauważać żonę, lecz nie pieniądze, licząc na dostatniejsze i w wygodniejszym miejscu życie. Jego śmierć była naturalnym błogosławieństwem, kładąc kres kłótniom, bijatykom i ucieczkom do stajni, gdzie Alma spędziła wiele nocy, śpiąc w słomie, byle nie słyszeć krzyków i wzywk.

Pomimo losu nie do pozazdroszczenia była przystojną, dwudziestoparoletnią kobietą o włosach złocistobrązowych i smutnych oczach. Umiała się podobać i podobala się, nie zważając na ponure doświadczenia, wyniesione z trwającego o pięć lat za długo małżeństwa, które uczyniły swoje w jej wrażliwej duszy. Przyrzekła, że nie wyjdzie powtórnie za mąż. Chciała żyć nie zakłóconym życiem, by nie zostać wyrzuconą ponownie na otwarte morze, znoszące ją złagodniałymi falami na ląd. Tam zaczynałaby od początku jak rozbitek, nie znajdujący oparcia poza sobą i naturą, bo czy nie jest prawdą, że wyłącznie poleganie na sobie nie przynosi gorzkiego rozczarowania, utrudniającego kierowanie przyszłością, przychodzącą za szybko. Na szczęście nie zaliczała się do kobiet nie czyniących najmniejszego wysiłku, aby odmienić złą kartę i ulegających myślom o przeszłości, gloryfikującym minione dni, zamiast posuwać się naprzód, przedzierając przez przeszkody. Dzięki temu jej uroda wciąż była świeża i lagodna, a uśmiechająca się twarz budziła sympatię. Bez problemów potrafiłaby zainteresować jakiegoś utalentowanego artystę. Im najczęściej zdarzało się korzystać z gościnności karczmy. Położonej głęboko w lesie, gdzie łatwo o skupienie konieczne do pracy twórczej albo modlitwy. Oddawała się jej bez przekonania, nie podejrzewając, że Bóg pofatyguje się, by pomóc. Była przecież miliardowym punktem w kosmicznym atlasie, bez praw do zmiany w nim czegokolwiek, co by pozwoliło pojąć złożoną strukturę wszechświata, spotykającego się z niezrozumieniem ludzi pozbawionych terażniejszości. Dlatego nie nadużywała próśb do Boga. W chwilach wytchnienia, wołąc prze-



mierzać konno górzyste tereny Lambenburga. Tutaj niespodziewanie ścieżki skręcały w otwarte na oścież jeziora, nie ścięte mrozem i wyglądające jak niedbale upuszczone na papier krople zielonkawego atramentu, zatrzymywane przez palisadę brzoź, ulistniających się w promieniach wczesnego przedwiośnia. Natomiast wieczorami trzymając na kolanach kota, nucila swawolne piosenki, byle nie pogrążyć się w litaniach, nie przynoszących rozwiązań. O czym wielokrotnie przekonała się, istotę Boga pojmując w ograniczonym stopniu, ale czerpiąc radość z faktu, że on istnieje, skoro pozwolił jej zjawić się na Ziemi z krótką wizytą, której celu nie odgadła.

Z pewnością nie była pobożna i nie zamartwiała się brakiem silnej wiary w sercu. Nie przejęła jej też od rodziców, ignorujących Boga ani od późniejszych opiekunów. Zresztą, czy wiary da się nauczyć? Pytała, patrząc na wąski płomyk ubywający w lampie naftowej, okopconej przez dym czerniący szkło. Czyściła je co rano wiązką słomy i piaskiem, aby na wieczór prawie z namaszczeniem wywoływać jasność w domu. Śmigające smugi światła na ścianach obserwowane w zadumie i powiększające się cienie sprzętów, płynące pod pomarańczowym dotykiem.

\*\*\*

Na razie skrawki ciepła zdobywała zima. Początek lutego i monotonne dni, przepelnione troską o opał, owies dla konia, pieniądze dla piekarza i rzeźnika, którzy, co dwa tygodnie, w środy dostarczali Almie mąkę i mięso. Płaciła im regularnie z nadejściem sezonu.

Dzięki pracowitości, odpowiedniemu do sytuacji słowu i poczuciu humoru mężczyźni ją lubili, żartując, że gdyby nie żony, natychmiast ożeniliby się z nią, z upływem miesiący przestając pytać, co ładna kobieta ma do roboty na prowincji, gdzie poza porami roku, praktycznie nikt nie zagląda. Oprócz sikorek i białoogoniastych saren, podchodzących pod zabudowania, przyzwyczajonych, że na tyłach karczmy paśnik będzie wypełniony sianem, a wyrzeźbione z buku korytko zasypane solą, by dały radę przetrwać mrozy. Dotrwać do wiosny, kiedy rzeki spieszniej puszczą się do przodu i źródła pomkną żwawiej, poganiane zgromadzoną w gruncie wodą i temperaturą wznoszącą się ponad 32 stopnie Fahrenheita.

Od niej zaczynała się odwilż. Śnieg spadał z dachu z hukiem przypominającym odgłos lawiny, zgarniającej w ubiegłym roku osiem rodzin, mieszkających w osadzie pod najwyższą górą Lambenburga.

Do dzisiaj nie znaleziono zwłok niemowląt Rose i Roberta. Bliźniaków małżeństwa Martellich, których nieprzytomnych wygrzebano spod śniegu. Czekali na ratunek cierpliwie. Mieszkańcy okolicznych wiosek,

zaopatrzeni w szpadle i długie kije, sondowali zaspy, przekopując niebotyczną przestrzeń, aż odkryli przytulonych do siebie żonę i męża. Leżeli nieruchomo jak w sarkofagu, czym ocalili energię potrzebną do przetrwania. Giulia i Livię przeniesiono do chaty mularza. Godzinę nacierano zgrabiałe ciała śniegiem i pompowano w ich płuca oddechy, póki się nie ocucili, podnosząc ostrożnie odmrożone powieki, spod których woleliby nie patrzeć na niebo. Obwiniali je o śmierć maleństw, głusi na perswazję, że życie jeszcze się nie skończyło. Na Boże Narodzenie Livia urodziła chłopczyka i przeprowadzili się do miasta.

## 12.

Alma nie zastanawiała się, dokąd wyjechać po śmierci Ludwika, nie odszukując w pamięci, a tym bardziej w rzeczywistości, żadnego miejsca, poza obszarem Lambenburga, gdzie zdarzył się wypadek rodzicom, choć zjeżdżała z nimi więcej niż pół świata, nie mając jednak dość dużo czasu, czy też lat wpisanych w metryce, by dokonać właściwego wyboru i udać się w inny zakątek kraju. Matka z ojcem skręcili sobie kark wykonując, bez zabezpieczenia, salto śmierci w trakcie objazdu cyrkowej grupy, gdzie znaleźli zatrudnienie. Miała wówczas dziewięć lat. Była zielonooką słodkością, mówiącą z pamięci monologu Szekspira. Ale na co komu w cyrku nawet i piękna dziewczynka, nie umiejąca nic poza recytowaniem z emfazą wierszy, w dodatku sierota potrzebująca opieki. Jeszcze parę sezonów po pogrzebie była w trupie. Do momentu gdy Miguel, pożeracz ognia, był w stanie utrzymać towarzystwo w garści. Później cyrk rozwiązał się i poszli w różne strony, rozpraszając się jak dmuchawiec na wietrze, po kolejnej stracie. Była nią śmierć Karla o wzmroście butelki.

Późnym wieczorem, po skończonym występie, ktoś przez nieuwagę, lub nadmierne upicie się winem, zatrzasnął futerał po lunecie. Don Juan spał w nim, zwiniony w kłębek, zrozpaczony po bezskutecznych próbach poszukiwania kobiety, gotowej związać się z gnomem na dobre i złe. Wyszukać kogoś podobnego do siebie dla nikogo nie jest prostą sprawą. Don Juan stanął przed podwójnie skomplikowanym zadaniem i pomimo że widział dwa kontynenty, pozostał kawalerem nie większym niż butelka wódki. Pokazywano go jako atrakcję na jarmarkach, przez co cierpiał niemilosiernie, aż odkrył jego wartościowe serce Miguel, szukający dla cyrku potencjalnych gwiazd. Taktem i otwartością zdobył zaufanie najsmutniejszego na świecie liliputa, pijącego do nieprzytomności błękitny absynt, po którym nie miał ochoty żyć, spotykając się z taką odrazą, że gotów był natychmiast podciąć sobie żyły, kładąc kres butelkowej egzystencji. Któż wie,

czy na drugim świecie nie jest wdzięczny komuś, że zamknął futerał, gdzie udusił się, zakrztuszony wymiocinami. Zanim tak było, Miguel wyuczył Juana jak ma się opiekować pchłami tańczącymi na linie o grubości włosa, wewnątrz pudełka po wonnych cygarach, do którego zaglądało się przez wycięty w tekturze, osiatkowany, kwadratowy otwór, płacąc uprzednio Carminie Narbone ćwierć pensa.

Carmina, z powodu podeszłego wieku i krótszej nogi, nierówno zrosniętej po upadku z konia w Kalabrii, nie nadawała się na arenę. Rzadko była traktowana z należnym jej szacunkiem przez młodzików, praktykujących w zawodzie. Nie wierzyli, że mają do czynienia ze światową znakomitością woltyżerki, która na grzbiecie białej klaczy wykonywała skomplikowane akrobacje, wywołujące zachwyt i zawrót głowy u najwybredniejszych bywalców seansów, sycylijską urodą i podejściem do zwierząt, słuchających jej bez bata. Używała go śmiało poza cyrkiem, lejąc ile wlezie czterech mężów i drąc się na całe gardło:

– *Finito! Finito!*

Nikt nie wiedział dlaczego ich biła. Owszem w cyrku była para od mocnych numerów. Czarnoskóra Pearl miała ciało długie i lśniące jak wąż, potrafiła owinąć się wokół swojego asystenta Rosa, wbijającego w jej serce składany nóż. Dotknięcie guzika przy rękojeści, sprawiło, że krew lala się strumieniem z Pearl, bo pod gumowym kostiumem ukryty był zbiornik z farbą, która popłynęła, aż oboje zatopili w szklanym akwarium, gdzie odbywał się pokaz: *Adam and Eve in Paradise*. Wszystko wyglądało tak autentycznie, że dzieci zaczynały płakać, a publiczność ani drgnęła, dopóki nie usłyszała pierwszych taktów piosenki. Śpiewała ją Pearl zawieszona na linie, oczekująca światłem. Była jak czarny anioł, rozkladała ręce zamiast skrzydeł, wyginała się, jakby zmęczona wiatrem. Ludzie lubili ten numer.

Pearl i Ros byli zaprzyjaźnieni z Carminą. Zamykali się w wozie i pili, rozmawiając o najlepszych występach. Woltyżerka miała się czym pochwalić. Pracowała w przednich cyrkach, zaczynając karierę na arenie, w Sycylii. Strasznie kochliwa, zmieniała mężów jak rękawiczki. Uwielbiała skórzane stroje, przebierając się czasami dwa razy w ciągu dnia. Alma lubiła ich po równo, rozpieszczali ją nazywając pileczką. Płakali, kiedy po zakończeniu, czwartego, niefortunnego sezonu, Hiszpan, mając na względzie pamięć o rodzicach Almy, z którymi był w przyjaźni, postanowił oddać ją pod opiekę dawnym znajomym. Sam wyruszył do Madrytu, zostawiając okrągłą sumkę na wychowanie sieroty po Farley'ach.

Nie wyglądało ono dobrze. Z wcześniejszych obietnic, złożonych we łzach w obecności Miguela, nic nie wynikało. Mała była traktowana jak służąca, a oznaki dorastania wzbudziły w protektorze prostacze zaloty,

o które była zazdrosna żona. Po kolejnej próbie zbliżenia się Karla do śliczniejszej Almy, została wyrzucona za próg i utraciła miejsce, do którego się powraca jak do domu. Nie wiedziała, gdzie iść. Niby dostała pieniądze od Ernestyny. Na początek. Było tego niewiele, aby wynająć skromny pokój. Pozostawało jej zatrudnić się w cudzym gospodarstwie, jako załatwą przyjmując jedzenie i dach nad głową.

Znalezienie jakiegokolwiek najprostszego zajęcia przez Almę, nie obeznaną praktycznie w niczym, sprawiłoby każdemu trudność. Poza recytowaniem Szekspira czternastoletnia mimoza nie potrafiła nic praktycznego robić. Deszczowego popołudnia, gdy usłyszała od właściciela stawu rybnego, że papugi nie potrzebuje, przestała opowiadać, co naprawdę potrafi i podawała się za maślarkę. Na jarmarku kupiła za ostatnie grosze maselnicę i ruszyła w obchód, uciekając od miejsca, gdzie powinna była dorosnąć, powierzona opiece znajomych Miguela. Szła byle jaką drogą na południe. Zdarzało się, że podwozili ją chłopcy, wiozący bydło na targ. Na pytanie dokąd idzie, odpowiadała: przed siebie. W cyrku poznała magię uśmiechu, który wywoływał życzliwość w ludziach i otwierał ich dusze. Zdecydowanie i łagodność charakteru Almy ośmielała do snucia opowieści, usypiających jak odgłos kręcących się po płaszczynie drogi drewnianych kół w metalowych obręczach.

Któregoś sierpniowego dnia dotarła do rybackiej wsi, pięć mil na zachód od Lambenburga, słonecznego poranka dostając pracę u staruszków zajmujących się wyplataniem koszy wiklinowych.

Wikliniarze zatrudnili ją być może dlatego, że nie mieli dzieci. Traktowali lepiej niż sobie mogła wymarzyć, za co z wdzięczności opowiedziała im nie tylko swoją historię. Streszczała bajki La Fontaine'a, pokazywała sztuczki z ogniem i monetami, których tajemnicę znikania przekazał jej w cyrku Węgień, piękniejszy od niejednej kobiety. Mężczyźni szaleli za nim. Komu by przyszło do głowy, że pod jedwabiami Dragqueen nie ma tego, na co czekają.

Alma była wesółą, odważną, w sam raz, aby pokochać ją prawdziwie i odsunąć od niej mroczne lata, lecz nie na zawsze. Niedługo o staruszków upomniała się śmierć. Umarli bez bólu. Najpierw Franz, za trzy miesiące Berta, wezwana przez męża, przebywającego w niedostępnej rzeczywistości. Jej nieznaną wywoływała w niej pokorę, którą zaszczerpiła w przybranej córce, pouczając, że jeśli gorąco pragniemy, jesteśmy w stanie objąć kruchymi zmysłami „tamto życie”.

Po wikliniarzach odziedziczyła drewniany domek, kozę, trochę gotówki i szacunek, na jaki zasłużyła we wsi, opiekując się nimi.

13.

Wkrótce poznała Ludwika, który jak Charon przeprowiał ludzi na przeciwległy brzeg rzeki. Spodobał jej się, obecnością gasząc żalobę po ich zgonie. Wysoki, jasnowłosy, jasnooki, namiętnie czytał pożyczane z plebani żywoty świętych. Chciał im dorównać. Było to raczej pobożne życzenie młodzieńca nie wiedzącego, co zrobić z życiem, niż prawdziwy zamiar. Kiedy Alma, spiesząc się na jarmark, zapomniała pieniędzy i za przewóz zapłaciła fragmentem z *Romea i Julii*, zbliżyli się do siebie. Oboje w wieku, gdy czeka się na prawdziwą miłość, nie myśląc o konsekwencjach. Od tamtej pory chłopak przeprowiał ją przez wodę, pobierając opłatę w postaci wiersza.

Nie dla żartu przywykł do jej sposobu bycia. Głosu, przyprawiającego serce o wzburzenia gwałtowniejsze niż drżenie łodzi, wpływającej na silny rzeczny prąd, na którym zaczynało niebezpiecznie kołysać. Alma zwykle przysiadła niedaleko Ludwika. Spychał łódkę energicznymi ruchami i wskakiwał do środka, rozpryskując chmurną falę. Pewnie wsparty bosymi, mokrymi stopami o deskę, rozpoczynał rytmicznie zanurzać i wyciągać wiosła, a dziewczyna przyglądała się połyskliwej błonie opływającej drewniane skrzydło, skrzące się jak pletwa w słońcu. Obok piętrzyły się wiklinowe wyroby, wiezione na cotygodniowy jarmark. Okrągłe kosze przeznaczone na przyjęcie jabłek lub strumieni lśniących ryb. Ludwik wiedział, że im wcześniej się zjawią po drugiej stronie White Serpent, tym mniej koszy i koszyków będzie wioził z powrotem, kiedy znużona upałem i gwarem ukochana, usiądzie nie jak zwykle na wąskiej ławce, lecz w dole drewnianego brzucha łodzi i rozprostowując nogi wyciągnie dużą, kraciastą chustę, z której wytoczą się mirabelki i nabrzmiąle od soku, rajske gruszki z sadu Samuela.

Wówczas odstawiał wiosła. Z głuchym loskotem wpasowywały się w dulki i łódź wzdychała, zwalniała pęd, aż woda cichła po obu stronach burt. Przerwa na dzielenie się owocami nie przedłużała się. Przez kwadrans dwoje ludzi na rzece było punktami, którym udało się ująć za przegub czas. W ich tle ruszało się niezgrabnie życie, biegaly bezpańskie psy, na palach suszyły się sieci, gałęzie wachlowały powietrze, przynosząc ulgę ludziom i zwierzętom. W podobny sposób owady nieruchomiały między źdźbłami trawy. Niebawem rzeczy wracały na stare miejsce. Alma dziękowała Ludwikowi. Zmęczona, niedbale recytowała ulubiony wyjątek z *Burzy* Szekspira, jak na skrzydłach pędząc do domu, by przypadkiem nie zostać uwięzioną w sośnie.

Dotąd pamięta ich wspólną radość z odziedziczenia karczmy po jego stryju, przemianowanej z „Trzech pensów” na „Niebieski Księżyc”. Noce w muskularnych ramionach męża, których nie przyćmiły późniejsze wydarzenia.

Zасыpiając po dniu zajęтым remontami budynku, naprawą dachu, ocieplaniem ścian i wykładaniem ścieżki masywnymi rzeczonymi kamieniami, nadal znajdowali dość siły, by obdarowywać się czułościami. Na wespół śpiąca Alma wsłuchiwała się w odgłosy lasu i świerszczy, czując ciało mężczyzny prężące się przy jej boku. Przygarniał ją, wywołując rytm zlewający się z jego przyspieszonym oddechem. Rozkosz idealnie zestrojonych ciał była wspólna, czuli się po niej złączeni bardziej, ale trwało to niedługo, dokładnie do końca remontu karczmy, jakby Ludwikowi znudziła się zabawa w dom. Tak z pogardą nazywał ich życie i korzystał z płatnej miłości na dokach w Lambenburgu, skąd wracał nieprzytomny od alkoholu do oddzielnego łóżka.

Almę niechęcią napełniały przesadnie uległe kobiety, zaspokajające klientów w brzydkich pokojach, albo w pustych łodziach, poddające się szybkiej żądzy, wyzwalającej w niej bunt, trywialnością w osiągnięciu spełnienia. Nie byłaby szczerą, gdyby nie przyznała się przed sobą, że po śmierci Ludwika, jej uwagę przykuła atrakcyjna, młoda kobieta, czekająca na okazję na Ferlingues. Wiodącym do zakola rzeki wąskim zaułku, która spytała, czy nie miałaby ochoty na moment fantazji za dwa pensy.

Ciało Christy było pociągające i ciągle nie zużyte. Karminem pociągnięte wargi kuśiły wypukłością, a wyraz twarzy jakby dziecka, nie ukrywał ochoty na wyjawienie cennego sekretu. Minęła ją bez słowa i zawróciła, zastanawiając się, czy przypadkiem nie była zdobyczą Ludwika, który, jeśli trafiła się okazja, nie gardził też włóczącymi się za szczęściem chłopcami.

Ogarnął ją żal, gdy pod warstwą pudru i szminki, ujawniła się pustka kobiety, zasłaniana rutyną w przyciąganiu klientów obojga płci. Nigdy tak przybita nie wracała do karczmy. Wtulona w poduszki, plakała przekraczając ramy bezradności, już wiedząc, że kochanie się bez zaangażowania najwyższych emocji jest równoznaczne ze sprzedażą tego, co w człowieku najcenniejsze. Teraz nie cofa się do przeszłości. Zaabsorbowana niepokojami o jutro, nie wchodzi w głęboką melancholię, wystarczająco sumiennie wpatrując się w przyrodę, wyjaśniającą więcej niż opasła księga, stojąca w kredensie na plebanii.

*Marzena Broda*

*Krzysztof Gryko*

## Tango

Noc się zaciska na powiekach miasta.  
Znów wiele kroków będzie ślepych, a więc zabawnych.  
Idealne warunki do mówienia szeptem,  
choć mam nadzieję, że zostaną jeszcze jakieś tajemnice.  
Bez tajemnic jest jak bez nowych przygód.  
Wczoraj pies miał nową przygodę z gówienkiem,  
Pan Bóg prawdopodobnie kolejny dzień odpoczynku,  
jak na nieustającej emeryturze albo rencie  
dużo czasu na rozważania.  
Pierwszy człowiek, ostatni człowiek,  
Ogródek Jordánowski, Warszawa Włochy,  
pokrzywy nad Wisłą, starannie omijane.  
Bezcielesność nabożeństw, sporty ekstremalne.  
Znajdywanie granic tak samo trudne jak zachowanie umiaru.  
(jak podzielić dwa jabłka między trzy osoby?)  
Na łysinie miasta wystąpiły pierwsze nocne poty.

## Kałuże

Po deszczu, przed deszczem.

Czy słońce rozdzieli dwie litanie żalu?

Na boisku kraina wielkich jezior. (Tam gdzie można pływać,  
trudno gra się w piłkę.)

Mali chłopcy są bliscy płaczu, ale w porę znajdują sobie nowe zabawy,

W sklepie poprosilem o sok, sprzedawca poprosił o drobne.

(Gdzie indziej prosi się o ciszę, punktualność, a nawet dyskretny  
uśmiech.)

Krajobraz teraz jest przeszkłony, czerwień znów oznacza irracjonalny  
sukces i ryzyko.

Pić taki sok, to prawie jak wsiąść do zagranicznego samochodu,

który widnieje na etykietce

obok czarnych porzeczek, i jechać.

Reszta, choć zdziesiątkowana, należy do przyszłości.

## Ucieczka

Niebo w siniakach.

Przepędzone komary wracają.

Przez nie zostawiamy miejsca, w których było nam dobrze.

Rzucamy niedokończone chwile jak niedopalki.

To kolejny żywioł przed którym uciekamy, a już zwracamy się  
do innego.

Nie krzycz, wystarczy że ogień się piekli.

Prymitywny dowcip iskrzy się jak stereotyp.

Kładziemy na nim ślinę i pragnienie ucieczki.

Walbrzych, Sahara, puszcza ludzka, jest tyle nieludzkich miejsc,  
gdzie nie słyhać żadnej perkusji, deszczu jazzowego, rockowych  
potłuczeń.



Ale nie trafiamy na nie, spłynęliśmy do nieznanego miasta,  
choć w takich chwilach  
serce śpiewa o powrocie.  
W nieznanym mieście rozpoznajemy znajome miejsca. W starej bramie  
leżą czarne płaszcze  
cieni. Nikt ich nie kradnie, nawet bezrobotni, ani młode matki w ciąży,  
w liczbie pojedynczej.  
Ukochany się nie zjawia, ani nawet fetyszysta.  
(wszystko może jeszcze uratować wypadek albo spóźnienie)  
Ulica krztusi się samochodami, szczęście rozpędzone jest po kątach,  
im bardziej ono się rozprasza, tym ja bardziej uważam.  
A jednak przychodzą momenty zmęczenia,  
domowy materac  
pozwala umrzeć  
i się przebudzić.

## Powrót

Znów udaje mi się niezauważalnie wejść do domu.  
(Zaskoczenie jest wciąż najlepszą bronią.)  
Odpadają kolejne miejsca, w których możesz być,  
byłaś w nich wcześniej albo później.  
Przedpokój, sypialnia, łazienka, kuchnia. Wulkany okresowo nieczynne.  
Podchodzę do balkonu, pierwszej oazy za drzwiami.  
Tu się ucieka przed telewizją,  
tu się planuje podróże.  
Kolejny incydent zdławionego słońca kończy się burzą.  
A jednak istnieją poręczne substytuty.  
Mała pomarańcza wschodzi nad horyzont naszych sprzeczek.  
Pogodzi nas, czy jeszcze bardziej skłóci?  
Trudno jest przewidzieć następne wypadki,  
katastrofa zaprowadzi do nowych odrodzeń.  
Zostaniemy z zawiesiną niegroźnych chmur,  
brud będzie się zakradał do miejsc i tak już nieczystych,  
odstraszy panienki, kokietki, lesbijki.  
Wieczór poczołga się w nieznaną stronę.

## Wiersz biały

Miasto białe Biała Podlaska.  
Bielsk Podlaski, Bielsko-Biała  
Biel tenisowa, biały kolnierzyk  
I białe skrzydła.  
Białe linie, białe zęby, biała gorączka  
Biała farba najbardziej pokupna  
Biel ślubna i oziębła  
Ręka biała, bo w gipsie, przez miłość do motorów  
Białe chmury jak dymy, i dymy jak chmury  
Białe krwinki, niebiałe, nigdy nie widziałem  
Biała kartka przygnieciona poślądkiem

*Krzysztof Gryko*



## *Piotr Macierzyński*

\*\*\*

dziewięć sekund na sześćdziesiąt metrów  
cztery dobre wiersze w życiu i zarozumiałstwo  
myśli że Bóg się z takimi będzie cackał

może jeszcze kogoś nabierze na tę swoją wrażliwość  
tę jedną dziewczynę która w nim widzi Humphreya Bogarta  
cztery dioptrie wyobraźni ją trochę tłumaczą

ale ja mu to mówię to się skończy i to niedługo  
i nie będzie potrzeba bomby atomowej ani powrotu lodowca  
wystarczą karciane długie i wódka

i nie uratuje go Bóg bo jeśli jest to nie jest taki głupi  
jak ta dziewczyna która się w nim kocha  
żeby lokować w niepewny interes

i niech nie myśli że się powoła  
na lata pracy zmarnowany talent i przegrane życie  
i że mu się za to coś należy  
i wcale mu nie wierzę w te opowieści że mogło być inaczej  
bo jeśli się biega sześćdziesiąt metrów w dziesięć sekund

to nie ucieknie się swojemu przeznaczeniu

\* \* \*

gdy tylko mama wychodziła z domu  
w moim pokoju zaczynały się mistrzostwa świata w boksie

byłem zawodnikiem wszystkich wag i narodowości  
i porażka nie miała przede mną żadnych tajemnic  
prawdę mówiąc to nawet lubiłem szybki nokaut

pamiętam walkę Petersona z Johensonem  
Peterson w pierwszej rundzie rozcina mi luk brwiowy  
a ja już w piątej padam na deski

tata bardzo lubił walkę ciężką  
mając osiem lat dobrze poznałem walkę Muhammed Ali kontra Joe Frazier  
Frazier sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu  
dziewięćdziesiąt cztery kilogramy wagi  
zasięg ramion metr osiemdziesiąt sześć  
ja metr trzydzieści wzrostu trzydzieści pięć kilogramów wagi  
nokaut następuje dopiero w piętnastej rundzie  
po tej walce zapytałem ojca czy cieszą go zwycięstwa bez publiczności  
i wtedy ojciec pozwolił sobie na niesportowe zachowanie  
więc nie pytałem

moje pierwsze zwycięstwo przyszło gdy ojciec miał już sto wygranych walk

z powodu braku świadków  
sąd unieważnił wszystkie zwycięstwa ojca

*Piotr Macierzyński*



*Tadeusz Lira-Śliwa*

Klub bohaterów

Zjeżdżamy windą  
(hermetyczny  
poeta  
bezdomy  
poeta)

Ten sam stół  
(z kantami)  
ta sama kelnerka  
(z ołówkiem)  
to samo piwo  
(z pianką)

## Impas

Sto godzin samotności  
(Cztery dni z okładem  
Na karku sobota)  
Wychodzisz z salonu  
Szukasz puenty  
(Na twoim biurku  
Porzucony wierszyk)

## Ekspedycja wapniaków

Zjeżdżamy z górki  
(mordeczki w kubeczkach)  
kierowca ziewa  
(kosmiczne nudy)  
– nie roździeramy szat  
(obcięto nam pazurki)

## Całe niebo nad Polską

jest pijane

## Sekcja X\*

Zabić głoski  
zabić sonet

I zakopać  
i zakopać

Pod jaworem

## Do rymu

za tą kreską –  
twoje kęski  
twoje klęski  
– przed tą kreską

## Próba

*biała cisza*

to ładny  
początek

---

\* motyw z wiersza Bohdana Zadury (T. L-Ś)

mój początek?  
z mojego procesu?

*biała cisza*

*zapach lodu  
w powietrzu*

## Kindersztuba

„Łokcie przy sobie  
nóż z prawej strony”

Zamykam lufcik  
otwieram klatkę

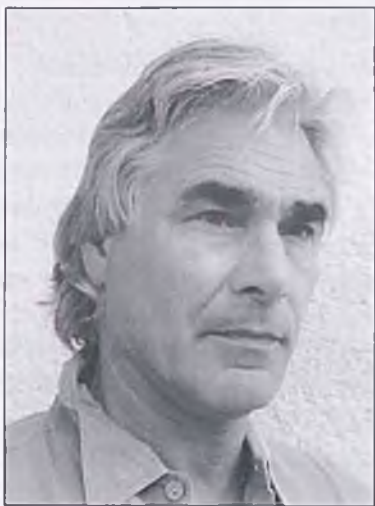
Nie będę fruwać

\* \* \*

OTWORZYĆ?  
tyle się mówi  
o pułapkach  
CHYBA OTWORZĘ...  
a jak będzie  
gorzej?  
OTWIERAM!  
„Otrzymał Pan  
NAGRODĘ”

*Tadeusz Lira-Śliwa*





## *Hans Hiebel*

### Zmierza ku końcowi

Nasze zapasy są już na ukończeniu. Kiedy nas otworzą? Mnóstwo czasu spędziliśmy, klócąc się o to, od których drzwi powinniśmy zacząć. Wszystkie te, które wypróbowaliśmy dotychczas są bez wątpienia masywne i potężne, niczym drzwi do skarbcza. Są najprawdopodobniej nie tylko zaryglowane, ale być może nawet zamurwane i nie do ruszenia.

Tylko wspólne działanie mogłoby nam jeszcze pomóc – co do tego zgadza się większość z nas. Najczęściej jednak tylko jeden z nas stawał przed drzwiami, zatopiony w siarczanożółtym świetle, szarpiąc nimi i rzucając się na nie, w przekonaniu, że znalazł te właściwe, jedyne drzwi, które dadzą się otworzyć, jedyne, różniące się od pozostałych drzwi-iluzji. Ale wszystkie drzwi są zamknięte, a my opuszczeni. Ciągłe nawoływanie do zbiorowej solidarności nie wydaje się męczyć Karła. Bez ustanku kieruje do nas apele. Znamy to już na pamięć, pozwalamy mu mówić w pustkę, kiwając głowami i nie ruszając się z miejsc. Fritz nie cierpi Karła, uważa go za przebiegłego i nie nadającego się do niczego darmozjada. Fritz robi zakłady, że ostatecznie pozjadamy się nawzajem i będziemy, jak Pym, rzucać kości o to, kto czyje mięso w końcu skonsumentuje. Takie rzeczy zdarzały się ponoć w czasach przed naszym uwięzieniem. Choć reszta z nas tych cza-

sów już nie pamięta. Zresztą sam Fritz robi wrażenie, jakby nie do końca był przekonany o słuszności własnych przepowiedni, bo wbrew logice regularnie i wytrwale bierze udział we wszystkich naradach i większych zebraniach, które od czasu do czasu zwołujemy. Gdybyśmy przez jakiś czas nie robili niczego w celu znalezienia ratunku i dryfowali jedynie, jak w łodzi pod wodą, że tak powiem, mogłoby się zdarzyć, że Paul, wróg Karla i Fritza, stwierdziłby, że wszystkie drzwi są otwarte, musimy zebrać tylko trochę odwagi i jeszcze raz wypróbować jedne z nich. W rzeczywistości nikt się już na to nie odważa. Paul twierdzi, że naszej gromadce panikarzy i czarnowidzów brakuje siły afirmacji. Cała bezradność bierze się z wnętrza, to tylko wytwór naszej wyobraźni. Za każdym razem, na końcu swych nauk Paul doświadcza napadu szału, pędzi ku drzwiom i rzuca się na nie z pianą na ustach, wali głową w jedną ze ścian, które trzymają nas w zamknięciu. W ten nieprzemyślany sposób nie da się oczywiście niczego zdziałać przeciwko nieustępliwym murom. Po ataku Paul nie pamięta już, co się stało. Natomiast Franz się poddał. Siedzi cicho w kącie i bazgrze coś w pamiętniku. Prawie z nami nie rozmawia, uśmiecha się jednak przyjaźnie, kiedy ktoś się do niego zwraca. Każdemu przyznaje rację, sam nie ma żadnego zdania. Czasami Mahal, który sam często pogrąża się w zamyśleniu, przysiada się do Franza i tłumaczy mu, że problem leży gdzieś indziej, nie tam, gdzie się go szuka. Najwyraźniej głęboko wierzy we własną teorię, bo nigdy nie przyłącza się do nas, kiedy wspólnie zabieramy się do poszukiwania wyjścia z sytuacji. Jest święcie przekonany, że wszystkie wysiłki są zbyteczne i służą wyłącznie samozniszczeniu.

Mahal ma przeważający argument świadczący na swoją korzyść: żarówka wisząca na kablu w środku pomieszczenia świeci nieprzerwanie, wyziewa żółtawe światło i ani razu nie zgasła. Lecz istnieje też kontrargument: nikt tu jeszcze nie przyszedł. Jeśli nikt nie wie o naszym istnieniu, jest całkiem nieprawdopodobne, że znajdą nas tutaj, w tym naszym szczęście. To jest właśnie najgorsze: że nikt nie wie o naszym istnieniu. Oczywiście czasami ciszę przerywają szmery i trzaski, które podrywają nas na równe nogi. Nie jesteśmy jednak pewni, czy dźwięki te pochodzą od żywej istoty. Może to, co słyszymy to tylko przesunięcia wnętrza ziemi, ruchy materii. Tak, często wierzymy, że chodzi tu raczej o szum krwi w uszach, który słyszymy tak wyraźnie z powodu zalegającej wszędzie ciszy.

Na to, że żyjemy mamy jednak jednoznaczne dowody. Sterta kartofli, zrzuconych we wschodnim rogu skurczyła się – mówimy o wschodzie, nie mogąc wiedzieć na pewno, czy róg ten rzeczywiście jest wschodni. Góra odchodów w rogu zachodnim urosła. Wisi przed nią biała koszula, którą

poświęcił Franz; spełnia niemal symboliczną funkcję, gdyż tak naprawdę niewiele może zakryć. Wiemy i widzimy, co dzieje się, kiedy ktoś z nas udaje się za białą koszulę, jak to określamy, ale zachowujemy się tak, jakbyśmy niczego nie zauważali.

Zaczęliśmy racjonować kartofle. Musimy oszczędnie gospodarzyć. Jedynie na początku rzucaliśmy się na górę żywności i pożeraliśmy wszystko, leżąc na brzuchach. Tę niecywilizowaną fazę mamy już za sobą, chociaż muszę przyznać, że czasami dochodzi jeszcze do pewnych nieregularności. O wszystkich nie możemy wiedzieć na pewno, może się bowiem zdarzać, że podczas, kiedy większość z nas śpi, ktoś w pojedynkę albo może i cała grupa dobiera się do kartofli, gdyż często po przebudzeniu sintera wydaje się znacznie mniejsza niż poprzedniego dnia.

Ale to racjonowanie, a może też stęchłe, wilgotne i psujące się powietrze kosztowało już dwie ofiary. Młody Grooge przewrócił się pewnego dnia po porannej gimnastyce, padł jak długi na ziemię i krew popłynęła mu z ust. Był pesymistą, to jasne, że zapłacił za to życiem. To był jego błąd. Bo sprawa posuwa się do przodu, wierzę w to, wiem o tym. W końcu wyjdziemy na wolność.

W poprzednim tygodniu opuścił nas też Gregor. Udusił się. Płuca miał całkowicie zaflegmione. Nic dziwnego że umarł, bo nikt go nie lubił i wszyscy wypychali go z tego naszego świata. Miał skarlłowaciałą nogę i utykał. Niczego nie można było od niego oczekiwać i podczas meczów, które przed kilkoma tygodniami zaczęliśmy zgodnie z przepisami turnieju organizować działał nam na nerwy. Nie był nawet w stanie zapamiętać reguł gry w rugby, do której używaliśmy zawsze buta Grooga. Natomiast Macka, zaciętego wroga Grooga, który we wszystkim, czego się tknie wykazuje niezwykłą zwinność, mianowaliśmy naszym trenerem. Przyznaliśmy mu pewne przywileje, otrzymuje też dodatkową porcję kartofli, podobnie jak przewodniczący zebrań, których od czasu do czasu w sposób demokratyczny nominujemy i wybieramy.

Kiedy Gregor umarł położyliśmy go obok Grooga i odmówiliśmy modlitwę. Wprawdzie w nic już nie wierzymy, ale nasze położenie jest tak niepojęte, że nie wydało nam się szczególnie bezsensowne, kiedy jeden z nas, nie wiem już który, rozpoczął modlitwę. Wygląda na to, że modlitwa znów staje się jednym z naszych przyzwyczajęń. I w tym aspekcie Mack przypisał sobie przywództwo.

W międzyczasie z życiem pożegnał się Georg, dobrowolnie. Nocą – zakładamy, że było to nocą, choć sporne jest, w jaki sposób moglibyśmy rozróżnić tu dzień od nocy – przeciął sobie żyły.

Karl wahał się przed przystąpieniem do wspólnej modlitwy. Samobójców uważał za ludzi nieszczerych i irracjonalnych. Samobójca osądza swe życie na podstawie własnego, subiektywnego wyobrażenia o moralnym idealizmie, powiedział. Franz wzruszył tylko ramionami, a Mahal odwrócił się bez słowa.

Ja przyłączyłem się do modlących. Oczywiście i ja – podobnie jak większość z nas tutaj – w nic nie wierzę. Chociaż zachowuję nadzieję. Jestem absolutnie przekonany, że nie stoi to w żadnej sprzeczności z moją niewiarą. Georg po prostu poddał się za wcześnie. Nie należy dać się zwodzić powierzchownej rzeczywistości. Wyjdziemy na wolność.

Przeżyjemy.

*Hans Hiebel*  
*przełożył Marek Kędzierski*

# PLASTYKA

## Prezentacje *Aleksander Dętkoś*



*Osobowość (brąz, kamień)*

---

*Aleksander Dętkoś*, ur. w 1939 roku. Absolwent szkoły im. Kenera w Zakopanem. Studia artystyczne odbył w Państwowej Wyższej Szkole Plastycznej w Gdańsku na Wydziale Rzeźby i Ceramiki w pracowni profesora Stanisława Horno-Popławskiego. W tym samym czasie ukończył także studium pedagogiczne. W latach 1966-1969 pracował jako plastyk-pedagog w szkolnictwie specjalnym na Wybrzeżu. Mieszka w Bydgoszczy.



*Introspekcja (brąz)*



*Osobowości (brąz, kamień)*



*Miłość jest ślepa (brąz)*





*Etos (brąz, kamień)*

#### UDZIAŁ W WAŻNIEJSZYCH WYSTAWACH:

- 1974 – Wystawa rzeźby, Sopot
- 1977 – VI Międzynarodowe Biennale Sztuki, Madryt (Hiszpania)
- 1979 – VII Międzynarodowe Biennale Sztuki, Barcelona (Hiszpania)
- 1981 – III Biennale Małych Form Rzeźbiarskich, BWA Poznań
- 1981 – III Wystawa Współczesnej Sztuki Religijnej, Kraków
- 1982 – Konkurs na pomnik żołnierza, Bagdad (Irak)
- 1983 – Wystawa rzeźby o tematyce religijnej, Warszawa, Kraków
- 1984 – Wystawa rzeźby – „Chrystus w życiu człowieka”, (Muzeum Diecezjalne), Częstochowa
- 1985 – V Międzynarodowe Biennale Rzeźby, Poznań
- 1986 – Międzynarodowe Triennale Portretu Współczesnego, Gdańsk

- 1986 – Biennale Rzeźby Sakralnej, Kraków, Katowice  
 1986 – Międzynarodowe Biennale Rzeźby, Barcelona (Hiszpania)  
 1988 – Wystawa rzeźby w Braunschweig (RFN) – indywidualna  
 1988 – Międzynarodowy Konkurs na Rzeźbę – „Dante”, Rawenna (Włochy)  
 1988 – Wystawa – „12 artystów z Polski”, Mannheim (RFN)  
 1990 – Targi Sztuki, Stuttgart (RFN)  
 1990 – Wystawa rzeźby, BWA Bydgoszcz – indywidualna  
 1990 – Wystawa rzeźby, Kunst aus Osteuropa, Essen (Werde) RFN – indywidualna  
 1990 – Międzynarodowy Konkurs Sztuki, Nowy Jork (USA)  
 1991 – Wystawa artystów gdańskich, Oslo (Norwegia), Düsseldorf, Kiel (RFN)  
 1992 – V „Krakowskie Triennale Rzeźby Religijnej”, Kraków  
 1994 – Wystawa rzeźby w BWA Zakopane – indywidualna  
 1999 – Wystawa rzeźby (Dania) – indywidualna  
 2000 – Ogólnopolski Konkurs Rzeźbiarski – „Kalwaria bydgoska”, BWA  
 2000 – Wystawa – „Uden Ord” (Dania)

#### WAŻNIEJSZE NAGRODY I WYRÓŻNIENIA:

- 1972 – II i III nagroda w konkursie na rzeźbę – „Kopernik”, Bydgoszcz  
 1973 – I nagroda w konkursie – „Kopernik i jego myśl”, Olsztyn  
 1975 – II nagroda za rzeźbę w konkursie – „Człowiek”, Warszawa  
 1976 – I nagroda za rzeźbę i realizacja w konkursie rzeźbiarskim – „Bydgoszcz '75”  
 1980 – II nagroda w konkursie na rzeźbę – „Bydgoszcz moje miasto”, Bydgoszcz  
 1981 – Medal III Biennale „Małych Form Rzeźbiarskich”, Poznań  
 1983 – Medal Biennale Rzeźby, Poznań  
 1984 – I nagroda w ogólnopolskim „Konkursie Olimpijskim”, Warszawa  
 1985 – Wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie – „Wawrzyn Olimpijski”, Warszawa  
 1988 – Złoty Medal w międzynarodowym konkursie na rzeźbę – „Dante”, Rawenna (Włochy)  
 1989 – II nagroda i Srebrny Medal w V ogólnopolskim „Salonie Zimowym Rzeźby”,  
 Warszawa  
 1992 – Grand Prix I Biennale Plastyki Bydgoskiej, BWA Bydgoszcz  
 1993 – III nagroda (brązowy medal) w Ogólnopolskim Przeglądzie – „Zimowy Salon  
 Rzeźby – 93”, Warszawa  
 1993 – Brązowy medal IX Biennale „Małych Form” – Poznań  
 1999 – Przynależność do Accademia Internazionale – Greci-Marino-Italia (z tytułem kore-  
 spondencyjnego członka Akademii Sztuki)  
 2000 – Grand Prix V Biennale Plastyki Bydgoskiej

# V A R I A

## *Mirostaw Dzień*

### Oświecona wyobraźnia, Jan Paweł II i rok 2000. Zapiski ascetyczne

#### 1.

Żyjemy w czasach przełomu, mentalnego przesilenia, gdzie w naszej poddanej statystyce wyobraźni cyfra 1 zastąpiona została przez inną cyfrę, nieznaną, bo jeszcze mieszczącą się poza doświadczeniem: 2. Oto symboliczny, cyfrowy zwia-  
stun przemiany, nadejścia nowego, nigdy nie zwerbalizowanego czasu. I wystar-  
czy tylko lekko wychylić naszą myśl, by z przekąsem stwierdzić, że owa „dwójka”  
od której zaczęliśmy liczyć uciekający i wciąż okłamujący nas czas, pozostanie  
z nami kolejne – bagatela! – tysiąc lat. Jak zatem w tej perspektywie postrzegać  
będziemy kondycję człowieka współczesnego? W jaki sposób będziemy starali się  
opisać jego duchowe rozterki i potrzeby? Oto zaiste karkołomne zadanie przed  
każdym, kto jak astronom niestrudzenie poszukuje nieznanych ciał niebieskich,  
gdzieś daleko zagubionych we wszechświecie.

Duchowe przesilenie, o którym mówię, wydaje się być wyznaczone przez dwie,  
często wykluczające się, choć zarazem stymulujące wzajemnie rzeczywistości: od-  
chodzeniu bogatej Północy od cywilizacji opartej na Objawieniu judeochrześcijań-  
skim oraz zwróceniu się w stronę różnych form gnozy i synkretyzmu religijnego,  
którego symptomem i ważnym elementem jest ruch New Age. Jak łatwo zauwa-  
żyć, oba wyżej przedstawione wektory mają charakter ściśle duchowy, albo używa-  
jąc innego określenia: są o proveniencji religijnej. Wydaje się zatem, że postrzega-  
nie współczesności, jako świata na wskroś przesiąkniętego świeckością, jest nie  
mającym nic wspólnego z rzeczywistością intelektualnym nadużyciem. Gdzie, jak  
nie w naszym najbliższym sąsiedztwie miliony (podobno światłych) obywateli z na-  
pięciem na twarzy śledzi swój horoskop, albo z odpowiednim wyprzedzeniem za-  
mawia sobie wizytę już nie u psychoanalityka będącego przeżytkiem czasów, kiedy  
jeszcze ufano psychologii, jako nauce o tajemnicach ludzkiej psychiki, ale wróżbity,  
który pochylony nad talią Tarota odsłoni przed nami przyszłość określając w niej  
miejsce naszego „spoczynku”, przestrzeń stabilizacji. I bynajmniej wyżej zasygna-  
lowane zachowania wcale nie przynależą do repertuaru uboższej części społeczeń-  
stwa, lecz znajdują się w samym centrum zainteresowania *middle class*.

W związku z tym wydaje się, że porzucana jest obecnie koncepcja świętości stanowiąca centralny i wyróżniający element chrześcijaństwa, na rzecz iluminacji, szybkiego oświecenia, poszerzenia przestrzeni dla możliwych przeżyć paranormalnych. W chrześcijaństwie idiom świętego jest jedną z najważniejszych kategorii duchowych; święty bowiem, to ten, który należy do Boga, a zatem jest tym, który nie tylko stara się wypełniać Boże przykazania, ale okazuje się również widocznym znakiem obecności Przedwiecznego w tym świecie; jest pieczęcią Pana w podpadającej pod zmysły rzeczywistości. Skoro porzucona zostaje świętość, tym samym Bóg zostaje zepchnięty na margines, odsunięty od rzeczywistości człowieka na odległość, z jakiej oczekuje się już tylko Jego uważnego, choć pozbawionego bezpośredniego zaangażowania spojrzenia. Idiom świętości zamieniony zostaje na idiom iluminacji. Człowiek przełomu tysiącleci porzuca trudną i wymagającą od niego wyrzeczenia pracę nad sobą, na rzecz szybkiego, momentalnego oświecenia. A zatem jest to próba wytyczenia drogi „na skróty”, próba ominięcia *ascety* i zastąpienia jej *gnozą* lub też jej namiastką. Rozum momentalnie oświecony ma zastąpić ćwiczenia moralne. W ten sposób przełom, o którym mówimy, z konieczności doprowadzić musi do poważnego kryzysu już nie tylko na poziomie duchowym, lecz również – a może przede wszystkim – na płaszczyźnie ludzkiej *praxis*. Nietrudno bowiem wyobrazić sobie sytuację, w której stymulatorami owego momentalnego oświecenia staną się środki multimedialne. To właśnie za ich pośrednictwem sfera duchowa poddana może zostać próbie manipulacji, której celem będzie stworzenie „wyobraźni oświeconej”, a nie człowieka trzymającego się określonych zasad moralnych. Niebezpieczeństwo przed jakim staje człowiek spod znaku cyfry 2 na początku, jest niebezpieczeństwem fundamentalnym, mogącym w konsekwencji zupełnie go wyalienować z obiektywnie istniejącej rzeczywistości, zastępując ją inną, tą spod znaku internetu. Oświecona wyobraźnia może bowiem całkowicie sparaliżować jakąkolwiek chęć wcielenia w życie zasad, na których zbudowane są podstawy współczesnych systemów demokratycznych. Oświecona wyobraźnia okazać się może – o paradoksie! – wyobraźnią zamkniętą, ograniczoną do sekwencji obrazów i informacji już wcześniej zaprogramowanych przez ośrodek nadawczy. I nawet świadomość, iż sami internauci aktywnie uczestniczą w tym procesie wcale nie musi być pocieszeniem. Nie od dziś wiadomo przecież o niszczących i wypaczających zdolność do dokonywania wolnego wyboru skutkach tzw. agresywnej reklamy. Na globalizację tego procesu nie będzie trzeba zbyt długo czekać. „Oświecona wyobraźnia” tylko pozornie jest synonimem wyższego poziomu ludzkiej autorefleksji. Jest to bowiem wyobraźnia na wyrost, wyobraźnia nie mająca realnego podłoża w intelektualnym i etycznym wysiłku poznania swojej własnej natury, oraz powinności z niej wypływających. „Oświecona wyobraźnia” chce osiągnąć dojrzałość sprintera zanim człowiek posiadał sztukę raczkowania, w nawias ujmując nie tylko zdolność do krytycznej, to znaczy zdobywającej się na gest niezależności wobec mediów, rozumowej oceny, by nie wspomnieć o wiele bardziej wymagającej zdolności odróżniania dobra od zła moralnego.

Przesilenie mentalne dokonujące się na naszych oczach, z jednej strony ujawnia z całą wyrazistością słabość kościoła instytucjonalnego, który – niestety – coraz

częściej postrzegany jest tylko w kategoriach czysto świeckich i doczesnych, z drugiej jednak strony wielu ludzi odrzucając koturnowość wszelkich form „polowicznej” duchowości, szczerze poszukuje z dziecięcym niemal pragnieniem osobowego przeżycia więzi z Bogiem, w Nim upatrując jedyną możliwość wyzwolenia się z osobistych lęków i obsesji związanych z przemianami cywilizacyjnymi kończącego się tysiąclecia.

Rozum współczesnej duchowości pseudo-gnostyckiej okazuje się rozumem spod znaku podejrzenia, rozumem „na niby”, jakimś wielkim falsyfikatem, gdyż w horyzoncie jego poszukiwań nie ma miejsca na obiektywną prawdę jak *adacquatio* intelektu ze stanem przedmiotowym. „Oświecona wyobraźnia” nie potrzebuje uniwersalnej, przedmiotowej prawdy; wystarcza jej „prawda” na miarę zaspokojenia poczucia pustki i wyobcowania. Taka wyobraźnia karmi się namiastkami „objawienia”, byle tylko te ostatnie, choć na moment, wyrwały człowieka z potrzasku rzeczy, w obecności których coraz bardziej czuje się obcy. Jest to zatem pseudo-duchowy zabieg radzenia sobie z lękiem przed egzystencją podporządkowaną statystyce i wolnemu rynkowi. Internet – mimo wielu zachwytów – wydaje się być świetnym sposobem komunikowania zagubienia i samotności człowieka, który zamknięty za podwójną gardą własnego pokoju i wpatrzony w jaskrawe światło monitora poszukuje nowej jakości inter-tekstualnych kontaktów, gdzie twarz zastępowana jest odpowiednią komendą, a uścisk dłoni mimowolnym poszukiwaniem wciąż nowych informacji.

W świetle tego co powiedziałem, bardzo ważnym wydaje się głos Jana Pawła II, jednego z ostatnich strażników innego świata. Tak już bywa, że pisanie o kimś, kto jest dla nas ważny, zawsze niesie ze sobą ryzyko przeoczenia tego co istotne i skoncentrowania się na własnych wyobrażeniach, na fantazmatach, jakie podsuwa nam nasza przezorność. Mało jest ludzi, o których tak wiele się pisze jak o Karolu Wojtyła, papieżu ze Wschodu. Mało też jest takich postaci we współczesnym świecie, których ocena byłaby tak skrajnie spolaryzowana: od zachwytów po całkowite odrzucenie. W osobie Jana Pawła II widzi się symbol upadku sowieckiego totalitaryzmu, zarazem jednak krytykuje się go za konserwatywną postawę wobec sfery ludzkiej seksualności. Wychwala się jego apostołską mobilność, jednocześnie uważając, że zbyt mało zrobił dla wewnętrznej reformy rzymskiego Kościoła. Mając na uwadze wszystkie te kwestie, często zadaję sobie pytanie – kim jest dla mnie ten posunięty już w latach, lekko przygarbiony starzec? Tak już bywa, że na proste pytania nie ma równie prostych odpowiedzi, albo inaczej, zanim pocznie się w nas pytanie, to trwa już w sferze odpowiedzi, jest jej przedsiönkiem, nie do końca wyartykułowanym ciągiem dalszym, jakby kolejnym taktiem, który jeszcze nie został zapisany na pięciolinii przez roztargnionego kompozytora. Kiedy myślę o postaci Jana Pawła II, to postrzegam go – używając pojęć metaforycznych – jako misterną mozaikę złożoną z wielu różnych, ale we właściwy tylko dla Przedwiecznego sposób dopasowanych do siebie szkiełek. Wojtyła poeta. Wojtyła robotnik. Wojtyła aktor i dramaturg. Wojtyła teolog pochylający się nad mistycznymi dziełami świętego Jana od Krzyża. Wojtyła filozof próbujący uzgodnić fenomenologię Maxa Schelera z etyką katolicką. Wojtyła biskup, duchowy syn Apostołów. Dlaczego o tym, co wszystkim nam jest doskonale znane, piszę? Powodów jest wiele, ale najważniejszy z nich to ten, iż

w pontyfikacie Jana Pawła II, dziś już wiemy, że najbardziej znaczącym w tym stuleciu, wszystkie te kreacje znalazły swój właściwy wyraz. Można powiedzieć, że niezwykłość postawy Jana Pawła II stanowi jakby wypadkową duchowych kreacji, w których wcześniej dał się nam poznać Karol Wojtyła. Jednak w przeciągu ponad dwudziestu lat jakie minęły od pamiętnego konklawe, dla mnie samego Papież Wojtyła również zmieniał się. Najpierw był Wielkim Pielgrzymem pokazującym wieczną młodość Dobrej Nowiny. Był Niestrudzonym Akuszerem pomagającym iście po sokratejsku wydobyć z człowieka całe jego bogactwo. Nie można przecież zapomnieć tych znamienitych w skutki słów: człowiek jest drogą dla Kościoła. Potem patrzyłem na niego jak na Wielkiego Ojca, który z rodzicielską odpowiedzialnością gani przywary swoich dzieci i to bez względu na to, czy się to im podoba czy nie. Dziś zaś widzę w Janie Pawle II Wielkiego Mędrca. I właśnie Mądrość wydaje mi się jedynym, co można przeciwstawić syndromowi „oświeconej wyobraźni”, na który zapadła cywilizacja Północy.

Kim jest ten, który wszedł w wiek mądrości? Na pewno nie jest to ten, który dużo wie. Zbyt wielu mamy wokół siebie wykształconych głupców, aby dać się wywieść w pole tym, którzy lubują się w sobolich przebraniach. Czym zatem jest mądrość? Ciekawe, że mądrość stanowi jedną z najbardziej eksploatowanych przez ludzki rozum aporii. Z literaturą sapiencjalną spotykamy się zarówno w starożytnym Egipcie jak i w Mezopotamii. Diogenes Laertios wspomina o siedmiu mitycznych mędrcach Grecji dając do zrozumienia, iż proces racjonalizacji mitu, jaki ma miejsce około VI wieku przed Chrystusem, jest poniekąd procesem odchodzenia od prawdziwej mądrości, jest przestaczaniem się mądrości w filozofię, której pozostanie co najwyżej miłosne spoglądanie za tym, co utracone na zawsze. Ostatnim heroicznym postulatem powrotu do mądrości jest Sokrates, ale peryklejskie Ateny od dawna zapoznały odczytywanie znaków czasu. Stać je już tylko na fałszywe gesty i obrazoburcze oskarżenia, by w efekcie złożyć na ołtarzu własnej nieposkromionej próżności tego, który uparcie głosił, iż wszelka głupota bierze się z niewiedzy i nie ma w niej ani krzty wyrafinowania. Diagnoza niestety okazała się chybiona, a Meletos syn Meletosa z Pittos dostarczytel haniebnego oskarżenia przeciwko Sokratesowi jest wzorcowym przykładem dla wszystkich, którzy za wszelką cenę chcą zapisać się na kartach dziejów. W świetle chrześcijańskiego Objawienia prawdziwa mądrość – która zawsze jest rzeczywistością antytetyczną wobec mądrości fałszywej – pochodzi od Boga. Sam Bóg daje człowiekowi „serce zdolne do odróżniania zła od dobra”. Oczywiście o tę mądrość toczy się od samego początku spór daleko wykraczający poza prostą logikę faktów dokonanych. Ciekawe, że pierwszą pokusą wobec jakiej staje archetypiczny Adam, jest pokusa wejścia w prerogatywy samego Stwórcy. Nie o co innego jak właśnie o mądrość chodzi Wężowi, kiedy proponuje ludziom wejście na drogę sprzeciwu wobec nakazu Boga. W świat mądrości przedwiecznej Zły chce poprowadzić człowieka po drodze jego własnych wyobrażeń na temat dobra i zła. To jeden z tych newralgicznych punktów w historii świata, który zasadniczo poróżnił nas z samymi sobą, wywiódł w stronę świata wymaganych ambicji, które rzekomo do-

prowadzić mają człowieka do mądrości bez Mądrości, do prawdy bez pomocy Prawdy. Jednym słowem mają w sposób autonomiczny wejść w domenę Boga. „Na pewno nie umrzecie! Ale wie Bóg, że gdy spożyjecie owoc z tego drzewa, otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło” (Rdz 3, 4b-5). W ten sposób piętnowana będzie również w Biblii mądrość uczonych w Piśmie, którzy sądzą wszystko wedle ludzkich tylko kryteriów i „zamieniają w kłamstwo Prawo Jahwe”, a także mądrość doradców królewskich prowadzących politykę czysto ludzką o czym dobitnie wspomina prorok Izajasz. Jednak takie postępowanie w końcu obróci się na zgnę. „Biada tym, którzy się uważają za mądrych i są sprytnymi we własnym mniemaniu”. Ich samych spotka zagłada, ponieważ wzgardzili słowem Jahwe. Mędrzec zawsze będzie posłuszny Bogu. Ta prosta prawda staje się zarazem jednym z najpoważniejszych wyzwań, jakie niesie ze sobą współczesność. Bo przecież wierność Bogu to wierność jego Słowu, które wymaga zaparcia się samego siebie aż do bólu, aż do śmieszności w oczach tych, którzy rzekomo wyzwolili się z zabobonu, z opium dla pozostających w obłoku niewiedzy. Jeśli zaś miarą prawdziwej mądrości jest Wierność, to nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, iż owa Wierność musi znaleźć swój wyraz w każdej dziedzinie naszej egzystencji.

W jaki sposób wierny może być poeta i pisarz? Innymi słowy jak dana jest mu szansa na osiągnięcie mądrości? Gdybyśmy powiedzieli, iż pisarz, poeta jest kimś wyróżnionym, że posiada jakiś szczególny mandat, dzięki któremu niejako z urzędu udzielona może być mu mądrość, to z pewnością popelnilibyśmy nadużycie. Wydaje mi się, że właśnie świadomość, iż wobec Mądrości wszyscy jesteśmy równi, nie tylko skutecznie chroni przed – jakże częstą u twórców – megalomanią, ale stanowi również swoistego rodzaju wyzwanie do przekraczania samego siebie, wezwanie do wsłuchiwania się w głos Przedwiecznego. Mądrość zawsze blisko jest pokory, wciąż o nią się ociera jak o bliskie sobie ciało.

## 2.

Od piętnastu lat rozmyślam nad jednym fragmentem z Księgi Koheleta: „Lepsze jest dobre imię niż wonne olejki, a dzień śmierci niż dzień urodzenia. Lepiej jest iść do domu żałoby, niż iść do domu wesela, bo w tamtym jest koniec każdego człowieka, i człowiek żyjący bierze to sobie do serca. Lepszy jest smutek niż śmiech, bo przy smutnym obliczu serce jest dobre. Serce mędrców jest w domu żałoby, a serce głupców w domu wesela. Lepiej jest słuchać karcenia przez mędrca, niż słuchać pochwały ze strony głupców. Bo czym trzaskanie cierni [płonących] pod kotłem, tym jest śmiech głupiego. I to jest także marnością” (Koh 7, 1-6). Jest to wyzwanie dla mojego ducha. Wyzwanie dla nieposkromionej chęci otarcia się o tajemnicę bytu. Serce mędrca jest w domu żałoby. Ach, nie ma tutaj taniej propagandy, odpustowych błyskotek, jest za to konkret porażający w swojej dosadności. Ten tekst odziera nas z jakiegokolwiek alternatywy, zamyka wszystkie inne drzwi poza tymi jednymi, najważniejszymi. Nosić w sobie śmierć. Żyć blisko niej niczym średniowieczni mnisi w mantrycznym zapamiętaniu powtarzający owo sławetne –

a przecież tak pełne w swojej prostocie treści! – *memento mori*. Oswoić w sobie śmierć to zadanie dla prawdziwego mędrca. Dom żałoby, miejsce, gdzie opadają maski, miejsce grozy, ale również prawdy o nietrwałości naszego bytu, o znikomości zabiegów, którym z aptekarską dokładnością oddajemy nasze najlepsze lata, aby tylko o mały włos wyprzedzić innych, tym samym ich upokarzając. Ale Kohelet prostuje nasze pokrętne i pełne małostkowości ścieżki. W pewnym sensie prawdziwy mędrzec tutaj na ziemi jest już umarły. Jest tym, który przekroczył Styks. Spogląda na nas z oddalenia, z przestrzeni jasności. Prawdziwy mędrzec nie musi niczego udowadniać. Trwa poza uzasadnieniem. Co najwyżej nawołuje, jest głosem, samym przesłaniem. Trudno pogodzić się z taką drogą, z takim sposobem na życie, zwłaszcza dzisiaj, kiedy poddani jesteśmy wciąż presji rekordu, jak zauważa Simone Weil. Bo miejsce żałoby jest miejscem pomniejszenia, miejscem swoistej kenozy. Miejsce żałoby jest krainą, w której nasz duch nabiera nowych jakości, na nowo uczy się świata z elementarza prawdy o sobie samym. A ta prawda to nic innego jak doświadczenie biedy, tej duchowej, w której uświadamiamy sobie z całą mocą naszą samotność, nasze wydziedziczenie z Królestwa. I bynajmniej nie jest to sprawa jedynie religijnej wrażliwości. To raczej właściwość dojrzałej psychiki, która nakluta boleśnie zgrozą tego świata, poszukuje pokoju, poszukuje terytorium, gdzie mogłaby odzyskać równowagę.

## 3.

Zawsze intrygowała mnie relacja, jaka zachodzi pomiędzy mądrością a bojaźnią Bożą. Jeśli za bojaźń Bożą przyjmiemy taką inklinację ludzkiego ducha, w której staje on w pełni prawdy wobec Przedwiecznego, to mądrość jawić się będzie jako jeszcze jedno imię prawdy o Bogu. Takie, w którym w pełni akceptujemy Jego prawo do decydowania o naszym losie. Bojący się Boga nie jest człowiekiem strachu, jest człowiekiem oddania chwały temu, o którym wie z całą pewnością, że jest jej godzien. A więc pokłon przed tym, co niewątpliwe. Przypomina się tutaj swoista fenomenologia Fiodora Dostojewskiego z jego koncepcją pokłonu. Cud, tajemnica, autorytet – oto trzy aspekty tego, co niewątpliwe, tego, wobec czego winniśmy przyjąć postawę intelektualnej i życiowej pokory. W mądrość integralnie wpisana jest struktura pokłonu, uniżenia, prostracji wobec Boskiego autorytetu.

## 4.

Smakowanie mądrości z dotkliwą świadomością braku narzędzi do jej – choćby przybliżonej – penetracji, naukowego wytłumaczenia, pokazania początku i końca. Nic z tych rzeczy. Mądrość ukrywa się. Mądrość jest wiecznym banitą z jasności, oczywiście tej doczesnej mierzonej za pomocą statystycznych tablic i komputerów. Mieszka w cieniu, sama jest cieniem rzeczy, ich drugą – pełniejszą naturą. Mądrość łatwo można zgubić, a potem wszechwładny demon usprawiedliwienia zbuduje piętra argumentów za tym, że tak naprawdę, nigdy jej nie było; że tylko śniliśmy jakąś opowieść, historię z iluzorycznego świata. Mądrość nie narzuca się, jest pełna



dystansu, cierpliwa aż do granic zdrowego rozsądku, aż do obłędu sylogizmu. Wszystkiemu przeczy będąc samą afirmacją! Niekiedy wydaje się nam, że już ją mamy na końcu języka; że zamieszkała w wierszu, w dobrze skrojonej frazie. Ale to tylko uluda. Mądrość obywa się bez słów. Poprawię się: Mądrość transcenduje słowo, ożywia je, sama nim nie będąc, wyzwala je, sama zostając w więzieniu...

Mądrość nie oczekuje zaszczytów, choć trudno odmówić jej życzliwego spojżenia na tych, w których inni docenili dobro. Dlatego nie wolno, kategorycznie nie należy pisać wierszy o Mądrości. Ten, kto nie przestrzega tego nakazu, dowiódł własnej ignorancji w sferze ducha. Cóż zatem pozostaje nam małym ludziom stęsknionym za Prawdą? Prosić, błagać, rozdzierać szaty.

## 5.

Od zawsze istniało zapotrzebowanie na Mądrość. Nie inaczej jest dziś, kiedy poddani jesteśmy jakże dotkliwej próbie obalenia wszelkich wartości w imię postmodernistycznego pomieszania języków. Jakże pomocną jest postawa Jana Pawła II – strażnika Mądrości. Z pomocą przychodzi mu Tomasz Merton, który w jednej z najbardziej przejmujących swoich książek *Ślub konwersacji. Dziennik 1964-1965* z właściwą sobie trafnością staje po stronie Mądrości, tej, która jest prawdą o człowieku, prawdą o jego wewnętrznym skomplikowaniu. Merton aż do bólu szczerości pokazuje nam się na kartach swojego *Dziennika* jako wciąż szukający pokoju – nie tego, który oferuje świat, lecz Pokoju będącego darem samego Boga.

## 6.

Niedawno przeglądałem jeden z wielu albumów fotograficznych poświęconych papieżowi. Pośród bardziej i mniej udanych zdjęć moja uwaga zatrzymała się na jednym. Papież Wojtyła siedzi przy biurku, na którym piętrzą się grube tomy jakichś ksiąg i dokumentów, bezpośrednio przed nim leży rozłożona książka. Jan Paweł II podpiera się lewym łokciem miękko spoczywającym na blacie obszerne-go biurka, jego twarz jest lekko przekrzywiona do góry. Ojciec Święty marzy. Tak, nie mam ani cienia wątpliwości. Oko obiektywu uchwyciło człowieka, który oddaje się jakże niezwykle w dzisiejszej dobie zajęciu – marzeniu. Poeta nigdy nie przestaje być tym, który widzi więcej niż możliwa do zwerbalizowania widzialna rzeczywistość. Mędrzec to również ten, któremu cierpliwa wierność pozwala unieść ciężar dla innych nie do udźwignięcia.

Miroslaw Dzień

## Michał Głowiński

### Wielki dzień

Przyjeżdżali... Przyjeżdżali często, z różnych okazji, a ich wizyty miały być wydarzeniami doniosłymi i podniosłymi, jednymi z tych, które cieszą i radują mieszkańców stolicy, wylegających w przychywie gorących uczuć na ściśle wyznaczone trasy przejazdu, by witać dostojnych i drogich gości. Odwiedzający nasze miasto przywódca miał utwierdzać się w mniemaniu, że jest czczony i kochany, wiwatujące tłumy stanowiły przecież w tej materii dowód niezbity. Stanowiły, choć musiał wiedzieć, tak jak doskonale wiedzieli o tym organizatorzy tego rodzaju manifestacji, że w całym tym spektaklu nie ma za grosz spontaniczności, obowiązuje zaś wszechogarniający rytuał, że każdy ruch jest z góry zaplanowany i określony, że bez tego rodzaju praktyk nie może się obejść żadna bratnia wizyta na najwyższym szczeblu – nie tylko w Warszawie, ale w każdej komunistycznej stolicy, niezależnie czy będzie to Praga czy Berlin wschodni, Budapeszt czy Sofia, lub też miejscowości tak odległe jak Hanoi czy Hawana. Musiał wiedzieć, ale z pewnością o tym nie myślał, wołał zapomnieć o nakazach i reżyserskiej ręce, która zawiadywała poruszeniami tych tłumów zaiste nieprzebranych, wypędzonych na ulice z biur i z urzędów, z fabryk i ze szkół, a w wielu przypadkach – nawet z przedszkoli. Można się domyślać, że te przejawy entuzjazmu zadekretowanego zaspokajały próżność i sprawiały przyjemność. W ostatniej instancji o to przecież głównie chodziło, w niewątpliwie w dużo większym stopniu niż o zademonstrowanie, że władza ludowa może robić ze swoimi poddanymi to, co się jej żywnie podoba, bo do pokazywania swej siły (i arogancji) miała okazje nicustanne i z tego przyznanego sobie przywileju korzystała niemal każdego dnia.

Ale wydarzenie, o którym opowiem, z wyreżyserowanymi przywitaniem i ujawnianiem fałszywego rytualnego entuzjazmu nie miało nic wspólnego. Przeciwnie, starano się, by przez mieszkańców stolicy nie zostało ono dostrzeżone, a w każdym razie by nie uznali go za doniosłe i godne tego, by w nim uczestniczyć, całkiem go jednak przemilczeć nie było można, chodziło o fakt zbyt spektakularny, o zbyt wielkim znaczeniu, by kurtyna milczenia sprawiała, że przejdzie niezauważony.

Dnia tego wiedziałem, co się na mieście dzieć będzie, aczkolwiek nie mam pewności, czy z gazet mogłem precyzyjnie się zorientować w scenariuszu wydarzeń, w grubych zarysach poznałem go jednak niewątpliwie. Była środa, dzień, w którym tradycyjnie pełnię dyżur w Instytucie. Po zakończeniu nie wróciłem – jak zwykłem czynić – do domu, postanowiłem zostać w śródmieściu, trochę się po nim powłóczyć, by zobaczyć, jak ono wygląda, gdy wizytę składa Prezydent, przybywający z innej strony świata niż ci, których raczono objawami zadekretowanych rytualnych hołdów, prezydent mocarstwa, jakie oficjalnie uważano za wrogie i kierowano weń propagandową kanonadę, złożoną z oskarżeń różnego

rodzaju, z reguły ostrych, a wielokroć absurdalnych. Chciałem też, oczywiście, zobaczyć, jak wygląda ten człowiek, choć twarz jego była znana, pojawiał się bowiem często na zdjęciach prasowych, a niekiedy – wśród aktualności, składających się na kronikę filmową, która w tamtych czasach otwierała wszystkie seanse w polskich kinach. Najbardziej jednak – podkreślam – fascynowało mnie samo miasto i wypełniający je ludzie, w których się wmieszałem, ludzie – a to było dostrzegalne gołym okiem – nie tworzący oficjalnej, zwołanej na rozkaz (i na pokaz) obrzędowej gromady, ludzie, którzy zjawili się tutaj z własnej nieprzymuszonej woli, odprężeni i na luzie, niewątpliwie świadomi, że w czasie tak niezwykłym będą mogli dawać swobodnie wyraz swym wyborom, upodobaniom, a przede wszystkim – emocjom. Nastrój panował doskonale.

Sprzyjała mu w sposób oczywisty pogoda; ten ostatni dzień maja był słoneczny i ciepły, jeszcze wiosenny, ale już letni, idealny zatem po temu, by pozostawać na wolnej przestrzeni, wdychać świeże powietrze, choćby nawet było nadpsute spalinami, by promenować – choćby po zapelnionych ulicach wielkiego miasta. I ja też byłem w doskonałym humorze, mimo że nie lubię przebywać na zatłoczonych trasach, w ścisiku ograniczającym swobodę ruchów. Udzielił mi się – być może – ów panujący powszechnie wyborny nastrój, wspomagany przez wspaniałą pogodę – i mną zawładnęła specyficzna atmosfera, tak rzadka, nadzwyczajna wręcz, w tym mieście, którego obywatele wciąż niewiele mieli okazji, by się cieszyć i ujawniać swoje zadowolenie publicznie. A więc wmieszałem się w ową promenującą społeczność (nie chcę tu używać słowa „tłum”), nader liczną, co upewniało mnie, że znajduję się przy właściwej trasie, że tędy właśnie przejeżdżać będzie Prezydent. Kierowano się ku placowi, który z wszystkich stołecznych miejsc najczęściej zmieniał nazwy, a w owym czasie mienił się Placem Zwycięstwa. Nie ulegało wątpliwości, że szef państwa, przybywający z oficjalną wizytą, złoży wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza; zresztą o tym właśnie epizodzie wizyty – jeśli dobrze pamiętam – pisała prasa. Można było się zastanawiać, od której strony nadjedzie, graniczyło jednak z pewnością, że tutaj przebywać będzie. I ja podążyłem w tym kierunku.

Rozglądałem się za znajomymi, nie miałem wątpliwości, że wielu z nich – podobnie do mnie – wyległo na ulice i zapragnęło uczestniczyć w tym, co się dzieje – i tak silnie kontrastuje z szarą codziennością, ową nudną i banalną normalką, której osobliwych uroków doznawało się w nadmiarze, przede wszystkim zaś jest czymś autentycznym, wyrażającym prawdziwe emocje i postawy, nie zorganizowanym przez władzę i pracujących dla nich specjalistów od masowych manifestacji. Rozglądałem się, choć w zasadzie w tym narastającym tłumie nie czułem się zagubiony, był przyjazny, składał się z osób w ogromnej większości wzajemnie dla siebie życzliwych, w sytuacjach takich zawsze jednak jest przyjemniej, gdy można się do kogoś odezwać, wymienić uwagi, podzielić się wrażeniami. Nie natrafiłem na nikogo z najbliższych kolegów, spotkałem filozofkę Hanke, nie tającą swojego zafascynowania Ameryką, autorkę znanych i cenionych prac o dziejach amerykańskiej filozofii. Oboje byliśmy przekonani o niezwykłości tego dnia – i już wspólnie przyglądaliśmy się temu, co się dzieje (w tym przypadku przyglądanie równało się udziałowi w wydarzeniach; socjolog powiedziałby zapewne, iż chodziło o obserwację uczestniczącą).

Po chwili podszedł do nas Bogdan, zapalony badacz filozofii Witkacego, mogę zatem stwierdzić, że owo piękne, odstające od charakterystycznej dla tamtych lat normy, popołudnie spędziłem w towarzystwie myślicieli, bo odtąd trzymaliśmy się we trójkę. Bogdan opowiedział o tym, co widział przed chwilą na Rynku Starego Miasta. Został on oczyszczony z turystów, gapiów, przechodniów, jemu – wraz z naszym wspólnym przyjacielem, Andrzejem – udało się zostać na skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności. Dostojny gość zza Oceanu miał w swoim oficjalnym programie odwiedzenie tego reprezentacyjnego miejsca w stolicy, miejsca, będącego dumą władzy ludowej, bo powstało z gruzów na skutek jej decyzji. Ale chodziło o coś więcej niż o pokazanie tej staro-nowej okolicy, miał ów krótki pobyt przekonać Prezydenta, że jego wizyta Polaków nie ciekawi, jest im wysoce obojętna, brak więc nie tylko wiwatujących tłumów, ale nie ma nikogo, kto by zainteresował się tym choćby, jak wygląda polityk, którego decyzje wpływ mają na to, co się dzieje w skali globu, a nawet oddziaływają na losy świata. Chciano mu udowodnić, że nie może liczyć na nic więcej poza demonstracyjnym zdystansowaniem i spotęgowaną oziębłością. Tak ważny i zazwyczaj ruchliwy punkt w mieście nie miał jednak prawa być wyludniony w ciągu dnia, pustka niechybnie wyдалaby się podejrzana. Toteż można by powiedzieć, że z urzędu rozsadzono trochę osób w kawiarniach i na ławkach; nie można było mieć wątpliwości, że chodzi o urząd, który często w tamtych czasach nazywano „wiadomym”, tak jakby obawiano się wymówić nazwę czy po prostu nią się brzydzono. Zadbano o ich zróżnicowanie, wyznaczono role zakochanych par, które miały być tak zafascynowane sobą, że zapomniały o istnieniu dookólnego świata, a w każdym razie nawet za grosz nim się nie interesowały, posadzono jakichś mężczyzn, którzy załatwiali swoje sprawy z takim oddaniem i w takim skupieniu, że nie mieli już energii, by rzucić okiem na to, co się na Rynku odbywa, a także umieszczono samotnych jegomościów tak pogrążonych w lekturze prasy, że nie było w stanie ich od niej oderwać (czyż istnieje bardziej pasjonujące zajęcie nad czytanie „Trybuny Ludu“?).

Numer taki mógł się udać w miarę wydzielonym i w miarę zamkniętym, niepodobniństwem zaś było zarządzić coś w tym typie na trasach przejazdu, jeśli oczywiście nie chciało się znakomitego przybysza powiadomić, iż stolica jest miastem wymarłym (ale zamiaru posuniętego tak daleko najwyraźniej nie żywiono); jeszcze trudniejsza byłaby realizacja tego rodzaju idei w przestrzeni tak znaczącej i symbolicznie nacechowanej jak okolice Grobu Nieznanego Żołnierza. Toteż to, co przebiegało na naszych oczach, kontrastowało z wydarzeniami, o których barwnie i sugestywnie opowiadał Bogdan. Zgromadzenie powiększało się z minuty na minutę, narastało i pęczniało. Nadciągali ci, których na Rynek nie wpuszczono, przychodziły osoby, które właśnie skończyły pracę. Zbliżał się wyczekiwany moment, niebawem przecież Prezydent miał nadjechać wraz z tymi, których w języku urzędowym nazywa się osobami towarzyszącymi oraz z całym konduktem, we wszelkich tego rodzaju sytuacjach nieodzownym.

Zbiorowisko ogromniało, gęstniało, zacieśniało się. I w pewien sposób falowało, napierając delikatnie, ale konsekwentnie w tę stronę, w której rozegrać się miały wydarzenia. Zapory i kordony złożone z milicjantów miały temu naciskowi zapobiegać, wielbiciele tak ważnego i potężnego gościa – choćby ze względu na bezpieczeństwo –

nie mogli przekroczyć wyznaczonej linii. Troska o nie – inaczej niż oczyszczenie z gapiów, obserwatorów i przypadkowych przechodniów staromiejskiego Rynku – tłumaczyło się względami racjonalnymi, choć zapewne nie wszyscy w pełni to sobie uświadamiali. Każdy chciał być najbliżej i widzieć najlepiej, a więc te przeszkody w naturalny sposób budziły niechęć i irytację. Ogólnie rzecz biorąc panował jednak spokój, do przepychanek, a tym bardziej do kłótni i awantur, nie dochodziło.

Zwróciło moją uwagę, że wiele osób, zwłaszcza młodszych, wzięło ze sobą aparaty radiowe. Nazywano je wówczas tranzystorowymi, bo tylko te małe przenośne odbiorniki były na tranzystorach, duże, z którymi nie można było udać się na spacer, pozostawały wciąż aparatami lampowymi. Tranzystory stanowiły na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ostatni krzyk mody (walkmanów jeszcze nie znano), promienowanie z nimi należało do oznak nowoczesności, bycia w kursie i wysokiego standardu (podobnie jak po ćwierćwieczu telefony komórkowe). Tego dnia – o czym miałem się przekonać nieco później – owe małe radia były rekwizytami szczególnie przydatnymi. Tymczasem jednak niektóre milczały, z innych dochodziły dźwięki muzyki, raczej zresztą dyskretnej, nie zakłócała ona zgromadzenia dodatkowymi czy nadprogramowymi hałasami. Liczne osoby nastawiły swoje radia na audycje informacyjne, zapewne dlatego, że chciały na gorąco słyszeć wiadomości o wizycie Prezydenta w naszym kraju – i dowiedzieć się, gdzie znajduje się w danej chwili. W ten sposób można było się zorientować, kiedy przejedzie przez Plac i zjawi się przy Grobie, a zatem kiedy go ujrzymy.

Dystanse między tymi, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć niezwykle gościa, na jakiego splotywały sympatie kierowane ku jego wielkiemu i potężnemu krajowi, szybko malały, robiło się coraz ciasniej, a zebrani powoli, ruchem robaczkowym, przesuwali się do przodu. I natrafiali na potężną barierę tworzoną przez milicjantów. W czasie owym, a było to wkrótce po dwu ważnych i dobrze pamiętanych polskich miesiącach, nie cieszyli się oni sympatią, więcej, przez sporą część społeczeństwa byli nienawidzeni jako rycerze palki i gazu łzawiącego, sługi reżimu wierne i gotowe do spełniania wszystkich możliwych rozkazów, w tej konkretnej sytuacji jednak w jakiejś mierze ich swoistą rolę rozumiano, nie kierowano ku nim szczególnych pretensji, choć konflikt interesów ujawniał się z dużą siłą, każdy kto tu przybył, chciał przecież być najbliżej – i widzieć jak najlepiej. Nie minęło jednak dziesięciolecie od zamachu na Johna Kennedy'ego, a nieszczęście, które zdarzyło się w Dallas, może powtórzyć się w Warszawie. Zdawano sobie sprawę, że terrorysta bądź szaleniec może pojawić się w naszym mieście i tu dokończyć swego strasznego dzieła. Środki ostrożności nie budziły zatem zastrzeżeń i wątpliwości, choć na ogół wydawały się przesadne.

A w miarę jak zbliżała się decydująca chwila, atmosfera wśród zgromadzonych stawała się coraz bardziej gorąca, ten i ów się niecierpliwił, ktoś wyrażał wątpliwości, czy nie stoimy na próżno, bo uroczystość złożenia wieńców odbędzie się w tajemnicy, nocą, kiedy nikogo na Placu nie uświadczysz, ale tego krakania nie słuchano z aprobatą, na ogół przyjmowano, że nasze wyczekiwanie w ścisku i w upale ma swój sens, bo wreszcie zobaczymy osobę, którą ujrzeć pragniemy. Każde poruszenie na trasie przejazdu interpretowano jako sygnał, zapowiedź,

znak: oto zbliża się moment, dla którego tutaj się zgromadziliśmy, okazywało się jednak szybko, że z naszego punktu widzenia są to ruchy wyzbyte wszelkiej wagi. Ale w pewnej chwili zaczęło się naprawdę coś dziać, trudno już było żywić wątpliwości. Tłum zbil się jeszcze bardziej i z jeszcze większą energią chciał posunąć się ku przodowi, a ojcowie brali na barana małe dzieci, by również one stały się świadkami wydarzenia historycznego i zapamiętały je na całe życie.

Wreszcie pojawiły się kolumny samochodów i motocykli, Prezydent ze świtą, z owymi „towarzyszącymi osobami”, nadciąga, jest już w pobliżu i za chwilę opuści limuzynę, by przemierzyć niewielką drogę prowadzącą ku Grobowi. Ale tego momentu nie widziałem dobrze, nieźle spostrzegłem zaś przejazd, choć w pierwszej chwili uwagę moją przyciągnął nie światowy przywódca, ale członek jego ochrony (słowo „ochroniarz” weszło do potocznej polszczyzny kilkanaście lat później). Był to olbrzym chyba dwumetrowy z pistoletem w ręku, stojący w dziwacznej pozie, która przypominała figurę z baletu i wydała mi się mocno groteskowa, nie chodziło tu jednak o upozowanie, figura taka była zapewne funkcjonalna, gwarantowała gotowość do natychmiastowego czynu, gdyby zaszła potrzeba. Dryblas, a nie był przecież odosobniony, zasłaniał głównego bohatera wydarzenia, którego widziałem jak w filmowej migawce, kiedy czynił jakieś gesty, niewątpliwie dziękując za gorącą i spontaniczną owację, jaką mu zgotowano.

Entuzjazm zapanował ogromny. Entuzjazm spowodowany obecnością człowieka, który uosabia swój kraj, jest jego żywym symbolem, ale był to także entuzjazm przeciw – przeciw temu, w czym żyć nam było dane, przeciw porządkowi, który nie pytając o zdanie narzucono. Nie mam pewności, czy to drugie nie było ważniejsze, tym bardziej, że tak niewiele wylaniało się okazji, by bez żadnego ryzyka ujawnić publicznie swoje przekonania, preferencje, wybory. Jak zwykle bywa w takich sytuacjach, fascynacja symbolem i urzędem, jaki przyszło mu sprawować, była większa i bardziej emocjonująca niż fascynacja konkretnym człowiekiem. Domyślałam się, że dla przeważającej liczby zebranych na Placu tak przeszłość polityczna Prezydenta, jak jego polityczna przyszłość, nie miały nadmiernego znaczenia, nikt się po prostu nad tym nie zastanawiał, tu doniosłe było co innego. Nikt nie przypuszczał, oczywiście, że ta kariera skończy się w dramatyczny sposób, o dymisji czy pozbawieniu stanowiska nie myślano (termin „impeachment” nie usadowił się jeszcze w międzynarodowym języku politycznym i dla zgromadzonych byłby niezrozumiały). Ale gdyby nawet coś przeczuwano, gdyby brano z powagą zarzuty, jakie przeciw niemu kierowano, nie miałyby to żadnego wpływu na zachowania. Ten entuzjazm wynikał nie z wiedzy o osobie czy ze szczególnej czei dla niej, był nieuchronny jako pochodna sytuacji, w jakiej od przeszło ćwierćwiecza się znajdowaliśmy. Ta postać przybywała nie tylko z innego świata, niedostępnego i niekwestionowanego lepszego, przybywała także z mitu.

Zdawałam sobie z tego sprawę już wtedy, gdy z własnej nieprzymuszonej woli wmieszałam się w tę potężną gromadę i wraz z nią popadłem w nastrój podniosły, nasycony emocjami. Chyba nie rozwiął się on po tym, jak uroczystość się skończyła, a zgromadzenie zaczęło się rozchodzić, bo pozostawanie na Placu nie miało już sensu – także dla tych, którzy nienasyceci byli widokiem Prezydenta i pra-

gnęli ujrzyć go raz jeszcze, może – tym razem – z pobliza. Rozstałem się z Hanką i z Bogdanem, każde z nas poszło w swoją stronę. Myślałem, że wrócę do domu, ale do powrotu jednak się nie paliłem. Obawiałem się, że miejska komunikacja, jak zwykle w czasie wizyt państwowych „na szczycie”, całkiem została zdeorganizowana. Ale nie był to wzgląd główny, który sprawił, że postanowiłem powłóczyć się jeszcze trochę po ulicach. Fascynowało mnie miasto – inne niż zwykle, przemienione, naznaczone odświętnością, choć w zasadzie żadnych osobnych jej oznak nie było. Inne za sprawą tych, którzy w odmiennych niż w codziennej rutynie rytmach i nastrojach przesuwali się po drogach.

Jak spora część osób, które skupiły się na Placu Zwycięstwa, skierowałem się ku Krakowskiemu Przedmieściu. Wielu z tych, którzy przyszli późno i stali daleko, żywiło nadzieję, że właśnie tutaj ujrzy wybitną osobistość, Prezydent miał bowiem przejeżdżać królewskim traktem. Zastanawiano się, kiedy dokładnie to się stanie i czy wypadnie jeszcze długo czekać. Z pewnością czas się ciągnął, jak zwykle w takich przypadkach, ale ja już na nic nie czekałem, nie zależało mi na tym, by ujrzeć od nowa kawalkadę samochodów, a wśród nich – tę limuzynę najważniejszą. Ciekawość moją zaspokajało samo bycie na ulicy i przesuwanie się po niej w tempie powolnym i swobodnym, a świadomość, że w tej sytuacji przestrzeń należy nie do władzy, która nie może wypuścić watahy chłopców z Golędzinowa, nie do milicji, ale do tych, którzy na niej się znajdują, dawała mi niekwestionowaną satysfakcję. I działało się tak, mimo że kręcili się funkcjonariusze w mundurach, a tajniaków też niewątpliwie nie brakowało.

W pewnym momencie zorientowałem się, że uwaga wielu koncentruje się nie tylko na oczekiwaniu na przejazd Prezydenta, że zaprzęta tych ludzi także co innego: mecz, międzypaństwowy mecz... Transmitowało go Polskie Radio, a więc tym również tłumaczył się fakt, że tyle osób miało ze sobą małe tranzystorowe odbiorniki. Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy sprawozdania, a także całkiem głośno wypowiedane opinie o tym, co dzieje się na boisku, złożone z wykrzyknieniami bądź pełnymi radości, bądź rozczarowania i niezadowolonia, gdy stało się coś dla polskiej drużyny niekorzystnego. Ci, co aparatów nie mieli, przyłączali się do ich posiadaczy, bądź pytali o przebieg rozgrywki i jej dotychczasowe wyniki. Nie trzeba było znać się wcześniej, by nawiązywać kontakty. Odnosiłem wrażenie, że dla wielu mecz był wydarzeniem równie ważnym co przyjazd Amerykanina, a – być może – nawet bardziej emocjonującym. Jego odgłosy tworzyły dźwiękowe tło, nie można było go nie uchwycić.

Dochodziły wszakże dźwięki jeszcze innego rodzaju, jak się szybko okazało, nie mające nic wspólnego ani z oficjalną wizytą, ani z meczem. Owa środa, w której tyle się działo, miała jeszcze jeden wymiar: na dzień następny przypadało święto Bożego Ciała. Przed kościołami zbijano ołtarze niezbędne ze względu na jutrzejsze nabożeństwa, których liturgia zakłada procesje wychodzące poza budynek kościelny. Władza ludowa na ogół nie udzielała zezwoleń umożliwiających wyjście na ulice, toteż ołtarze wznoszono na dziedzińcu lub terenie ściśle do kościoła przylegającym, były więc one z konieczności małe. Ale odgłosy prac stolarskich docierały wyraźnie i nie sposób było ich nie usłyszeć. I to był ów trzeci głos w polifonii, jaka ukształtowała się tego dziwnego dnia, tak różniącego się od powsze-

dniej rutyny, dnia, który dobrze utrwalił się w mojej świadomości. Nie pamiętam jednak, czy orszak prezydencki przejechał królewskim traktem. Ja w każdym razie nie byłem już świadkiem tego wydarzenia. W pewnym momencie stwierdziłem, że zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć – i nasyciłem się niezwykłościami dnia, a zatem się wycofałem. Nastąpiła pora powrotu do domu.

*Michał Głowiński*

## *Aleksander Jurewicz*

### Zapiski ze stróżówki (8)

Maj, czerwiec 2000

Stał pochylony przy krzaku sponiewieranego od upału bzu, co jeszcze ostał się przy naszej kamienicy, stał jakby opadły z sił albo pijany, było wieczorem przed ósmą. Zielony długi płaszcz, którym idąc zamiatał ulicę, zdawał się odfruwąć z jego zgarbionych pleców. Odwrócił się na chwilę, reagując na moje pytanie, i w jego oczach zobaczyłem rozpacz. Z otoku na czapce marynarskiego liceum zostały już tylko strzępy dwóch liter. Coś się jemu musiało stać, ale tym razem nie skarżył się tak jak zawsze, gdy spotykaliśmy się na ulicy czy podwórku, bo po herbatę przestał już od kilku miesięcy przychodzić, powiedział mi kiedyś, że ma kłopoty z nerkami i herbaty już nie pije. Odwróciłem się skręcając do siebie i widziałem jak wtulony w powiędle listowie z bezradną wściekłością odpycha butem od siebie kilka gazetowych płacht, jakby nie mógł się od nich odczepić. A może jednak wypił co nieco i wystarczyło na ten niemilosierny skwar tegorocznej wiosny, by trzepnęło chłopem o jeden z ostatnich już w tej okolicy białych bzów? Skąd więc ta krwiożerca rozpacz w łagodnych na co dzień oczach?

Jest nieodłącznym elementem tego wrzeszczańskiego pejzażu, wtopiony w niego jak Grassowski werblista (*Wróżby kumaka* wystawiane są od paru dni w prywatnym mieszkaniu za rogiem, na ulicy Danusi), jak Antek Fac, który styczniową nocą odszedł z ulicy Lelewela po cichu i na zawsze, jak schodki do dawnego baru Domino, które teraz prowadzą do sklepu monopolowego, jak Strzyża płynąca od zeszłego roku nowym ceglany korytem, jak pusty o tej porze komin elektrociepłowni sterczący w oddali. Wlecze się każdego dnia obładowany torbami, z kieszeniami wypchanymi gazetami i butelkami, przysiadła na pa-



rapetach sklepów, przystanku tramwajowym albo położy się na zmarniałym skwerku pośród dzikich gołębi. Dwa czarne okna na drugim piętrze sąsiedniej kamienicy są jego, choć, według przekazu wtajemniczonych, śpi pod drzwiami swojego mieszkania. Ale przecież spotkałem też Władka w banku, stojącego do kasy z 50. markowym banknotem w ręku! Odkąd przyszło nam żyć w bliskim sąsiedztwie poprosił tylko o herbatę, kilka razy o parę kromek chleba, czasami o papierosa. Niekiedy ma podbite oko, nieraz przechodzi nie reagując na pozdrowienie, widuję jak zostawia swoje przepastne torby, by podejść po jakieś opakowanie leżące na trawniku. Ale widziałem też, jak z wściekłością niszczył uliczny kosz na śmieci, jakby uważał, że miano zbieracza odpadków po naszej codzienności przysługiwało mu absolutnie i dożywotnio, a kiedy po jakimś czasie udawaną złością poskarżyłem mu się na lobuza, co zniszczył kosz, Władek coś niewyraźnie zamruczał i prędko odszedł.

Tego wieczoru Władek slaniający się w jakiejś rozpaczyci albo niedyspozycji, był jakby w starciu ze światem, z którym zdawał się być dogadany i w tym zwichrowanym świecie szczęśliwy, odnalazł w nim swoje miejsce, a jedyną niedogodnością życia było istnienie koszy na śmieci. Jednak miał mocne powody do bycia w tak kiepskim stanie, bowiem od południa ekipa oczyszczania miasta, w asyście straży miejskiej i przedstawicieli osiedlowej administracji, dokonywała bezwzględnej eksmisji nagromadzonego przez Władka pieczolowicie i z uporem dobytku. Do wielkiego kontenera wrzucano wszystko, co wypełniało jego Sezam, którego był conocnym wartownikiem, do którego zawsze powracał dokładając nowe skarby – resztki po naszym banalnym i prędkim życiu. Oczyszczanie trwało podobno kilka godzin, nie wiem, czy Władek był przy tej egzekucji, nie pytałem o to, bo takie pytanie w obliczu katastrofy, jaka go spotkała, byłoby niestosowne. I być może niedługo przedtem, nim ujrzałem go przed domem, wrócił z wyladowanymi torbami i zastał swoje mieszkanie оголоcone, zobaczył puste ściany i podłogi, i wrócił z powrotem na ulicę, żeby sprawdzić, czy nie pomylił dzielnicy albo domu, ale pomyłki nie było. Wtedy wpadł w rozpacz, wtedy właśnie nadszedłem, „coś się Władkowi stało”, powiedziałem po przyjeździe do mieszkania.

Następnego przedpołudnia patrzyłem w dwa okna u góry – były otwarte, pierwszy raz odkąd tutaj zamieszkałem. Czy Władek spał tej nocy w zupełnie pustym mieszkaniu, czy w ogóle – jeżeli miał siłę do niego wejść – mógł w nim zasnąć? A on wyszedł niespodziewanie od strony podwórka, jakby chciał odpowiedzieć na moje pytania. Był bez swoich toreb i zdawało się, że nie umie iść bez czucia ich ciężaru, że nie wie, co robić i od czego zacząć dzień mając puste ręce. Przystanął przy śmietniku, ale jak na złość albo według odwiecznego fatalnego prawa serii, tego dnia śmieciarka przyjechała wcześniej. Nie miałem odwagi podejść do Władka i, jakbym o niczym nie wiedział, poczęstować go papierosem...

Kilka dni później Władek na nowo zaczął odbudowywać swoje życie – ciągnął po chodniku dwa wypchane szare worki z folii, ściskając je kurezowo w rękach. Przystanął na moje powitanie, miał już inne oczy, na jego ustach pojawił się cień szelmowskiego uśmiechu. Tak uśmiechają się szczęściarze.

\*\*\*

...w ponad trzygodzinnej *Pasji według św. Mateusza* Jana Sebastiana Bacha altowa aria *Erbarne dich* trwa niecałe osiem minut...

\*\*\*

### *Dominice, żonie Zbyszka*

Od kiedy znam Zbigniewa Żakiewicza, a zdaje mi się, że znam go całe życie, jego literackim marzeniem było napisanie książki dziejącej się w Gdańsku. Z latami to niewinne marzenie stawało się rodzajem obsesji, kibicowałem tej obsesji umiarkowanie, nie uważam bowiem, że pisarz ma jakieś pisarskie zobowiązania wobec miasta, w którym mieszka. Żakiewicz to jednak kresowy uparciuch. Do Gdańska próbował zbliżyć się najpierw poprzez Kaszuby, w których odnalazł pejzaż swojej utraconej Wileńszczyzny – w 1988 roku opublikował tom opowieści żartobliwych *Ciotuleńka*. Kaszuby nie pierwszy raz stały się miejscem pisarskiej miłości dla przesiedleńców znad Niemna – chcę przywołać w tym momencie przedwcześnie zmarłą znakomitą pisarkę Różę Ostrowską (1926-1975) i jej dwie piękne powieści: *Wyspa* i *Mój czas osobny*. Coś zatem z tymi Kaszubami w sercach i pamięci Wilniuków musi być na rzeczy, to nie jest sztuczne uczucie. Przeczytałem *Ciotuleńkę* na nowo, używając sloganu reklamowego, mogę powiedzieć: to się czyta! Ale ważniejsze są dla mnie inne powieści Żakiewicza: *Biały karzeł*, *Ród Abaczów*, *Wilcze łąki*, osobno stawiam cudowną *Dolinę Hortensji*. Daj Boże każdemu napisać coś takiego, to jest żelazne alibi świadczące o niemarnowaniu talentu i życia.

Teraz ukazała się w wydawnictwie „Słowo / obraz terytoria” nowa książka Zbigniewa Żakiewicza *Gorycz i sól morza* (podtytuł – *Gdańskie Smorgonije*), po części nawiązująca do *Ciotuleńki*, gdyż główna postać przewija się także i tutaj, choć nie są to już opowieści żartobliwe. Oczywiście Żakiewicz nie byłby sobą, gdyby w opowieści nie wplatal swoistego dowcipu i żartu, ale jest to już śmiech, po którym robi się momentalnie smutno i melancholijnie. Po lekturze *Goryczy*... ma się tylko i wyłącznie ochotę na pójście do dawnego ulubionego baru, ale w drzwiach przychodzi cierpkie opamiętanie, że tego baru już w mieście nie ma, pamięć o nim pozostała tylko we własnych mglistych wspomnieniach i książce Żakiewicza.

Jeszcze zdążyłem „załapać” się na ludzi i miejsca, które z ciepłogorzka melancholią opisuje Żakiewicz, to był także kawałek mojego świata i życia. Ktoś niewiele młodszy już tego znać nie może. Czytając *Gorycz i sól morza* często – mimo żywej akcji – miałem odczucie niespiesznego wędrowania po cmentarzysku swojej młodości, wielokrotnie czułem coś w rodzaju fantomowego bólu, jak czuje ktoś ból uciętej ręki. Nie ma już mieszkania Stulka Hebanowskiego na Miszewskiego (choć mieszkam niedaleko, udaję przed sobą, że nikt tam serdeczny nigdy nie mieszkał), pracowni Buniego i Stanisława Michałowskiego, nie ma Teresy Izewskiej, Irka Iredyńskiego, Mietka Czychowskiego. Ta książka równie dobrze mogłaby mieć podtytuł *Gdańskie Elizejum*... Na drugi dzień jeszcze czułem psychiczny ciężar *Goryczy i soli morza*, jak-

bym jednak we śnie trochę pobyl w którymś barze z młodości albo zaszedł na melinę do Ślepego Jacka, co była po drugiej stronie ulicy. Aż wierzyć się nie chce, że tak było naprawdę, że byli tacy piękni ludzie w naszym niepięknym życiu, piękne dni, przyjazne mieszkania i knajpy. I to wszystko było tutaj, na wrzeszczańskich ulicach i pośród śródmiejskich zaułków, jak nam było mało to jechaliśmy do sopockiego Spatifu.

Tak, to jest opowieść o Gdańsku sprzed niedawna, ale jest to, mimo wszystko, opowieść o innym mieście. Od tamtych czasów zmieniło się wiele, zmieniło się na gorsze. Tylko Zbyszek się nie zmienił. I dlatego nie dziwię się, że w swojej książce ucieka chyłkiem z Trójmiasta, jakby nie do końca to miasto mu pasowało, i wiezie swoich bohaterów na Hel, do Jastrzębiej Góry, na Kaszuby. Inny jest też wtedy u niego rytm zdań i sposób opowiadania, bardziej spontaniczny i żywiołowy. To jakoś można wytłumaczyć, niekoniecznie podług teorii literatury. *Gorycz i sól morza* jest książką osobistą, jest *requiem* napisanym osobiście. Nic ważniejszego dla pisarza do roboty nie ma.

W tym momencie mógłbym już skończyć. Byłoby to jednak niepełne sprawozdanie z lektury. Bo jest jeszcze inna jej warstwa, również istotna, jak ta, która dla mnie była pierwszoplanowa. To warstwa metafizyczna, bez której Żakiewicz nie byłby Żakiewiczem. Nie jest tajemnicą, że w kręgach towarzyskich, oprócz innych określeń, zwany jest on także Misiem lub Niedźwiedziem Metafizycznym, pisze zresztą o tym w książce. Nie jednak nie poradzę, że sprawy metafizyczne są dla mnie sferą intymną, o której głośno mówić nie chcę, a i nie wiem, czy potrafiłbym. Jedną z pierwszych książek pożyczonych mi przez Żakiewicza do koniecznej lektury były *Myśli* Pascala... Od tego momentu minie za niedługi czas – nie do uwierzenia! – trzydzieści lat, więc sporo o sobie wiemy, jak pisze ulubiona przez nas Wisława Szymborska: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”. Wiem, albo tylko domyślam się, czym było dla Żakiewicza długie pisanie tej książki – gorzkiej nie tylko w tytule, książki pisanej przez kogoś, kto zdaje się być pogodzonym ze światem lub bardzo bliskim pogodzenia się z nim.

\*\*\*

...może to będzie trwało krócej niż zaciągnięcie się papierosem i w tym momencie, jak w dawnych opowieściach słuchanych przy ciepłym kaflowym piecu, przez czyjeś mieszkanie niespodziewanie przebiegnie dziwny podmuch, poderwie się do lotu odpoczywający na firance motyl, zachrobocze pordzewiała sprężyna w starym zegarze, co przestał odliczać jakikolwiek czas, komuś akurat w tej chwili przypomni się twój numer telefonu albo adres, ale postanowi zatelefonować lub napisać później; ten moment będzie prędszy niż przejście z pokoju do pokoju, choć stanie się twoją wiecznością, krótszy niż urwana ostatnia nuta fugi Bacha; może to będzie westchnienie, może urwany krzyk, w samotności albo przy kimś kto nie potrafi tego długo zapomnieć, nawet gdyby tym kimś był tylko pies lub głodne synogarlice na parapacie okna; a potem już nie, a potem już będzie po wszystkim, piasek zasypie otchłań wieczności; tak się dopełni...

Aleksander Jurewicz

## Ewa Sonnenberg

### Przewodnik liryczny po Europie (II)

(...) ona również stanie się poetą, Kobieta odnajdzie nieznaną! Czy światy jej myśli będą się różniły od naszych? Odkryje ona rzeczy niezwykle, niezglębione, odpychające, cudowne; przyjmie je, zrozumiemy.

(Artur Rimbaud: *List jasnowidza*)

#### Metropolis

Tłumy. Potencjalni kochankowie i mordercy. Konsumpcja powietrza, spojrzeń, czasu, kolorów, twarzy. Fragmentyzacja i rozproszenie. „Stacja początkowa” (labilna, wywrócona w poprzek miasta i życiorysu, lekkomyślna lub decydująca) – „stacja docelowa” (insynuuje kierunek odwrotu lub ryzyka, jak wydostać się spod skorupy asfaltu, wieżowców i zabytkowych pozostałości). Tłumy biegną jak zgrana, sprowokowana banda szczurów, uperfumowanych szczurów. Pod ziemią panuje zaduch i charakterystyczny zapach: wewnątrz ziemi plus ludzkie odchody plus Chanel równa się godzina szczytu. Metro narzuca swoją logikę: albo kapitulujesz, albo przestajesz istnieć, tożsamość jest zbędna. Kilogramy makijażu, miliony szminek i różne rodzaje pudrów, pod którymi szukamy czegoś wspólnego nam wszystkim. Łączy nas jedno: idea czekania. Rozglądam się za czaszką Jorika, Quasimodo, lub choćby de Sade’a. Nic z tego, jedynie papiery, niedopałki, ceramiczna nitka ścian. Podziemne chodniki i aleje bywają romantycznie czyste i romantycznie brudne. Anonimowe grupy, pary, pojedyncze osoby. Zdarza się jakiś pocałunek lub poufalość rąk, a jeśli ze sobą rozmawiają, to w czasie przyszłym: *futur simple*, *futur proche*, *futur anterieur*. Nazwa szczęśliwej gwiazdy brzmi jak stacja metra: „Bonne nouvelle”. Kręte ścieżki nowoczesnej astrologii, czytanie przyszłości z krótkich hasel na plakatach: „Le jardin planétaire”, „Quelqu’un va venir”, „La mort n’en saura rien”, „Pas de scandale”, „Le niveau cirque”, „Zdrada”, en trois quarts twarz Pintera. Od czasu do czasu pojawia się fragment nieba na ekranach telewizorów, syntetyczny błękit o wysokiej rozdzielczości. W metrze opanowuje się szczurze skóry i szczurze trakty. Pod okiem kamer i sieci security-phones pokutuje istota tuneli drążonych w ziemi i ceramicie:

„Będziesz sobie ziemię czynił poddaną. Będziesz sobie czynił poddaną...  
Przeklęta niech będzie ziemia z twego powodu”

Błyszczą metaliczna skóra węża, wygina tunele w śliskie ujścia labiryntu, metro rozpęda się, pochłania zapach ludzkiego potu, tasuje daty, biografie, ślady – krótkotrwałe schronienia, przesypaną odległość z czubka butów na ostrze obcasu. Można tak całymi dniami i całymi latami nie wychodząc na powierzchnię, osiąść na stałe pod przesadnie dużymi stopami myślicieli z cokołów i fundamen-

tami Notre-Dame i in. Szczury gonią swój własny limit, skończoną ilość „wejście”, „wyjście” i infrastrukturę korytarzy, uderzają skórzanymi, biurowymi teczkami o granice: dom – metro – praca, praca – metro – dom. Jak w grze komputerowej wirtualna zabawa w „nadzieje i pragnienia” pod kontrolą jednego lub kilku przycisków, z jedną drobną różnicą – nie ma zapasowego życia. We wnętrzu ziemi pływa gen szczęścia lub wirus smutku. Zainfekowanie możliwe jest drogami na skrót lub pod prąd. Ale metro to również raj z niekończącą się, jedną jedyną porą roku – odrzuconych, bezdomnych, złodziei, anemicznych muzyków, uskrzydłych żebraków z fantazją, złodziei optymizmu, czasu i myśli. Odrzuceni nie chcą słońca, wybrali porysowane, wilgotne sufity, odrzuceni wiedzą, że za wiele pokazuje, nie zostawia na nich suchej nitki, wyostrza skłonność do nędzy, brudu, smrodu. Odkryci i bez szans nie nadążają za dziennym światłem. Półmrok i sztuczne oświetlenie łagodzi i koi. Jak na scenie ludzą się, że spektakl lada chwila dobiegnie końca, a kiedy opadnie kurtyna, wrócą do ciepłych, zadbanych domów z honorariami w kieszeni. Ta prowizoryczna barwa powietrza idealnie pasuje do prowizorycznego z dnia na dzień. Muzycy, Vivaldi, jazz, myszy, żebracy, Mozart, bezdomni, psy, karaluchy i wiersze:

na tej pustyni  
tak bardzo samotna  
że czasami chodzi do tyłu  
by zobaczyć jakieś ślady

### Smutny pasażer

„I know, I alone” – kuliste wyznanie, którego obwód jest wszędzie, a środek w nas. Język angielski szczególnie podkreśla kulistość językowego perpetuum mobile. Jakby „know” było tożsame z „alone”, raz wypowiedziane, jak wprawiona w ruch wstęga Möbiusa już nigdy się nie zatrzyma, zatoczy koło i wróci pełniejszym głosem. Chyba nie ma bardziej plastycznej frazy w poezji niż ta: „I know, I alone”, pisał Pessoa dziesiątego sierpnia 1932 roku. To mogła być Lizbona, Paryż, Barcelona, Londyn, wszystko jedno. Koło wciąż się toczy przed, obok, za, byle dalej, byle nie zacząć ani nie kończyć. Koło? doskonała sylwetka wszechświata? jedno, dwa, nieskończenie wiele? W tym wagonie trzeciej klasy rachunek jest bajecznie prosty: zawsze coś kosztem czegoś. Nie ma zlej pory, istnieją tylko złe okoliczności. Ponoć każdy normalny człowiek robi w życiu przynajmniej dwie rzeczy: pisze jeden wiersz i choć raz myśli o samobójstwie, powinien spotkać diabła i anioła, kilka razy umrzeć i kilka razy przyjść na świat (własny czy cudzy?). Zaczynać jeszcze raz od początku? Realność, której nie można się pozbyć, koło, o coraz większym promieniu. To nie na moją kieszeń. Nieudane ucieczki, za późno, by wracać i powroty, których nie można przewidzieć. Każde miasto rządzi się swoimi prawami i deserami, każde ma swoją własną muzykę ulic; mury, kraty, okna nie są więzieniem, więzieniem są tylko ludzkie umysły. W czym tkwi różnica? Często słyszymy, może za często, jacy powinniśmy być, ale nigdy jacy jesteśmy naprawdę. Wyrażenie „jacy powinniśmy być” jest obrazem, jaki proponuje nam

ten, kto chciałby się czuć bezpieczniej w naszej obecności, wizerunkiem, nad którym mógłby w pełni zapanować. Jedyne, co mi zagraża, to tylko to, co jest mi bliskie. Jedyne, co może mnie powstrzymać, to brak powstrzymania i rygorów. Cokolwiek się nie stało, niebo i chmury pozostawały takie same. Ta sama prędkość: dźwięku, światła i oddalania. Ten sam księżyc, przez który obserwuje nas Bóg.

#### Sluchanie dotyku:

Jeśli nie teraz to kiedy?  
 Jeśli nie już to kiedy?  
 Jeśli nie dzisiaj to kiedy?  
 Jeśli nie natychmiast to?

Na jednym końcu dotyk, na drugim niedotykanie, pośrodku cienka granica przyzwoitości. Dialog platoniczny: im bardziej pragniemy, tym bardziej unikamy dotyku. Dotykać tylko po to, by wiedzieć, o czym zapomnieć? Lub nawet nie dotykać, nie spłoszyć tego zdziwionego, zaspanego urzędnika: niepewności. A jednak dotykamy, by nie mieć żalu, że nie dowiemy się, czym jest ten żal. Dusza boli w przegubach: o jedną setną sekundy za późno, o jedną setną sekundy za wcześniej. Dotyk jest ryzykiem, nigdy nie wiadomo, czym się skończy. Dotyk jest kradzieżą, za którą trzeba być ukaranym. W cywilizacji zimnych chwil tylko to, czego nie dotknęłam, ocalało.

#### Czekając na bandaże i środki znieczulające

Za każdym razem wystarczająco niebezpiecznym, krytycznie niebezpiecznym, korytarze szpitalne przypominają mi dzieciństwo: bezwolne i uzależnione, pokonane, ale nietykalne. Nic nie jest ode mnie zależne, a ja od wszystkich ubranych na białe. Biel jest językiem międzynarodowym: sukienki komunijne, suknie ślubne, obrus wigilijny, serwetki, bita śmietana, krem do golenia. Neonowe światło eksponuje ponurą, rozżaloną skórę i tętno. Na tych korytarzach mogły powstać tysiące sentymentalnych wierszy, ale powstała *Smycz*, współczesna wersja *Sezonu w piekle*, uzależniona nie tylko od rąk chirurgów, pomysłowości recept, farmaceutycznych obietnic, ale również od martwych, posrebrzanych, metalicznych, chłodnych urządzeń, które bywają bardziej subtelne od obsługi. Najbardziej wolna czułam się w poczekalniach pogotowia, pod palcami chirurgów, zdana na ich talent i błyskotliwość; tymi palcami, dawali lub odbierali życie, grzebali w trzewiach, pieścili swoje kobiety, przeliczali pensję, z elegancją zamieniali skalpel na nóż i widelec, papirosa lub lampkę wina na proszonych przyjęciach. (Ich ręce są bardziej cenne od rąk pianisty.) Ewentualności, jakie ukrywały się po otwarciu hermetycznie zamkniętych drzwi, podniecały jak chwile przed odkryciem kolejnej metafory, jak ta na lewej ręce, wtargnęła w naturalny bieg linii papilarnych, półkole zahaczone o „linię życia”: śliczny, efektowny, darmowy souvenir z Paryża – blizna w kształcie litery J, jak jaśmin, język, jaszczurka, jesień, jeszcze, jabłko, jednak, *Jasny*, *Jedyny* i *wszystko to w tej jednej bliźnie!* Idealna przynęta na ironię losu, kropka

po ostatnim zdaniu lub nad „j”, cieleśny, z krwi i kości inicjał złożony pod *Smyczą*. Czy znajdzie się ktoś, kto będzie chciał czytać wiersze o bliźnach? Szycie, szycie i jeszcze raz szycie, poddane obróbce w szpitalu Pitié Salpêtrière, dwieście lat temu znajdował się tutaj zakład dla umysłowo chorych, gdzie po raz pierwszy (w ramach eksperymentu psychiatrów) traktowano chorych po ludzku, równie po ludzku obchodzono się ze mną. „C'est un miracle!” – zdziwiony lekarz bandażował mi rękę. Czy tych cudów nie za dużo? Drobne wypadki, drobne eufemizmy, wielki cud, dawkowany jak astronomiczna dawka glukozy, tym razem o nazwie ”dwa milimetry”. Może żyjąc dysponujemy ustaloną i skończoną ilością cudów, o zapożyczeniu czy debecie nie ma mowy? Do kogo należą te dwa milimetry? Kto pozwolił mi zatrzymać je dla siebie?

### Po czyjej stronie jest wina?

Najgorszy rodzaj skargi to skarga poszukująca winnego. Kogo winić, że świat coraz więcej nam obiecuje i coraz mniej daje, że z krzyku zostaje kilka nieczytelnych wersów? Winny nie wie, że jest winny, lub nie chce wiedzieć. Zostawiam wzrok na kimś przypadkowym. Winny to ten, którego szanuje ulica, dzielnica, miasto. Nieustannie zajęty wywiązywaniem się z obowiązków i dawaniem przykładu. Wracając do codziennych, prozaicznych czynności, rozlicza z przewinień swoje ofiary, jego specjalnością są akty miłosierdzia i skruchy, niedzielne spacerzy, malownicze przejażdżki za miasto. Ten niewinny twórca zemsty ulega często wzruszeniom, jak nikt zna się na zachodach słońca, relacjonując najdrobniejsze niuanse kolorów: „nad morzem piasek jest różowy”. Winny gardzi tymi, którzy w jakiś szczęśliwy sposób umknęli mu spod kontroli. Dobroć jest dla niego wadą, która prowokuje, drażni lub nuży.

### MIAŁEŚ RACJĘ, TY PIEPRZONY PESYMISTO!

### 14 VII

Błoto w sztucznym świetle wygląda olśniewająco, lśni jak drogi klejnot rzucony samopas na pastwę słońca i fanatycznych estetów. Kłęska, czy to słowo brzmi wystarczająco? ponuro? efektownie? ostatecznie? Nie przesadzajmy, co jak co, ale przesadą niech zajmują się projektanci mody i chirurdzy kosmetyczni. W godzinie kłęski najważniejsze są czyste ręce, staranny makijaż i odpowiednie buty. Zaskakująco szybko uczymy się sytuacji z fatalnym zakończeniem, gotowi ją nawet polubić; jej etapy wbrew pozorom są proste i łatwe w obsłudze. Czasami można stracić: i koronę, i głowę, i w ten ekscentryczny, niekonwencjonalny sposób przejść do historii. Ta kłęska tak dosłowna, bo nie dotyczyła ani absolutu, ani wielkich słów – przeciętne, zwykłe, codzienne, zamiast ciastek zwykły chleb. Najbardziej dokuczliwa jest nie sama kłęska, ale sposób, w jakim otoczenie karmi się nią, tuczy na niej swoje słabości i kompleksy. Zbiorowa euforia odbywa się zawsze za głośno, za łapczywie i przeważnie nieelegancko; żadnych kunsztownych dodatków: ani sztuców, ani serwetek, gołymi rękami z jednej miski, prowokacyjnie: jeszcze!

Ten brak stylu i wycucia ma swoją kulminację w rozpasanym, bachicznym momencie na całość:

105 rewolucjonistów uderza w te same drzwi  
 105 rewolucjonistów nie wypilo gorącej kawy i są wściekli  
 105 rewolucjonistów układa ładną, chwytliwą nazwę gilotyny  
 105 rewolucjonistów wybiera się na wycieczkę do Wersalu

Rosną na klęsce, na resztkach dawnej świetności, jakby dopiero teraz potrafili uszczknąć „to coś”, co do niedawna było dla nich zbyt święte, wielkie i nieosiągalne. O klęsce nie mówi się w języku swojego dzieciństwa, o klęsce mówi się w obcych językach, czując ulgę, że koncepcje gramatyczne naszej klęski nie przystają do koncepcji gramatycznych języka, w którym się o niej opowiada. Dzięki temu tworzy bezpieczną, pustą przestrzeń, w której możemy się schronić; ów abstrakcyjny obszar jest jedynym komfortem, jaki nam zostawia. Klęski bywają bardziej wyrafinowane od triumfów. Szkło? metal? drewno? Dopiero na kolanach zaprzyjaźniamy się z ziemią – miłosna intymność, po której będzie nam wierna i oddana do końca, a my zaczniemy chodzić po niej z lekkością. Tryumfy na dłuższą metę są szkodliwe i trywialne, deprawują nie tyle tryumfatorów, co otoczenie rekrutujące się z klakierów lub przeciwników. Ciekawe, jaka myśl przemknęła w toczących się głowach Ludwika i Marii Antoniny: o klęsce? o tryumfie?

### Happy Halloween

Tym razem śmierć zakłada zupełnie inną maskę: fluorescencyjną, neonową, brokatową, pogodną jak oferty biura podróży, uprzejmy uśmiech stewardessy lub miękkie fotele w salonie fryzjerskim. Halloween na Champs-Élysées, kilkukilometrowa kawalkada przebierańców-rollerzystów, wszystkich świętych i wszystkich grzeszników. Śmierć filmuje ręczną kamerą Panasonic, filmowała przez cały czas w najbardziej zaskakujących sytuacjach, gdy wydawało się, że bezpiecznie zbliżamy się do celu z łukiem triumfalnym w tle. Śmierć w zakrwawionym fartuchu rzeźnika o milę, zdrowej twarzy: cielęce czy wolowe? Śmierć z grzebieniem koguta, czerwonym ogonem świtu. Póki co, północ, słup rtęci podnosi się w termometrach ulic. To dopiero początek industrialno-teatralnej parady, średniowieczne danse macabre zamienione na techno zabawę: cyber-ego, hyper-cool, super-max, arcy-good, sexy-rave. Coraz bardziej odczuwam ciężar ziemi pod znakiem Saturna: „Sit tibi terra levis!”, teraz i zawsze, *ad infinitum*, ironiczna sprzeczka trzech goździków. Zgadnij, który dla kogo? Biały jak Chopin, bo chorowitość i szczupła sylwetka udźwignie tylko taki kolor, bo w h-moll lub cis-moll, lewa ręka jak wskazówki zegara, prawa – pięciopalcówka zwierzchnia. Na Pére Lachaise tłumy Polaków i ... Japończyków. Żółty jak Wilde i jago ukochane słoneczniki. *Odpuszczam wam winy i nienawiść, szeptał, stojąc w kolejce do Piekła*. Pustynno-szorстки sflinks odlatuje do zimnych krajów:

And alien tears will fill for him.  
 Pity's long-broken urn,  
 For his mourners will be outcast men,  
 And outcast always mourn.



Czerwony jak trzewia Baudelaire'a rozmazane na kartkach *Les fleurs du mal*.

## CZY TAŃCZYŁAŚ WCZORAJ?

### Wenus z Milo (artystyczna wersja gorącego uczynku)

Młody ksiądz vis a vis niej przygląda się bladej kłótwie wygrzebanej z greckich wysp. Czerń habitu i biel kamienia. Czy tak wygląda początek spowiedzi? Jeśli istnieje grzech, to jest nią tunika, której ona z jakiegoś powodu jeszcze z siebie nie zdjęła. Jeśli istnieje rozgrzeszenie, to jest nim długie, wyczekujące spojrzenie młodego księdza. Jeśli istnieje pokuta, to jest nią rzeczywistość, w której nigdy ze sobą nie będą. Flesh i jeszcze raz flesh. Mężczyźni przyprowadzają tu swoje kobiety. Ich kobiety są przeważnie stare i zniszczone, noszą dotykooodporne ciała, zrogowaciałe, skamieniałe, zagłuszone. Mężczyźni fotografują swoje kobiety razem z Wenus, fotografują swoje przywiązanie, tęsknotę za ideałem; porównują z kanonem piękna. A kanon piękna wygląda na niepewny tej roli, zażenowany sytuacją, zajęty swoimi biodrami, przylapany w trakcie zdejmowania tuniki; bezręki, kaleki (inkwizycja?), plecy pokryte pleśnią czasu, spękane i poszarzałe, zgarbione od wysiłku rzeźbiarza, Wenus z chłopcą, ordynarną twarzą, muskulaturą, jakby regularnie ćwiczył na siłowni posilając się anabolikami i gorącą czekoladą, spięty i skupiony, za chwilę kopnie piłkę, powybijają wszystkie szyby Louvre'u. W półotwartych ustach, bynajmniej nie ze zdziwienia czy zachwyty, wyrwane z kontekstu zdanie: „Wydaje mi się samym bogom równy mężczyzna, który siadł naprzeciw ciebie”, cytuje przewrażliwioną wariatkę z Lesbos, wielbicielek delikatności i ładnie podkreślonych mięśni. Kanon piękna nie zdążył się rozebrać, niecierpliw rzeźbiarz przerwał mu w połowie, może był o niego zazdrosny, może chciał go wreszcie dotknąć, porzucając pracę z kamieniem. Marmur uwięziony w ludzkiej postaci, znieczulony na półnagość własną i tych, co go oglądają. Co za zbiegowisko, analizuje każdy centymetr uszkodzonego korpusu. Jakież to europejskie: uczy duchowe przy tym, co kaleki i skrzywdzone.

*I think there are the poems greater and stranger than any I have known*

(Peter Boyle)

Ile jest wierszy, o których nigdy się nie dowiemy, nie przeczytamy, nie usłyszymy? Docieramy do takich tekstów, na jakie zasługujemy. W przypadkowej księgarni na ostrym rogu Saint-Michel? u bukinistów nad małomówną Sekwaną? w Shakespeare Company? zwłaszcza po północy, gdy pijany od świateł Paryż dopija ostatnią kawę? Zdarza się, że nawet jedno zdanie, ba, jedna metafora potrafi zmienić zaplanowaną północ na długi, nieskończony świt, czasami tworzy świat od nowa, rekreacja, powieła sześć pierwszych dni w ciągu kilku sekund. Jak pisał Ortega y Gasset: „Metafora jest największą siłą, jaką posiadał człowiek, bliższa magii i podobna do boskiego narzędzia, którego Stwórca zapomniał w ciele człowieka”. Dlatego świat bez Boga jest światem bez metafor z bardzo czytelnym i jednoznacznym kontekstem słów, przeważnie poleceń lub komend, schematycznych i konkretnych pytań, egzekwują-

cych krótkie i równie konkretne odpowiedzi z ustalonym limitem bezpiecznych sformułowań, językiem demagogów i dyktatorów. Konflikt poeta-otoczenie jest naturalnym środowiskiem rozwoju poezji, jak inny rodzaj powietrza, bez którego poeta umiera. Piękno mistycznego obłędu: ten boski drobiazg pozostawiony w jego organizmie potrzebuje punktu oparcia, jak choćby tej z Baudelaire'owskiego *Albatrosa*. Pisarz nie pisze, by usprawiedliwić się, ale by inni mogli znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie. Największą przyjemność czerpie się z tego, że to, co piszemy, podoba się, ale że jest to dla większości obrzydliwe i nie do przyjęcia. Literatura nie jest zmyśleniem, „stałówkę maczam w życiu”, głosił Blaise Cendrars. „Czarna krew, z której pisze się wiersze” nie była wytoczona tylko z wyrafinowanego i wydelikaczonego umysłu Jeana Cocteau. Praca nad intensywnością i jakością tej czerni jest udziałem niejednego poety przekłętogo lub poety kaskadera, rzetelnym odtwarzaniem kryzysu w ekonomii rzeczywistości, a jednocześnie, gdy nie ma już niczego, na co można by liczyć, zostaje nam tylko poezja i wieczność – wypalanie na kartce smoczycy tatuażu.

### Oniropolis

Młodzi poeci krzyczą: Dość! Ca suffit! Roczniki 70-te zniszczyły maszynę do produkcji poetów. Poetów nie produkuje się jak befsztyki, stąd ta metalowa konstrukcja: zardzewiały wrak lodówki, resztki pralki, telewizora, obok: buty Rimbauda, kość Bacona, koszulka Preverta, brzytwa Ockhama, zapalniczka Michaux, niedopałek Camusa i in. zabawy z tradycją i skamieniałą historią literatury. Czy to jest bunt? Przecież wiedzą, że świat można zmieniać, ale na jeszcze gorszy. Z ostatniej chwili: *Buntować się stop tzn. dać się sprowokować stop nie wracam stop telefonicznie stop buntem jest brak buntu stop*. Ironizują na serio i na serio recytują wiersze i manifesty. „Oniropolis” to nie tylko sny o potędze, ale akcje poetyckie, happeningi na ulicach, w szpitalach, metrze, kawiarniach, supermarketach – teatr niespodzianek. Poezja nie kończy się w czterech ścianach, nie czytuje się jej do siebie, do ściany, do poduszki – amatorszczyzna? Czytelnik – tekst jak żywy organizm potrzebuje powietrza, zmiany otoczenia i czegoś mocnego. W mieście snów stałymi mieszkańcami są młodzi ludzie z pomysłami i artystyczną smykalką, trubadurzy i truverzy podszkoleni w graniu na instrumentach elektrycznych, biegli w technikach komputerowych, bezbłędnie poruszający się w rzeczywistościach wirtualnych. Władimir – kompozytor muzyki eksperymentalno-rockowej, pisze teksty, twórca tzw. styropianowej telewizji, performer, ekscentryk. Na pytanie, czym się zajmuje, odpowiada zwykle: „Włączam i wyłączam odkurzacz”. Powodzenia! Odkurzacz to chyba niezła przenośnia procesu twórczego! Tajemniczy z pewnym dystansem do ludzi Fabrice Charbit, sprawca „Oniro”, „Ojciec”, „Kapłan” jak go nazywają, lubi tańczyć w turbanach i na bosaka, przeważnie nad brzegami Sekwany. Dla niego poezja jest jak „esprit jaguara”. Philippe Léger: „Jestem tylko obiektywem, bez emocji opowiadam rzeczywistość”, ale w jaki sposób! Pierwszy jego tomik powstał w Nowym Yorku, drugi to wiersze z podróży po krajach Europy Wschodniej. Uwielbia Pragę, Budapeszt, Kraków;

Wielkanoc '98 spędzał na ulicach Krakowa. Oto Francuz opisujący precyzyjnie i pięknie historię lęku i zagubienia; jego odwaga i świadomość są zaskakujące. Młodzi poeci ze Wschodu unikają raczej tych tematów, wolą bagatelizować, nie przyznawać się, tworząc sztuczną grę z konwencjami i wymyślając bezpieczny, wspólnotowy termin, np. „barbarzyńcy”. Trwają w tym cudzysłowie bez świadomości geograficznej czy narodowej. Tylko że nawet to barbarzyństwo jakieś takie zapożyczone ze „szczęśliwego Nowego Roku” na „happy new year”, z „wesołych świąt” na „wesołego hamburgera”. Zabawniejsze jest co innego. Otóż tzw. o'haryzm, czyli poetycki styl owego nieszczęsnego O'Hary, to nic innego jak pewna odmiana campu; jakby nie było, entourage O'Hary to elita homoseksualna Nowego Jorku, a nie heteroseksualne zaścianki. O'Hara nie notuje „małej rzeczywistości”, ot tak, przeciwnie, jest nią urzeczony jak wyspą pełną magicznych drobiazgów, osobliwych i uświęconych. Szczegóły, które jednocześnie są jego izolacją i innością. Jak można te pełne polotu i lekkości teksty O'Hary porównywać z bełkotliwą narracją z szaleństwów miejskich lub dworców i topornym słowotokiem! Jakby sam to przewidział:

Już nie ma żadnych fiołków nosorożców czyneli  
upiorna bładość usadowiła się nad rzeźnią gdzie fruwa sierść  
a dźwięki to odgłosy nagrzanego buldożera co ugrzązł w błocie

### Między wnętrzościami zegara pesymiści też bywają głodni

Paryż wydorósł, stracił dawną beztróskę, na poważnie roztrząsa absurd i ironię. Pochował Ionesco i Becketta na tym samym absurdalnym cmentarzu Montparnasse. Brutalnie przebudzony z surrealizmu, popadł w drapieżną melancholię, inną niż u Dürera; tłusta, rozkrzyczana prowadzi do gigantycznych domów towarowych, kolorowych, uprzejmych automatów i ruchliwego skrzyżowania nudy. W Luwrze jak w burdelu – za madonny trzeba płacić (48 fr. przed południem, 28 fr. po 15<sup>00</sup>). Kościoly jak bezpłciowe, nieosiągalne modelki na wybiegu miasta, szeleszczą kamiennymi koronkami: „Noli me tangere”. Notre-Dame zamieniona na fabrykę do masowej produkcji turystów. Wieża Eiffla tylko bywa wieżą (tak jak „bywa się” poetą), uruchamia gejzer metalu i jeśli już, to cierpi na lęk wysokości. Pod ekstrawagancką, wielogłosową architektoniczną fugą Centrum Pompidou bije encyklopedyczne serce. Genialne dzieci nie są dziećmi. Najpiękniejszymi kobietami Paryża są transseksualiści (Valeria, Doriana), najpiękniejszymi mężczyznami kelnerzy. Zapach kolagenu i silikonu rzeźbi wyraz twarzy i sylwetki. Z placu Pigalle odeszły prostytutki, odeszły jak z moich wierszy. Madame Sans-Gêne nosi żalobną bicliznę, madame Sans-Coeur kokietuje złote guziki policjanta, madame Sans-Souci płucze gardło valium. Szczęście jak spasiona pluskwa żywi się smutkiem. Kłozardzi wyprowadzili się spod mostów i grzeją tyłki w metrze. Dachy Paryża – paskudne, śliskie, obolale, blaszane; ani milimetra mchu, ani jednego lunatyka, kota czy fosforyzującego ślimaka Bretona. Sekwana jest tylko wodą, zdezorientowaną mieszanką brudu. Sekwana nie płynie, to ludzie płyną, woda wciąż w tym samym miejscu, ta sama woda o tej samej nazwie.

## Deszcz

Pan Bóg wyciska gorycz zielonej cytryny, dodaje krople tequili do listopadowego drinka. Jedna, dwie... Ofelie? Napijesz się? Pierwszej z brzegu? Deszcz z Saint-Germain-des-Prés jest słodszy od tego z Montmartre'u. Jest taka ciemna kropla za kołnierzem topielca, znam ją, znam taki deszcz, idzie krok w krok za tobą, pociesza Verlaina. Deszcz? To nic takiego, tynki puszczaają farbę. O jedną kroplę za dużo. Gonitwa, na którą postawiło się od urodzenia – podręczna liryka. Najpiękniejsze jest to, że nie jesteśmy sobie niczego winni: ani skargi, ani żalu, ani optymizmu, ani zachwytu, ani jednej wybrakowanej kropli. Między nami nic się nie wydarzyło i może dlatego wydarzyło się wszystko. Bukiety chmur rzucane pod stopy, krople wody dla wprawy, nie stać cię? No dalej: rytmiczne zużywanie emocji, figlarne rysowanie powietrza, muskulatura czasu, nasiona włosów, szklane tulipany okien, maskarada. Deszcz? Winni są meteorolodzy. Deszcz gasi pragnienie i stopy. Deszcz? To nic strasznego: przestała szeptać dusza, zaczęło szeptać niebo. Deszcz to coś wielkiego, można w nim ukryć płacz. Deszcz? Też coś, przecież to tylko woda, postraszymy ją zapalką. Deszcz o smaku Atlantyku, chłopcy jeszcze, dziewczęta również. Deszcz; dopływasz? Nic z tego.

## Dzień, w którym spotkałam Virginie Woolf

Pachniał lawendą i płatkami kukurydzianymi. Ach te Angielki, faszerowane puddingami, białe, mleczne, gęste, flegmatyczne panny młode, ulotne i nietrwale jak tandetne perfumy. „Lesson one”: „She is thin, tall and...lovely”. Grają w football, w niedzielne popołudnia strzelają gole: 0:1, kochają się z zamkniętymi oczami, 0:0, a najchętniej z daleka. Angielska powolność, przez którą można stracić świętą cierpliwość, ale i zyskać dwa razy więcej przyjemności i życia. Alicja znikła, ale kraina czarów została (i pewna plotka, że Carroll napisał *Alicję*... jak przystało na rasowego pedofila). Już było wiadomo, kto jest kim. Telefony nie robiły żadnego wrażenia, ani koperty, ani listy. Dawno ostygły serca i pistolety. Tylko samotność słyszy, co kryje się po drugiej stronie serca. Kiedyś myślałam, że serce jest bardziej lub mniej sprawną tkanką mięśniową poprzecznie prążkowaną, którą należy regularnie badać, leczyć, prześwietlać lub wstydliwie chować pod wieloma warstwami bawełnianych podkoszulków „made in China”. Anglia to zmieniła. „Something else?” Już mam, co potrzebne, nucę w trudnych chwilach, refren własnej roboty: *nikt mnie nie lubi, a Bóg się śmieje*. Śmieję się razem z nim na głos, na całe gardło, gorsząc damy w złotych ramach, z tych gównianych przyjaźni na pół gwizdka, z tych głupich reakcji na ból i niechęć, z tych wielkich i na pokaz okruczeństw życzliwości, z blizn, co przypominają..., z niebezpieczeństwa, bo było śmiertelne, że nie rozumiałam, że układałam wiersze i ufalam, z przemądrzałych strategii rozumu, z gier obłędnie przewrotnych, z roztrwonionej wolności, z tych zwycięstw fetowanych w brudnych garniturach itd.

### Lavender Street

- a) wszystkie złe zakończenia zamienione na dobre  
 b) wszystkie dobre zakończenia zamienione na złe  
 a > b

### Lady's Eye

Do Fitzwilliam Museum w Cambridge prowadzą sztywne trawniki, na których siadywał Newton i Henryk VIII. W aksamitnych wnętrzościach muzealnego „Portrait of the Lady”: urodzona w 1573 roku, miała dużo szczęścia, jej kuzyn, książę Essexu załatwił jej niezłe zajęcie – bawienie Elżbiety I, jako pierwsza dama dworu nie odstępowała królowej ani na krok, zapatrzona w królewski, ostry profil i mocny charakter. A można było jej wielu rzeczy zazdrościć, choćby tej jednej nocy, kiedy zobaczyła wszystkich swoich nieprzyjaciół z poderżniętymi gardłami. Dama dworu udawała oczywiście, że nic się nie wydarzyło, pudrując twarz królowej i wkładając na jej wskazujący palec pierścion z opalem. Niestety, w 1598 poślubiła księcia Southampton – Henry’ego Wriothesleya, i opuściła królewski dwór, trochę tęskniła za królową, zwłaszcza za wykwintną grą pozorów i perukami królowej pachnącymi lawendą, ale cóż, siła wyższa: Anglia! Dobro Anglii! Portret był pomysłem i prezentem małżonka, patrona poetów i pisarzy, sponsora samego Szekspira. W okazałych, złotych ramach Elisabeth Vernon, duchessa z Southampton, przez zaciśnięte, arystokratyczne usta sący dyplomatyczne wymówki. W białej, jedwabnej, renesansowej sukni wygląda na wściekłą. Ma dość olśniewającej ilości jedwabiu i kilogramów perel. Ileż frytek, hot-dogów, hamburgerów można by zjeść za te perłowe kulki! Z kącików ust dochodzi: te rozkoszne jedwabne trzewiczki cisną mnie!

### „PERFECTIONNER VOTRE RÊVE”

Marzymy, to pewne, ale o czym marzą nasze marzenia?

### Amor, Psyche, Afrodyta i inne duperele

Moja paryska miłość pokochana najbardziej  
 bo pokochana za późno najbardziej grzeszna  
 rozkochana w drobiazgach bo w rzeczach wielkich specjalizuje się  
 obojętność

Gdybym zrozumiała, czym jest zagadka uczucia, poznałabym siebie. *Najwrażliwsze są ręce.* Równowaga polega na tym, że czujemy to samo, chaos, że nie wiemy, jak to powiedzieć. *To będzie nasz sekret.* Odwzajemnić sekret? Młody Bóg otrząsa tynek z siebie. *Zanim nie poznamy naszych wad, nie będziemy naprawdę ze sobą.* Obnażeni neutralizujemy przeszłość, ufając wspomnieniom, bezpiecznej trampolinie, z której dokonamy skoku w przyszłość. Wiosenne popołudnia mają temperaturę kobiecych ud, ich uda to najdłuższy odcinek czasu, popis wyczulenia na niuanse,

łagodny optymizm, dobre strony charakteru. Tylko poprzez drugą osobę można siebie opowiedzieć. *Smycz* to opowieść o spotkaniu ze skrajnym złem, *Lekcja zachwytu* ze skrajnym dobrem:

By wierzyć nie trzeba patrzeć w niebo  
Ta lepszej części mnie podniesiona z ziemi.

### Czułość

Kwiat mlecza przesłany w liście do Victora Hugo, juin 1861.

### Kantor wymiany myśli

Dramatyzm to chęć przypodobania się losowi.  
Całkiem przy ziemi jest akurat tyle, by nie stracić cię z oczu.  
Wyżej nie ma sensu – drapieżna autonomia zaspokaja samotność.  
Subtelność jest beczelnością.  
Dwóch rzeczy należy się wystrzegać: deserów i złych fryzjerów.  
Najpiękniejszy czas to czas stracony.  
Niesprawiedliwość: wielkie rzeczy przydarzają się wielkim ludziom.  
Odpowiadajmy, zanim padnie pytanie.  
Skrajne dobro prowokuje odruchy zła i odwrotnie; w jednym i drugim przypadku pozostaje nam łagodzić powody.  
Opale: mętne i szkliste jak bielmo na lewym oku.  
Dusza zaczyna się od stóp i płynie od pierwszego do ostatniego „nie”.  
Miłość: dwoje ludzi, którzy strzegą się nawzajem, stojąc na straży przyziemnych przyjemności.  
Świat: nieustanne zawstydzenie.  
Jedynie niespełnione lub utracone jest naszym schronieniem i siłą, bastionem nie do zdobycia.  
Melancholia: wykwintna ciemność i blichtr pozłacanych klamek.  
Wolność: realizacja marzeń z dzieciństwa.  
Czy można być wiernym przeszłości?  
Czy na miłosierdzie się zasługuje?  
Obietnica to wiara w niemożliwe.  
Słowa nie spełniają się, upiornie funkcjonalne zmieniają się tylko miejscami.

### Wewnętrzna konspiracja

Pozwolić na zakorzenie i gorycz. Banita, przyłączam się do zapalonych świec na Beaumarchais; miękną, łakną, unoszą w górę:

Dopóki mamy gdzie wracać wszystko inne jest nieważne  
Dopóki mamy o czym marzyć wszystko obok jest iluzją

### Wychodzą na jaw przekręty słońca

Polubiłam parki, ale zanim dotarłam do tego bezpiecznego punktu, tysiące razy widziałam jak św. Jerzy zabijał smoka. Nie wiem, dlaczego skojarzyłam te dwa momenty, te dwie różne hipotezy na istnienie dobra i zła. Jakkolwiek by tego nie interpretować...

Monceau: w angielskim stylu, rozkojarzony, aplikuje antyczne ruiny i romantyczne nastroje, kamienne, abstrakcyjne bramy wbudowane w przestrzeń obok sentymentalnych łabędzi, dzikich kaczek i rzęsy wodnej.

Bois de Boulogne: dziki, żywiołowy, nieokiełznany ani planem, ani porządkiem geometrycznym, ulubione miejsce ekshibcjonistów i drobnych zbrodniarzy z niewielkim talentem, idealne miejsce do rowerowych eskapad z dreszczykiem. Tuileries: egzaltacje Louvre'u, przesadny i sztywny, jakby stworzony do krynolin, barokowych peruk i gigantycznych wachlarzy. W fontannach ryby parodiują swobodę w narzuconej wodnej formie. Oswojone z międzynarodową publiką akwaticznego widowiska, wystawiają pyszczki ponad wodą, chwytając karmę w locie. Niektóre ssą amerykańskie landrynki. Bois de Vincennes: całymi dniami spacerują młode pary, jakby w poszukiwaniu drzewa z zakazanym owocem, by raz na zawsze skończyć z rajem białej sukni i czarnych lakierek.

Versailles: najbardziej wystawny, zakomponowany przez Le Notre'a, popis symetrii i dobrego smaku. Przy Petit Trianon stare, akacyjne drzewo, na pewno liczy jakieś dwieście, trzysta lat. Kto wie, może posadziła je własnoręcznie Marie-Antoinette, brudząc przy tym swoje delikatne, zadbane, przewrażliwione palce, być może na pamiątkę wydarzenia, którego najpierw nie sposób uniknąć, a potem nie sposób zapomnieć. I tak rośnie to drzewo niewypowiedzianym, ani przez królową, ani przez liście, przywiązaniem do kogoś, o kim nigdy się nie dowiemy. Wokół jej pałacu sekretne przejścia i intymne altany, idealne do rozmów z przyjaciółmi... Są też bezpańskie sfinksy o twarzach arystokratek, rozleniwione, zmęczone, od dwustu lat nie zmrużyły oka; czuwając w dzień i w nocy, nie mają siły zadawać zagadek, otaczają Belweder – ośmioboczną świątynię przemijania. I jeszcze dwa tysiące róż w ogrodzie Rodina; czy można sobie wyobrazić moment, gdy wszystkie zakwitną w jednej chwili? Jardin du Luxembourg, w którym pokutuje marmurowa twarz Marii Medycejskiej.

Jardin des Plantes, gdzie sto lat wcześniej leczył swój obłęd Strindberg.

Przemierzając aleje, trawniki, coraz bardziej biegła w gatunkach roślin, rozmawiając o sztuce i pięknie natury, uprawiając stonowany entuzjazm i eleganckie zachwyty, odniosłam wrażenie, że nic mierobienie to bardzo uciążliwe zajęcie.

### Bulwar Beaumarchais

Moja ulica? Zaczyna ją Geniusz Wolności na Placu Bastille i nie wiem, dokąd prowadzi. Na początku ulicy kawiarnia „Le Genie”, a za nią ciąg sklepów z harleyami i fortepianami...

*Ewa Sonnenberg*

## Leszek Szaruga

### Wodna pieczęć (6)

52.

Odczytujesz tytuł gazetowy, który, kolejny już raz w ciągu ostatnich lat zapowiada „odkrycie na miarę przewrotu kopernikańskiego”, po czym czytasz sam artykuł (w „Gazecie Wyborczej”) poświęcony czemuś, co autor określa mianem „ciemnej materii”: „Świejące gwiazdy, pył i obłoki międzygwiazdowego gazu to jednak dziesiąta część tego, co wypełnia kosmos. Reszty nie widać. Przekonano się o tym, analizując ruch gwiazd w galaktykach i galaktyk w gromadach. Gdyby nie było spoiwa z ciemnej materii, to galaktyki powinny się rozpaść. (...) Prawdziwą zagadką jest natura ciemnej materii. Wydaje się, że jest to nowy gatunek materii, której jeszcze nie znamy i nie spotkaliśmy do tej pory na Ziemi”. Obok czytasz wypowiedź Bohdana Paczyńskiego z Uniwersytetu Princeton: „O istnieniu ciemnej materii wiemy na podstawie jej grawitacji wpływającej na ruchy galaktyk oraz na bieg promieni światła”.

Dowiadujesz się też, że na czarną dziurę mogą się składać już wypalone lub słabo świejące gwiazdy (neutronowe, brązowe i czarne karły, czarne dziury) albo składają się na nią neutrina, wreszcie być może tworzą ją nieznanne dotąd cząstki elementarne, kilkadziesiąt razy cięższe od protonu. Czytając o tym wszystkim, zwracasz uwagę na niestosowność określenia „nowy gatunek materii”, gdyż, jeśli rzeczywiście ta ciemna materia istnieje, wówczas w żadnej mierze nie może być tak właśnie nazwana, z pewnością bowiem nie jest nowa, nowa bowiem musiałaby powstać dopiero teraz, a w każdym razie po tej materii, którą znamy. Myślisz więc, że jest to bardzo stara materia, dopiero teraz odkryta, nowo odkryta, lecz przecież dawna, istniejąca niemal od początku tego wszechświata, który zamieszkujesz, który jest twoim ciałem tak, jak twym ciałem jest niepochwytna, nie dająca się ogarnąć materia myśli, materia snu, materia podświadomości. O ich istnieniu także „wiesz”, odczuwasz ich „siły grawitacyjne”. Nie wiesz jednak, jak dalece te materie są „materialne”, na czym ich „materialność” polega, jak się ją mierzy i waży.

53.

I oto znów jesteś w Niemczech, w Lipsku, bierzesz udział w międzynarodowych targach książki, uczestniczysz w dyskusjach o literaturze i o świecie, w spotkaniach autorskich, w odczytach i prelekcjach. I znów spotykasz Różewicza, który znów odgrywa swój poetycki teatr, tym razem z Henrykiem Bereską, swym tłumaczem, tym razem w Instytucie Polskim pięknie usytuowanym przy Markt 10 i kierowanym przez Joannę Kiliszek oraz Łukasza Galeckiego, kierowanym przez nich znakomicie, profesjonalnie, ze smakiem. Tu na zapleczu rozmawiasz z Poetą,



ale wiesz, że ta rozmowa nie do tej bajki, że to inny świat, że do tego świata ma być teatr, występ, poezja. Wraz z tłumem siedzisz w niewielkiej niestety salce Instytutu napchanej po wręby, tak, że miejsc nie staje, a ci, którzy przyszli zbyt późno stają w przedpokoju. Obserwujesz jak na proscenium siada Poeta, jak siada Tłumacz Poety, jak siadają obaj i obaj, widocznie już wcześniej umówieni, ale, jak się okaże, nie domówieni, przygotowują Teksty Poety do czytania. Tłumacz Poety, co widzisz i słyszysz, chce coś o Poezji powiedzieć, zaczyna opowiadać o Drodze Poety, a tymczasem Poeta wyraźnie się niecierpliwi, macha karcąco ręką, powiada do Tłumacza Poety: „Dalej Heniu, dalej” – przy czym powiada to trochę po polsku, trochę po niemiecku, miesza języki, obserwujesz więc, jak na początku tego występu publiczność jest zmieszana, jakby zaskoczona, nawet zdumiona zachowaniem Poety. Słuchasz zatem, po niemiecku słuchasz, opowieści Tłumacza Poety o Drodze Poety, lecz opowieść ta przerywana jest, rwana jest protestami Poety, który nie chce po niemiecku słuchać opowieści o swojej Drodze, a pragnie jedynie od razu *in medias res*, do rzeczy przystąpić, gdy tymczasem Bereska jakby od rzeczy odstępkuje i opowiada opowieść, która wyraźnie nuży Poetę, denerwuje Poetę, wytrąca Poetę z równowagi. Uczestniczysz zatem w grze, jaką Poeta sam ze sobą za pośrednictwem Tłumacza Poety prowadzi, a wraz z tobą uczestniczy w tej grze publiczność, którą to bawi i jednocześnie zastanawia, gdyż Poeta pozostając Poetą jest jednocześnie aktorem odgrywającym rolę Poety. Oto bowiem, widzisz to dokładnie, gdyż siedzisz w pierwszym rzędzie, Poeta dostrzega w czytanim przez siebie tłumaczeniu wiersza jakiś błąd, milknie zatem, sięga do kieszeni, niespiesznie wylawia z niej długopis i coś w tekście poprawia a sala milknie, sala bierze udział w pracy Poety, Poeta zaś podejmuje czytanie, przerywa czytanie, rozgląda się, jakby niepewnie, jakby przepraszał, ale zaraz też czytanie podejmuje. Patrzący na grę Poety z Tłumaczem Poety, który znów pragnie dojść do głosu, chce coś opowiedzieć, coś zakomunikować i mówi, że przeczyta teraz wiersz całkiem świeży, nowy, z roku 2000, ale na to Poeta powiada, że nie nowy, co z kolei zmusza Tłumacza Poety do wyrażenia opinii, że owszem, nie nowy, nie z tego roku, ale z roku 1999, a zatem przecież jednak jakby nowy, choć nie najnowszy, lecz za to nieco inny od tych wierszy, które dotąd były czytane, bo taki, wiecie państwo, satyryczny, gdyż, dodaje Tłumacz Poety, Poeta od początku takie wiersze pisał i nadal je pisze i tu zaczyna czytać wiersz Poety o tym, jak głupia i nic o Poezji nie wiedząca dziennikarka wypytuje Poetę o Drogę Poety i w tym momencie Poeta zwraca uwagę Tłumaczowi Poety, że przekład, który Tłumacz Poety czyta, nie jest dobry, że „to nie tak, Heniu” i rzeczywiście nie tak, bo na pytanie dziennikarki o to, jak Poeta odwiedzał Starego Poetę w jego mieszkaniu na czwartym piętrze, Poeta z wiersza Poety odpowiada, że tak, że odwiedzał starego Poetę w jego mieszkaniu na czwartym piętrze dwupiętrowego budynku, podczas gdy Tłumacz Poety napisał w przekładzie wiersza Poety, że Poeta odwiedzał Starego Poetę w jego mieszkaniu na drugim piętrze czteropiętrowego budynku, co jest logiczne dość przyziemnie, zaś z konceptem Poety skonstruowanym przez Poetę w wierszu Poety niewielką ma wspólnego. Śmiejesz się z publicznością z tego *qui pro quo*, z tego kabaretu, jakim stał

się przekład satyrycznego wiersza, żal ci zatem nieco Tłumacza Poety, lecz jednocześnie bawi cię teatr, który czyni Poeta, lecz wtem Poeta zaczyna czytać po polsku, potem po niemiecku wiersz *poeta emeritus* dedykowany Czesławowi Miłoszowi: „siada na ławce /zdejmuje okulary/zamyka oczy//przeciera okulary/otwiera gazetę rozgląda się po świecie/sklada gazetę wstaje/traci równowagę/podpiera się laską/czyta napisy/na oparciu ławki/idzie mówi do siebie//rozmawia z umarłymi/poetami//podchodzą do niego/dwie kobiety/pytają czy czyta biblię/czy wierzy w piekło/koniec świata raj na ziemi//uśmiecha się kiwa głową/na stare lata woli/rozmawiać z ludźmi którzy milczą//odchodzi/siada na ławce//wtedy przylatuje kruk/przeciąga czarnym piórem/po jego ustach/zamyka je/i odlatuje”. Słyszysz milczenie publiczności, na sali cisza, a ty nagle myślisz, że może byś się ośmielił skreślić dwa ostatnie wersy i przeraża cię myśl o tym, że mógłbyś Poccie coś skreślić i ta myśl cię jednocześnie fascynuje, bo w końcu, myślisz, masz prawo myśleć, że możesz sobie coś Poccie skreślić, ale nie masz prawa niczego skreślać Poccie. I z tą myślą wychodzisz z wieczoru autorskiego, żegnasz się z Poetą, idziesz do hotelu, siadasz przy biurku, piszesz wiersz. Piszesz wiersz Czarnym Piórem.

## 54.

Z tygodnia na tydzień śledzisz z uwagą cykl Anny Bikont i Joanny Szczęsnej w „Gazecie Wyborczej” o „towarzyszach nieudanej podróży”, pisarzach, którzy zaangażowali się w socrealizm, potem z komunizmem się pożegnali, na koniec współtworzyli struktury demokratycznej opozycji, często zresztą nie wierząc w skuteczność swego działania, lecz za to wierząc, że „tak trzeba”. To, co w tym cyklu najbardziej cię interesuje, to przede wszystkim informacje o życiu literackim kraju tamtego czasu. Coraz więcej przemawia za tym, iż twoja teza nakazująca ostrożność w odczytywaniu literatury okresu PRL jest dowodliwa. Gdy mówisz, iż nie wiadomo czy literatura tego czasu jest oryginałem, wówczas bierzesz pod uwagę praktyki cenzorskie. Przypominasz sobie telefon kogoś, kto powiadomił cię o tym, że ma w ręku dowody na to, iż *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* Białośzewskiego został na różnych etapach cenzury okrojony o jedną trzecią i żalujesz, że te dowody jakoś do ciebie nie dotarły. Teraz jednak, dzięki publikacji w „Gazecie”, zdobywasz kolejne poszlaki. Oto autorki czytają partyjny dokument: „W wyniku dyskusji z udziałem działaczy partyjnych – czytamy z kolei w materiałach Wydziału Kultury KC z roku 1959 – Julian Strykowski dokonał istotnych poprawek w swojej powieści, co umożliwiło jej wydanie”. Wiesz, oczywiście, że nie był to wypadek odosobniony, że podobne praktyki, jakieś „dyskusje” z władzami partyjnymi, ale też nie uzgadniane z autorem ingerencje cenzury, należały do stałego repertuaru „polityki kulturalnej socjalistycznego państwa”. Pytanie, jak daleko owe ingerencje sięgały, jak dalece zniekształcały treść i formę wydawanych utworów, jest pytaniem, które zadajesz sobie już od lat, a zadajesz je sobie nie tyle dlatego, iż masz zamiar „demaskować” system, który wszak już dawno sam siebie zdemaskował, ile dlatego, że jest to dla ciebie pytanie dotyczące

materii, z którą jako historyk literatury masz do czynienia. Chciałbyś mianowicie zbadać, jak dalece jest to materia spreparowana, do jakiego stopnia teksty opublikowane w PRL są tekstami integralnymi, oryginalnymi, publikowanymi w tym kształcie, jaki nadał mu autor, a do jakiego stopnia są zniekształcone. Widzisz tu olbrzymie i interesujące pole badawcze, lecz obawiasz się, że do wielu materiałów mogących stanowić teksty „wyjściowe” dostęp będzie trudny, być może nie będzie możliwy. A wiesz o tym także z własnego doświadczenia. Przypominasz sobie bowiem pewne sytuacje z redakcji „Nowego Wyrazu”, miesięcznika swego czasu wydawanego w Warszawie i przeznaczonego dla „młodych pisarzy”. Wpadłeś do redakcji ot tak, po drodze, towarzysko. I ktoś nagle powiada: „Dobrze, że jesteś, zrobisz korektę swego tekstu.” Wziąłeś ten tekst do ręki i od razu zauważyłeś, że jest pokiereszowany przez cenzurę. To był, pamiętasz rzecz dobrze, poemat. Wścickłeś się i powiedziałeś, że z tymi cięciami – oczywiście, nie oznaczonymi, gdyż takiego obyczaju jeszcze wówczas nie było – nie zgadzasz się na publikację. Wybuchła awantura, lecz w końcu nie o to chodzi: gdybyś wówczas do redakcji nie zajrzał, poemat ujrzałby światło dzienne pokrojony – przypadek zatem sprawił, iż mogłeś go wycofać. Ile takich tekstów – pytasz dziś – ukazało się zniekształconych przez cenzurę bez wiedzy i zgody autora?

## 55.

Przepisujesz z „Gazety Wyborczej”: „Szkoła podstawowa w Dmosinie koło Główna wybrała na patrona Jana Brzechwę. Na pomysł wpadli nauczyciele i rodzice. Zgodził się samorząd uczniowski i rada rodziców. W lutym poparli ich dmosińscy radni. Przeciwko Brzechwie zaprotestowała część rodziców. Do szkoły zaczęły też przychodzić antysemickie listy: „Prawdą jest, że większość z nas zna z dzieciństwa wiersze, bajki i opowieści Brzechwy, lecz na tle wielu wybitnych Polaków jest to postać mało wyrazista i przejrzysta. Prawdziwe nazwisko Brzechwy brzmi: Lesman”. Z innego listu: „Dla Polaków we własnym kraju jest coraz mniej miejsca.” „Krytyczne stanowisko zajął proboszcz Tadeusz Piotrowski. – Z ambony powiedział, że patronem nie może być jakiś tam Jan z nazwiska Brzechwa, niewiadomego pochodzenia” – opowiada Jacek Niemiec z rady rodziców. Ks. Piotrowski nie chciał powiedzieć tych słów „Gazecie”. Powiedział jednak, że „patron powinien gwarantować wychowanie młodzieży w duchu wartości narodowych i patriotycznych, a w bajkach Brzechwy takich wartości nie znajduje.” „Los patronatu Brzechwy zdecyduje się w ciągu tygodnia.”

Trzeba, uważasz, dokonać teraz szybkiego przeglądu patronów polskich szkół. Nie jest wykluczone, że któraś nieopatrznie nosi imię brata Brzechwy – też Lesmana w końcu, lecz ukrywającego się pod pseudonimem „Leśmian”. Nie należy także wykluczyć, dodajesz czujnie, że któraś ze szkół – a może jest takich więcej? – nosi imię Juliana Tuwima, który również w końcu nie gwarantuje wychowania młodzieży w duchu wartości narodowych i patriotycznych. By uświadomić sobie i innym niebezpieczeństwo związane z Tuwimem, wypisujesz fragment artykułu Jana Olechowskiego z „Ruchu Młodych” z roku 1937: „Poczja

Tuwima nie jest i nie będzie nigdy klejnotem poezji polskiej. Może być tylko klejnotem poezji żydowskiej – nigdy polskiej, a to dlatego, że przynależność poezji to nie tylko talent, język, ale duch, sposób odczuwania wszelkich zjawisk, a w poezji Tuwima duch jest żydowski. Wiersze jego, podbijające talentem, budzą zawsze w Polaku wstręt psychiczny.”

W jednej z gazet czytasz o tym, że na ścianie domu, w którym mieszka Marek Edelman ktoś wypisał „Juden raus!”

Nie dziwi cię to aż tak, jak znajomych, którzy czują się wciąż jeszcze zaszkocowani podobnymi wystąpieniami. Wiesz doskonale, że to się będzie rozwijać, że będzie ogarniać coraz szersze kręgi, że będzie przenikać w przestrzeń społecznego życia kraju. Zastanawiasz się nad tym, jak dalece wszystko to się rozbucha po latach, gdy zniknie bariera, jaką dla otwartego antysemityzmu w Polsce stanowi postawa Jana Pawła II. Wypisujesz w związku z tym z „Falangi” z roku 1938: „Atakując polski obóz narodowy mówi się o nacjonalizmie tak, jak gdyby istniał jeden tylko nacjonalizm, hitlerowski, pogański, spreczny z religią. To typowe głupstwo grasuje we wszystkich organach żydokracji. (...) Zaciekli wrogowie Kościoła chcieliby wygrać (...) autorytet (...) zmarłego Papieża. Tak kombinują sobie żydki Słonimskie.” Wiesz doskonale, że po latach te słowa znów się pojawią w polskiej prasie prawicowej.

Znów sięgasz do „Gazety”, by ze sprawozdania Stowarzyszenia Patriotycznego „Wola-Bemowo” wypisać fragment wystąpienia: „Oni mają wszystko. Mają swoją prasę, telewizję, władzę z demokratycznego mandatu. Wcisnęli się nawet do Kościoła, który oparł się Hitlerowi i Stalinowi. Mamy dzisiaj Pieronka, arcybiskupów, kardynałów... Nie chcę mówić nazwisk, wszyscy je znamy... Z chwilą, w której Wielki Prymas zamknął oczy, rozpoczął się proces judeizacji Kościoła polskiego. To jest dramat wszystkich Polaków.”

Teraz, po sprawdzeniu pisowni tego fragmentu, zauważyłeś, że brak w słowniku twego komputerowego programu słów takich jak „żydki” i „judeizacja”. Podejrzane, myślisz: „oni” wcisnęli się nawet tutaj...

## 56.

Odczytujesz z uwagą zamieszczony w „Plusie-Minusie” artykuł Bohdana Cywińskiego o polskiej inteligencji, jej tożsamości, rodowodzie, szansach przetrwania w czasach, w których podobno już dla tej grupy w racjonalnie i po europejsku urządzonym społeczeństwie nie ma miejsca. Cywiński, zauważasz, nie jest tego do końca pewien. Więcej – on nawet jakby próbuje cię przekonać o tym, że wciąż jeszcze owa inteligencja o romantycznych korzeniach, odwołująca się do Żeromskiego i jego bohaterów, ma jakieś zadanie do spełnienia: „Wokół zbioru wartości aprobowanych skupiają się w pierwszym rzędzie ci, którzy gotowi są je w życiu realizować. Są to niewątpliwie nonkonformiści, zdolni zapłacić za swe przekonania trochę, sporo, a czasem bardzo wiele. Stanowią oni, oczywiście, znikomą mniejszość środowiska inteligenckiego. W szerszym, odsuniętym na zewnątrz, ale znacznie liczniejszym kręgu sytuują

się ci, którzy o nich wiedzą i postawy ich podziwiają, sami zaś skłonni są je naśladować tylko wtedy, gdy koszty takiego postępowania są żadne lub znikome. (...) Kolejny krąg stanowi ci, którzy do żadnych działań się nie wysuwają, ale wyrażając się o owych śmiałkach z uznaniem, współtworzą przyjazną, bronionym przez śmiałków wartościom opinię publiczną.”

Czytasz te słowa i zastanawiasz się nie nad tym, do której grupy należysz, lecz nad tym, czy tak do końca jesteś przekonany o trafności tej definicji, jaką proponuje Cywiński: że inteligenci to ci, którzy skupiają się wokół zbioru wartości aprobowanych. Bo, pytasz sam siebie, przez kogo ma być ten zbiór aprobowany, skoro konieczne jest działanie kręgu przekonującego opinię publiczną do owych wartości? Jeśli bowiem opinia publiczna do nich przekonana jeszcze nie jest, zastanawiasz się, to nie wiadomo w istocie nic o charakterze tego zbioru. Ale, dodajesz zaraz, to przecież zwykle przejęzyczenie, wszak wiesz doskonale o co Cywińskiemu chodzi i nie oszukuj, że szukasz u niego dziury w całym, gdyż w tym nie ma żadnej dziury, a ty sam stoisz po jego stronie. Lecz stoisz po jego stronie tylko do pewnego momentu, do tego mianowicie, w którym w swym polemicznym ferworze – wobec kogo, to osobna sprawa – pisze Cywiński z pogardą o klasie średniej: „Polska inteligencja, mierzona liczbą uniwersyteckich dyplomów, stała się grupą społeczną bardzo liczną. Biznes cwaniaków wśród niej zatrzęsienie. Oczywiście jest, że kiedy napomkniemy choć słowo o inteligenckiej tradycji służby, o inteligenckim etosie, całe to towarzystwo z miejsca ucieka głośno rozprawiając o europejskiej, bezstresowej wolności od przesądów i o urokach posiadania. Zwróć tu, Czytelniku, uwagę na charakterystyczną metamorfozę sposobu myślenia ulubionych bohaterów książek Joanny Chmielewskiej, które przed dwudziestu laty przeżywały najczulsze romanse ze szlachetnymi esbekami, a dziś, nieco się krygując, odsłaniają swe pochodzenie od nałożnic Napoleona – i ogłaszają swój triumf, wynikający z odnalezienia resztek uzyskanych w tym cesarskim łożu fortun. Otóż tacy ludzie z kręgów inteligenckich błyskawicznie odpłyną, niektórzy już to zdołali zrobić. Są klasą średnią. I niech sobie nią będą. Po polsku to się nazywało: d o r o b k i e w i c z e . Czasami nawet brzydziej.”

A fe, myślisz sobie, gdy zaczynasz sobie przedstawiać Bohdana Cywińskiego czytającego książki Joanny Chmielewskiej. Nie to, byś miał coś przeciwko tym książkom, które niegdyś, i owszem, nawet cię bawiły, ale to tylko, że masz coś przeciwko mieszanemu tych książek do dyskusji o inteligencji i jej zadaniach wobec kraju, społeczeństwa, narodowej kultury i samej siebie. Nie należy mieszać poziomów, podkreślasz wiedząc, że choć książki Chmielewskiej są inteligentnie (i z humorem, co rzadkie) napisane, to przecież nie stanowią one wkładu w dyskusję o stanie polskiego społeczeństwa, a nadają się jedynie na lekturę pociągową. I tylko na tej płaszczyźnie, podkreślasz to jeszcze mocniej, jest miejsce na ich interpretowanie.

Co zaś do owej klasy średniej, to sądzisz jednak, że należy się jej coś więcej niż tylko pogarda. Bo owszem, uważasz, że ważny ten Żeromski i jego inteligencki etos, ważny wszakże również wykreowany przez Prusa kupiec Wokulski, który jako żywo nie tylko o pomnożeniu majątku w swym życiu myślał, zaś pomnażał ów majątek nie tylko z myślą o korzyściach własnych. Nie tylko w końcu inteligencja

– tak ci się przynajmniej wydaje – ma swój etos i poczucie służby, inaczej jednak służy się państwu i społeczeństwu budując jego materialne fundamenty, inaczej zaś pracując w sferze duchowej – w obu wypadkach nie musi to być praca rozłączna, zaś sposób czy sposoby na odnalezienie wspólnoty łączącej obie te sfery zależą od obu stron. Boisz się więc owego pogardliwego, widocznego w artykule Cywińskiego stosunku do klasy średniej, boisz się wszelkich tego typu postaw, które mają zaświadczać wyższość jednej grupy społecznej wobec innych, a to dlatego, że takie wywyższanie jednych kosztem drugich pachnie jednocześnie tendencją do przyznawania tym wywyższonym jakichś szczególnych praw i przywilejów. Życie społeczne, myślisz, jest tak czy inaczej jakąś wspólnotą dążeń, jest całością, której dzielić nie warto, zaś w trakcie wyodrębniania się podobnych podziałów czasem i do tego dochodzi, że uznaje się jakąś grupę, jak to się dzieje choćby w *Państwie* Platona, za szczególnie predestynowaną do urządzania sposobu egzystencji pozostałym, a to już prosta droga do jakiejś nowej „inżynierii społecznej”.

## 57.

Wypisujesz z pism Żeromskiego: „Przeciętna, uczciwa masa inteligencji zawodowej bytowaniem swym przypomina los guwernentki w szlacheckim dworze. Należy niby to do «państwa», a sympatiami i miłością tradycyjną «siermięgi» związana jest wciąż jeszcze z «chatą». Dwakroć biedniejsza od każdej z pokojówek, nie chce się dać zepchnąć do poziomu służby, do kategorii zwykłego proletariatu, stawia się i pnie w górę, broni swych praw do zasiadania przy pańskim stole, pospołu z hrabią sąsiadem, i do jeżdżenia powozem w święto do kościoła. (...) Gdy stan włościański, gdy nawet parobcy na folwarkach wzięci zostali pod opiekę prawa wskutek zorganizowania się w stronnictwa, partie i wytworzenia ze siebie potęg społecznych, czyli funkcji życia zbiorowego, inteligencja, zepchnięta do roli proletariatu, mizernie wynagradzane w stosunku do drożyzny, poziomu potrzeb i normy życia, pozostała niezorganizowaną, rozbitą na grupki powciskaną w rozmaite stronnictwa, wysługująca się rozmaitym programom grup społecznych, tworząca te programy i, kiedy niekiedy, robiąca tu i ówdzie jednostkową karierę. Jako zbiorowość została sobą, ową guwernentką, osobą jedynie inteligentną, znającą się na logarytmach i poezji, a płaczącą się bezradnie między «dworem», «chatą» i «służbą». Cóż ma czynić ze sobą ta nieszczęsna guwernentka, ażeby w tych okrutnych czasach mieć się przede wszystkim w co odziać, co jeść i nie skapieć z nędzy, a przecież znaleźć i dla siebie miejsce pod słońcem? Prosta rada: porozumieć się ze wszystkimi innymi guwernentkami w kraju i wytworzyć jakiś zespół, który by o losie swoim, jako zbiorowego ciała, pod każdym względem pomyślał. Lecz czy to możliwe jest zrzeszenie się inteligencji? Jest to niewątpliwie sprawa trudna i natrafiająca na przeszkody przede wszystkim ze strony potężnych partii, które nie zechcą pozbyć się „swych” inteligentów, swych wołów robotniczych, wypracowujących im programy i umożliwiających wykonanie owych programów, a po wtóre – ze strony samychże inteligentów, powszczepianych dziś w najrozmaitsze zrzeszenia i mających tam już swe ideowe i materialne posady.”

Nie dodać, myślisz, i nie ująć: jakby te słowa dziś ktoś pisał, jakby to właśnie współczesną kondycję polskiego inteligenta opisywano w tych słowach sprzed niemal stulecia pochodzących, z czasów, gdy po wybiciu się Polski na niepodległość zepchnięto inteligencję do podległości bezwzględnej, żebraczej. Zdajesz sobie sprawę i z tego, że przecież trudno dziś do jednego zbioru, do wspólnoty interesów zawodowych skłonić zwolennika Unii Wolności, Akcji Społecznej Solidarność i postkomunistę, że trudno namówić do obrony wspólnych interesów dziennikarza „Gazety Wyborczej”, „Gazety Polskiej”, „Tygodnika Solidarność”, „Polityki” i „Trybuny”, o „Nie” nie wspominając podobnie jak trudno związać wspólnotą interesów członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Związku Literatów Polskich. Wiesz, że dzieli ich zarówno współczesność, jak niedawna jeszcze przeszłość – gorąca niekiedy, podnosząca emocje, uniemożliwiająca znalezienie wspólnego języka. Lecz jeśli, dodasz, niemożliwe jest to wśród dziennikarzy i literatów – z których jedni dawny reżim popierali, inni zaś aktywnie go zwalczali lub dziś o tym, że zwalczali, twierdzą z takim przekonaniem, iż sami niemal w to uwierzyli – to przecież są dziedziny, gdzie o spotkanie ludzi różnych opcji winno być łatwiej: w nauce, w szkole chociażby. Nie wiesz jednak, jak to uczynić, jak do tego doprowadzić, by ponad podziałami ideowymi, ponad niedawnymi i obecnymi sporami dojść do stanu, w którym inteligenci – mając na uwadze służbę państwu, którego racja zawsze ponad racjami partyjnymi stać powinna – wspólnie mogliby się o minimum dla siebie upomnieć od tych partyjnych wodzów stanowiących w parlamencie prawi, których projekty właśnie owi inteligenci dla nich przygotowują.

Znów więc sięgasz do słów marzyciela Żeromskiego: „Inteligencja, zorganizowana w związki zawodowe i spojona wspólnym urzędem delegatury związków, czyli syndykatów, w jedno sprawne ciało, będzie w stanie dbać nie tylko o wynagrodzenie każdego ze swych członków, ale i decydować o wysokości tego wynagrodzenia, żądać podwyższeń uprawnionych i uzasadnionych oraz bronić jednostkę od jakiegokolwiek krzywdy. Znając dokładnie i na wskroś wszystko, cokolwiek dzieje się w biurach, pracowniach, na katedrach, przy stolikach i za przepierzeniami istotnej pracy, inteligencja sparaliżuje absolutnie system protekcji nieuzasadnionej, nepotyzmu, wysforowania koczokodanów partyjnych na stanowiska kierownicze, uniemożliwi otwieranie kluczem partyjnym wysokich drzwi urzędu przez notorycznych mydlków i spryciarzy, przekupstwo dla otrzymania urzędów wyższych, karierowiczostwo, wszelakie nadużycie i niesprawiedliwość w awansie.”

Przepisujesz te słowa i myślisz jednocześnie, nauczony wszak przez realia życia, że pisał to jednak człowiek naiwny, marzyciel, niepoprawny fantasta. A jednak – dodasz – a jednak coś w tym jest, coś, co cię przekonuje, co sprawia, że jednak sięgasz po te teksty Żeromskiego z upodobaniem wynikającym nie tylko z przyjemności, jaką daje czytanie o „partyjnych koczokodanach”. Sięgasz po nie niemal jak po ostatnią deskę ratunku z myślą, że przecież, jeśli dziś takich już nie ma, to przecież istnieją autorytety przeszłości, które, być może, pomogą dziś przewyciężyć narosłe przez dziesięciolecia uprzedzenia i podziały przynajmniej w jednym: w tym mianowicie, by uświadomić wszystkim, że niezależnie od tego, skąd poszczególni przedstawiciele warstwy inteligenckiej dziś się wy-

wodzą, sama ta warstwa jest wszak dla społeczeństwa i kraju wartością nieprzeplaconą, nie dającą się zredukować i dlatego tylko godną jakiejś jeśli nie specjalnej, to minimalnej troski.

58.

Obserwujesz bieżące życie literackie wciąż poddawane próbom przeszłości, szczególnie weryfikacjom postaw pisarzy w okresie stalinowskim, a później także perelowskiego półtotalitaryzmu czy autorytaryzmu. Ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałeś więc szkic profesora Michała Głowińskiego o kanonach literackich, w którym ten wybitny uczony – daleki od ograniczeń zamkniętego w obszarze dyscypliny naukowca – wyodrębnia zjawisko nazwane przezeń „kanonem lustracyjnym” polegającym na wskazaniu, jak pisze, iż istnieje „jedyny sprawiedliwy, reszta zaś powinna podlegać surowej lustracji, bezwzględnej i niczego nie wybaczącej”. Tym jedynym sprawiedliwym, uczyniono Zbigniewa Herberta, który zresztą przed laty ogłosił na łamach „Gazety Wyborczej” – przypominasz to sobie znakomicie – list otwarty do Stanisława Barańczaka, w którym to liście wskazywał na nieprawości literatów będących niegdyś członkami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I pamiętasz swoje ówczesne zdziwienie tym, iż na adresata swego listu wybrał Herbert akurat tego przedstawiciela „pokolenia '68”, który do owej partii wszak należał (i który zresztą – co zdaje ci się rozsądne, na list ów nie dał żadnej odpowiedzi).

Czytasz u Głowińskiego: „Ów dziwaczny kanon, o którym chciałbym teraz powiedzieć słów kilka, tym się wyróżnia, że sprowadza się do negacji niemal wszystkiego, co złożyło się na literaturę polską ostatnich dziesięcioleci (także powstającą na emigracji). I tu trzeba od razu zauważyć, że do historii dawniejszej on się w ogóle nie odnosi, jego zwolennicy o nią nie zahaczają. Jest to kanon pod tym względem osobliwy i chyba niemal bez precedensu w historii literatury, że część negatywna góruje w nim nad pozytywną, służy on bowiem przede wszystkim odrzucaniu, nie zaś – konstruowaniu nowej rzeczywistości literackiej. Podstawowym kryterium obowiązującym w tym kanonie jest swoiście i w pełni ahistorycznie pojmowany stosunek do tego, co działo się w Polsce Ludowej. Nie chodzi tu jednak o wyodrębnienie pisarzy niezależnych, o ukazanie wartości ich dorobku; w istocie twórców i wyznawców tego kanonu oni w ogóle nie interesują. Jego niezwykłość polega na tym, że ma on jednego tylko bohatera, jeden tylko wzór – i przeciwstawia się go wszystkim innym: twórczość Zbigniewa Herberta.” Nie tylko zresztą twórczość, dorzucasz po chwili namysłu, ale także – a może nawet przede wszystkim – postawę tego Or-Ota naszych czasów.

I oto, tego samego dnia jeszcze, gdy sięgasz po „Gazetę Wyborczą”, odnajdujesz wywiad z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, zapalonym wielbicielem zarówno pisarstwa, jak politycznej postawy Zbigniewa Herberta. Ta rozmowa, myślisz, musiała być także i dla samego Herlinga wyjątkowo nieprzyjemna, szczególnie jej początek, w którym Anna Bikont i Joanna Szczęsna dociekliwie pytają: „Po marcu '68 pewien poeta krajowy pisał do poety na emigracji: «Nie spodziewałem się, że dosięgnie mnie ręka panów w czarnych garniturach. Zatelefonowali do mnie, potem były



rozmowy. Nie w urzędzie, broń Boże. Wypytywali także o Ciebie, czy byś nie wrócił». Z Pańskiej publicystyki można wnioskować, że pisarz, który spotyka się z ubekami, pozbyswa się prawa występowania w roli autorytetu moralnego. Czy tak? *Gustaw-Herling Grudziński: Muszą mi panie podać nazwisko. Zbigniew Herbert. Gustaw Herling-Grudziński: Nic o tym nie wiedziałem. Nim panie mi to powiedziały, Herbert przedstawiał się w moich oczach jako wzór człowieka, który nigdy się nie poddał.* Taki obraz Herberta dobrze służy czarno-białej wizji dziejów. *Gustaw Herling-Grudziński: Jeśli postąpiłbym tak jak Herbert, na pewno nie stawiałbym potem wysokich poprzeczek innym.»*

Ot, myślisz sobie, przykreść. I zastanawiasz się jak długo jeszcze będzie trwała ta groteskowa gra, w której wygranych i tak nie ma, gdyż w dziejach literatury wygrywają nie ludzie, tylko utwory, nie liczą się w niej postawy pisarzy, lecz dzieła, które ci pisarze po sobie pozostawili. Owszem, dodajesz, za pół wieku będą i tacy, których owe postawy pisarzy będą interesowały, ale wówczas kanon naszych czasów już się ucukruje, uleży, a owe postawy będą interesujące dla nich samych i nie będą kształtowały literaturoznawczych ocen.

Brzydzisz się tym wszystkim, gdyż wiesz doskonale i doskonale pamiętasz, że potrafiłono załamać najgodniejszych, zaś potrafili się oprzeć ci, po których nigdy byś się tego nie spodziewał. I w końcu, gdy się nad tym zastanawiasz, uświadamiasz sobie, że gdy chodzi o ocenę człowieka, który się załamał i zgodził wobec owej policji na mniejsze lub większe ustępstwa, kryterium ostatecznym winno być to czy godząc się na owe ustępstwa człowiek ten szkodził czy nie szkodził innym. To, iż szkodził sam sobie, uważasz za oczywiste. Nie jesteś natomiast już w stanie znosić głosów dzisiejszych sędziów i nagle nawróconych „strażników pieczęci”, którzy bądź z racji wieku czy łaski późnego urodzenia na grzechy i pokusy narażeni nie byli, bądź, co gorsza, sami grzeszyli w przeszłości, a teraz, oskarżając innych, chcą się owego grzechu zaprzeczyć lub go przesłonić maniakalną gorliwością prokuratorskich mów. Czytasz zresztą o nich w kolejnych szkicach Głowińskiego pomieszczonych w tomie *Dzień Ulissesa i inne szkice na tematy nieimitologiczne.*

Leszek Szaruga

## Zbigniew Żakiewicz

### Ujrzane, w czasie zatrzymane (7)

Z OKAZJI KTÓRYCHŚ URODZIN, OTRZYMAŁEM KSIĄŻKĘ wspomnień lagrowych wileńskiego artysty plastyka Adolfa Popławskiego: *12 lat katongi*. Po opuszczeniu katongi na Kolymie w 1956 roku (przedtem była mordercza Workuta, uralaska Czusowaja, nadbajkalski Tajszet) Popławski przyjechał na Wybrzeże. Uczyl w liceum plastycznym w Orłowie, po wypadkach marcowych w wieku 62 lat przeszedł na wymuszoną emeryturę. Zmarł w roku 1982, w wieku 75 lat. Do końca pozostał człowiekiem niezłomnych zasad, z tej starej rasy Kresowych Polaków, która dała nam Traugutta, Kalinowskiego, braci Piłsudskich. Właśnie w konspiracyjnej PPS ojciec Popławskiego Ignacy działał wraz z Piłsudskim. Później był dyrektorem wileńskiego gimnazjum im. Adama Czartoryskiego, gdzie uczył matematyki i fizyki. Karol O. Borchardt wspomina swego nauczyciela, jako – „profesora o patriarchalnym wyglądzie, wielkiego matematyka, a jeszcze większego człowieka o rzadko spotykanej dobroci.”

Nie o samych wstrząsających wspomnieniach Popławskiego chcę dziś pisać (pracował nad nimi Popławski pięć lat, długo po katordze, najpierw wyszły w drugim obiegu, w 1987 roku w Paryżu u Pallotynów, wreszcie w Gdańsku w 1992 roku w młodym wydawnictwie „Albatros”), choć ich dokumentalna lakoniczność, obiektywizm nie cofający się przed drastycznością relacji, stawiają je obok Solżenicyna, czy Czapskiego, ale – o sztafecie pokoleń. Tak bowiem odczytałem ten dokument spisany przez „Adolfa Ignatiewicza Popławskowo, kliczeczka «Łukaż»”, członka nielegalnej organizacji „Dielegatura Żondu”. W tym stylu brzmiała „Sprawka” wydana przez wileńskiego NKGB z dnia 13 lipca 1945 roku, gwarantująca mu wolność i bezpieczeństwo, gdyż dobrowolnie wyszedł „iz podpolja” (podziemia).

Oczywiście, ta „gwarancja” skończyła się skazaniem na piętnaście lat katongi, gdzie nie raz cudem uniknął on śmierci, przed zagłodzeniem ratując się swym talentem malarza i rysownika.

Adolf Popławski był już którymś z następnych pokoleń walczących o prawo bycia sobą. Tak wychował swych sześciu synów pan Ignacy. Przy życiu pozostało tylko dwóch, czterech zginęło (jeden śmiercią samobójczą). Dzięki wspomnieniom Adolfa, obejmującym lata 1945-1956 („granicę polską przejechałem 30 XI 1956 roku, dzień przed wyznaczonym mi terminem”) przyjrzałem się późniejszym losom, tych, którzy pozostali za przekłętą linią lorda Curzona. Gdy w lutym 1946 roku nasz transport opuszczał Smorgonie, jadąc na Zachód, a na granicznej stacji Wolkowysk wyluskiwano z naszych wagonów, kryjących się tam młodych akowców, Adolf Popławski w lutym tegoż 1946 roku, w takich samych wagonach, tyle, że zakratowanych, a było tam po 60. więźniów – jechał do strasznej Workuty położonej za Kręgiem Polarnym.

Czytając te wspomnienia nie mogłem powstrzymać się przed uczuciem bezsilnego gniewu i zarazem politowania nad naiwnością wileńskich akowców, którzy po rozwiązaniu AK przez rząd londyński, dobrowolnie się dekonspirowali za przyrzeczoną wolność. Mało tego, dowódca brygady AK „Irwid” zdekonspirował wszystkich swych podwładnych, dając NKGB nawet ich rysopis, dekonspirując wszystkie meliny, sprzęt i broń, oraz chłopów, którzy udzielali akowcom schronienia i pomocy. Popławski świadom grozy sytuacji, a będąc wówczas Delegatem Rządu, daremnie starał się ukryć. Jego łączniczki rzuciły go w objęcia Rosjan, sądząc, że to „dobrowolne” ujawnienie, otworzy mu drogę do Polski, która uszła za Niemen i Bug.

I to wszystko działo się w rok po akcji „Ostra Brama”, gdy generał Czernihowski podstępnie aresztował generała „Wilka” i jego akowców. Wcześniej sowiecka partyzantka, równie podstępnie, nad jeziorem Narocz rozstrzelała „Knicica” i jego oficerów. My, mieszkający w głębi Wileńszczyzny byliśmy aż za dobrze nauczeni sowieckich metod, starając się, jak pisał niegdyś Mickiewicz, „ludzić despotę”, sami pozbawieni wszelkich złudzeń.

Wszystkich nas w 1940 roku obdarzono łaską przymusowego obywatelstwa Związku Sowieckiego. I z paragrafu 58, „za zdradę ojczyzny”, sędzono też Popławskiego, gdy po „dobrowolnym” przyłączeniu się Litwy (w tym Wilna oddanego Litwinom) do ZSRR, również wilniacy stali się obywatelami Kraju Sowieców. Walcząc o Polskę z Niemcami, zdradzili oni ZSRR. Z tą perfidią walczył Popławski, przez co przedłużył swój katorżniczy pobyt o ponad rok.

Dzięki jego wspomnieniom, ujrzałem los naszych sąsiadów, szlachty zaściankowej z Wyżyny Oszmiańskiej, ich dalszą drogę przez mękę. Jednym w ramach tzw. gomulłowskiej repatriacji udało się w latach 1956-1957 przyjechać do Polski. Inni, jak tylekroć przywoływany mój kolega i rówieśnik, Michaś Oziewicz, walczyli dalej. Dopiero w latach 50-tych zastrzelono go w stodole. W odwecie jego rodzinny zaścianek został dosłownie zrównany z ziemią.

Do tej sztafety pokoleń, dołączył Bogdan Borusewicz, rodem z Wileńszczyzny, ale urodzony już w Olsztyńskim. Był on uczniem liceum plastycznego i duchowym wychowankiem właśnie Adolfa Popławskiego. Na skutek tego po Wypadkach Marcowych 1968 roku trafił do więzienia. Jak pamiętamy – jeden z najbardziej niezłomnych działaczy podziemnej „Solidarności”, przedtem KOR-u, tropiony jak jego ojcowie przez policję polityczną, tym razem była to UB.

*12 lat katorgi* otrzymałem od swego syna, historyka, niegdyś młodego działacza podziemnej „S”, pracującego w prasie i kolportażu. Obserwuję, nie bez ojcowskiej satysfakcji, jak chłopak z matki beskidzkiej góralki, ojca Kresowiaka, sercem i pisaniem jest związany z tamtą Krainą Wielkiego Pogranicza.

Ostatnio z Adamem Hlebowiczem, znanym już publicystą i autorem książek o Kościele na Wschodzie, swym młodszym kolegą, organizował wystawę poświęconą gehennie wywożonych do łagrów i na zsyłkę do Kazachstanu. Pomysłodawcą wystawy „Sybir – Pro Memento” urządzonej w stajniach sopockiego hipodromu (ustawiono tam zakratowany kołczastym drutem bydlęcy wagon, „wyszki” strażnicze, parkany łagrowe) był właśnie Adam Hlebowicz, również rodowodu

kresowego. Współtworzył i projektował wystawę inny Sybirak, już w drugim pokoleniu, Olgierd Sochacki. Plastycznej wizji udzieliła wilnianka Alina Afanasiew, z domu Ronczewska itd., itd...

Na wystawę podążają ludzie o losie Adolfa Popławskiego, ci, którzy ocalili, ich dzieci i wnuki. Idą, oglądają i płaczą. Sztafeta pamięci pokoleń trwa.

MAM PRZED SOBĄ ZDJĘCIE zgrabnego kościoła, w jasnych, kremowych barwach, z dwiema strzelistymi ażurowymi wieżami, bryłą nawiązującą do gotyckich świątyń. Jest to jednak współczesne, twórcze odczytanie gotyku. – Dzieło miejscowego architekta i zarazem inżyniera budowlanego Tadcusza Okuniewicza. Przed świątynią widzę odświętnie ubrany tłum wiernych. Na prawo od kościoła – popielaty dach domostwa. Wokół świątyni wysokie, strzeliste topole włoskie. Nad domem puszysty obłok starych, wiekowych lip biegnących szpalerem.

Tak wyglądał 17 maja 1997 roku, w dniu konsekracji dokonanej przez kardynała Świątkę, kościół pod wezwaniem św. Józefa w Mołodecznie. A jest to najbliższy dla czasów mego najwcześniejszego dzieciństwa zakątek, miejsce mityczne, które opuściłem dokładnie 29 czerwca 1944 roku, na Piotra i Pawła, po ciężkim nocnym bombardowaniu. Szliśmy z matką właśnie obok tych topoli, mijając powracających po rannej mszy świętej, nie wiedząc, że jest to ucieczka bezpowrotna... Powrót się odbył, ale w 1977-1980 roku, gdy w *Wilczych łąkach* powróciłem do Mołodeczna w duchu Mickiewiczowskiego wiersza: „Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał, te kraje rad bym myślami powitał, kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świetle biegł jak po łące...”

Wysokie topole za moich czasów były małymi drzewkami chronionymi wątlą obudową (mam je na zdjęciu). Kościół – drewniany; bezstyłowa budowla wzniesiona prowizorycznie na potężnych fundamentach przygotowanych pod budowę kościoła garnizonowego. W Helenowie, za rzeczką, wzniesiono koszary dla Mołodeczańskiego Pułku 19. Dywizji Piechoty, która we wrześniu wykrwawiła się pod Piotrkowem Trybunalskim. Odbył tam służbę wojskową podchorąży Stefan Kisielewski, co mi opowiadał nie bez zjadliwego humoru.

Ksiądz Zawadzki (Zawada z *Wilczych łąk*), który na skrzyżowaniu szosy biegnącej z Wilna do Mińska, wywalił potężny betonowy krzyż, i był sprawcą nocnego wysadzenia prawosławnej kapliczki, nie zdążył nawet wznieść murowanych ścian świątyni. Po wojnie piastował godność głównego kapelana LWP, gdyż, jak się okazało, był rodzonym bratem Aleksandra Zawadzkiego (przewodniczącego Rady Państwa). Drewnianą prowizorkę w ramach czynu komsomolskiego w nocy zebrałi młodzi aktywiści. Było to za czasów Chruszczowa. Gdy w 1976 roku przejazdem trafiłem do Mołodeczna, na fundamentach kościoła ujrzałem popijających siwuchę młodych, chyba już nie komsomolców.

Widziany na zdjęciu dach to dworek, który hrabina Tyszkiewiczowa wybudowała dla swojej bony. Często tam zachodziłem i tam pogryzł mnie wilczur, a w betonowej piwnicy, obok dworu, przeżyliśmy niejedno bombardowanie. I to ostatnie, gdy Rosjanie sypnęli na ogród bombami rozpryskowymi, a myśmy z matką leżeli obok piwnicy, gdyż moja rodzicielka bała się, że zostaniemy żyw-

cem zasypani w tych betonach. Projektowanych, zresztą przez mego ojca, przeczuwającego zbliżającą się następną wojnę. Dziś mieści się tu plebania. Korony lip, to właśnie jądro owej krainy, po której biegalem jak po łące...

Rzecz zadziwiająca, że w ciągu paru lat w białoruskim Mołodecznie mógł powstać taki kościół. Gdy oglądałem zdjęcie makiety świątyni, nie wierzyłem, że projekt zostanie zrealizowany. Pieniądze nadsyłano z całego świata, również z Gdańska. Również zastanawiającym jest dla mnie ten fakt, że kościół był i nadal jest pod wezwaniem św. Józefa. Dziś jeden z ufundowanych dzwonów zwie się św. Józef, drugi św. Kazimierz. Na św. Józefie odlane są słowa: „Fundatorom dzwonu, Rodzinom Mołodeczańskim, wołaj losu rozsianym po świecie, błogosławieństwo Boże”.

Z moim ojcem Józefem i matką, chodziliśmy do tego oddalonego o paręset metrów kościółka. Pamiętam, że gdy śpiewało się kolędę: „I Józef stary, i Józef stary Dzieciątko piastuje...”, byłem przekonany, ale też przyjemnie zadziwiony, że to się śpiewa o moim ojcu. Był on wszak starszy od matki o 37 lat. Ojciec zmarł na rozpado- wą gruźlicę, w skrajnie ciężkich warunkach w maju 1945 roku, miał dopiero 63 lata.

Później, w czasie sierociego dojrzewania, nie raz miałem takie przekonanie, że to właśnie ojciec Józef wstawia się za nami u tamtego Dzieciątka. A gdy nasza pierworo- dna, Zosia, urodziła się w urodziny dziadka Józefa, co lekarze uznali za cud, gdyż żona w czasie ciąży przeszła operację, sprawa stała się całkowicie jasna...

**NAZYWAŁEM GO W MYŚLACH SZARYM SKOWRONKIEM**, szybującym wysoko pod niebem. Był wewnątrznie rozjaśniony, harmonijny i skromny. O, wła- śnie, skromny! – Poznałem Zbigniewa Bieńkowskiego trzydzieści lat temu, jeszcze mieszkając na Śląsku, dokąd przyjeżdżał w charakterze jurora. Później zapraszaliśmy go na spotkania autorskie. Jedno rozbił Rafał Wojaczek, akurat będąc w drodze z Wrocławia. Wchodził przez drzwi, otwierał okno, aby się przez nie wygramolić. Tak parę razy: niedźwiedziowaty, pozornie dobrotliwy, mając widać za nie starego poetę. Początkowo było to poznanie interesowne, snobistyczne – przybysz ze stoli- cy i do tego redaktor „Twórczości”. Później, drukowałem szkice o literaturze rosyj- skiej, w tym o Solżenicynie, w tejże „Twórczości”.

Z czasem ujęła mnie jego bezinteresowność, jakaś szlachetna prostota. A rów- nocześnie czuło się, że tego niepozornego pana w średnim wieku, bardzo war- szawskiego, w czymś przypominającego mi aktora równie lubianego, Wiesława Michnikowskiego, stać właśnie na wysokie, skowrończe loty. I ta niby niepozorna szarość, ta grudka ziemi przepojona Duchem. Przedtem poznałem w tłumaczeniu Bieńkowskiego poezję francuską i na pewien czas zauroczył mnie Jules Supervielle: mistyk ciała, o krystalicznie czystej poetyce. Poezji samego Bieńkowskiego przez długie lata nie znałem, tylko jego głośne eseje o literaturze europejskiej. Te- raz wiem, że z wielką szkodą dla siebie.

Z drugiej zaś strony, miałem okazję przebywać z kimś, kogo ceni się nie za jego dzieło, a za to, że jest sobą: w tym duchowym uciszeniu, w tej jasności wewnętrz- nej i kulturze, która najlepiej świadczyła o wysokich lotach jego sztuki. Naprawdę metafizycznej, zafascynowanej boskością i tajemnicą świata. Bieńkowski nie ulegał też żadnym modom, nie należał do żadnej partii, kategorii literackiej, czy salonów,

tych z „Czytelnika”, PIW-u, czy kawiarni u literatów. Może programowo, a może tak miało się dziać w Warszawie z człowiekiem tak dalece oryginalnym i niezależnym? Siebie samego jakby usuwał na drugi plan. A przecież musiał znać swoją wartość, skoro do końca życia tworzył.

Gdy poeta obchodził swe osiemdziesięciolecie, postawiono go w czołówce poetów polskich. Ujrzałem też, że twórcy średniego i młodszego pokolenia przyznają się, że poezja Bieńkowskiego była czymś bardzo ważnym i istotnym w ich życiu. Poeta dla poetów?

W roku bodajże 1993, otrzymałem od Zbigniewa Bieńkowskiego tom *Poezji zebranych* ze wzruszającą dedykacją: „Mojemu Pisarzowi, myślą i sercem”. Dedykacja ta zaskoczyła mnie, ale też podtrzymała na duchu. I oto swój ostatni napisany za życia felieton dla „Nowych Książek”, z cyklu *Dygresje*, wydrukowany już po śmierci Zbyszka w marcowym numerze za 1994 rok, Bieńkowski poświęcił mojemu kresowemu pisaniu: *Sadze wileńskiej i Wilii, w głębokościach morza*. I jest to jakby testament dla mnie, wciąż borykającego się z tą kresową „chandą tatarską”, z tym poczuciem niedowartościowania i zarazem z tym zaściankowym poczuciem honoru. Skoro, on mnie, czyli to, co pisałem, potrafił tak „uwznioślić”, dojrzyć to, co ja w chwilach tzw. natchnienia widziałem?... – Był dobry, aż za dobry dla innych, których uznał. Nie zapomnę jego wręcz synowskiej miłości, którą darzył Juliana Przybosia. Chociaż Przyboś pod koniec życia, a jakby zmiękł i wyszlachetniał (ale też i zmarmurowiał), niemniej jednak, hołdy Bieńkowskiego przyjmował jako dar sobie należny. Na szczęście, nie byłem Przybosiem.

Zbigniew Bieńkowski, jak mało kto, potrafił wielbić kobiecość. Tylko on mógł dostrzec i napisać te słowa o *Rodzie Abaczów* i *Dolinie Hortensji*: „Kobiecość, a więc miłość – uczucie łączące grzeszniejszy zachwyty ciała, ekstazy uniesienie ducha i odpowiedzialność za istnienie...”, „Zachwyty ciała i uniesienie ducha...”.

Poznałem go, gdy jeszcze był mężem Wiery Bieńkowskiej, później była niedobra miłość i małżeństwo z Małgorzatą Hillar. Gdy, dosłownie uciekł od niej, odnalazł ostatnią miłość swego życia: była nią wówczas bydgoska poetka Adriana Szymańska, kobieta o wiele młodsza od Zbigniewa. – Ona sama i jej poezja była dla niego esencją kobiecości i właśnie tym „zachwytem ciała i uniesieniem ducha.” A gdy urodziła im się córka, Bieńkowski stał się najlepszą nianią i gospodynią domową. Spotkałem go, gdy szedł z torbą na zakupy, chwając sobie te obowiązki domowe.

Ostatnie małżeństwo stało się na pewien czas przyczyną niezbyt mądrego nieporozumienia, które zaistniało między nami. Spotkaliśmy się w Warszawie, chyba w redakcji „Twórczości”, gdy otrzymałem właśnie nagrodę Fundacji Kościelskich. Na tę wieść Bieńkowski spontanicznie zaprosił mnie do siebie, do nowego już mieszkania i do nowej żony. W kuchni pod stołem stała duża butla nalewki śliw na spirytusie. „Jak przed wojną, w domu” – nie bez dumy rzekł Zbigniew. Urażyliśmy się tą nalewką, gdy tymczasem Adriana wyszła na lekcje, bodajże francuskiego. Gdy wróciła, Bieńkowski już zalegał na kanapie. Sądząc, że śpi zacząłem w swej naiwności, wówczas czterdziestoletniego człowieka, klarować Adrianie, jak bardzo potrzebuje serca i opieki ten piękny, ale już sześćdziesięcioletni mężczyzna. Zbigniew się obudził, pożegnaliśmy się niby normalnie, aż tu nagle wszelka

korrespondencja się urwała. Spotkania były dziwnie chłodne, jeśli nie oficjalne.. I dopiero, gdy sam przekroczyłem pięćdziesiątkę, aby zbliżyć się do lat ostatniego ożenku Bieńkowskiego, zrozumiałem jak bardzo uraziłem tego wrażliwego piewę kobiecości, mężczyznę, który właśnie został ojcem ukochanej córeczki.

Napisałem mu o tym, chyba wysyłając *Wilię, w głębokościach morza*. I Zbigniew mi odpuścił, i to odpuścił całkowicie. A przecież wtedy był niewybaczalnie młody, duchem będący „w ekstatycznym uniesieniu” i w tym „grzesznym zachwycie ciała”.

Wszystkich przyjaciół zaskoczyła ostatnia wola zmarłego, który kazał się spopielić. Wieziono więc jego ciało, aż do Poznania, gdzie wówczas było krematorium. Pamiętam tę kartkę do Mariana Pilota: „Wracam z pogrzebu. Zbigniew Bieńkowski kazał się spalić. I córka niosła z kościoła na cmentarz. Co o tym myślisz?”

Doprawdy nie wiem... Może kochając życie i kobiece piękno, żywioły, które opiewał w swej poezji, chciał zaoszczędzić swej cielesności pohańbienia rozkładu? Aby przez oczyszczający ogień powrócić do Ziemi, do tego wiecznego cyklu powstawania i upadania. I nie wiem, gdzie teraz jest urna z tą garstką popiołu, z tymi pierwiastkami, które w cyklu przemiany materii akurat wówczas stanowiły o jego cielesności?

UCZUCIE WIELKIEGO ZDZIWIENIA NAD NATURĄ otaczającego nas widzialnego świata wywołuje wdzięczność za to, że dane jest nam żyć w tej oszałamiającej Rzeczywistości.

Nie każdemu jest dany ten dar zadziwienia i kontemplacji. Należy więc współczuć ludziom, którzy nie są w stanie zadziwić się i afirmować życie. W ich rozrachunku będzie zawsze wielki debet, przegrana: na swej szali mają tylko jeden ciężar – doraźną, ślepą terażniejszość. Widzą chaotyczne, zmacone oblicze tego świata i są przekonani, że zło zwycięża. Wielka Tajemnica, którą jest Bóg dostrzegalny w Stworzonym i nas otaczającym – jest w tym chaosie niezauważalna.

Piękno stworzonego szczególnie dotkliwie obejmuje nas wiosną. Otwieram okno i od paru dni słyszę ostre poświsty, to po raz pierwszy od lat w naszym wielkomijskim ogródku uwiła gniazdo sikorka-bogatka. Te nawoływania, to głos samczyka ogłaszającego, że to jest jego rewir. Obok naszych brzydkich czerwonych domów, chociaż zbudowanych ze zdrowej malborskiej cegły od ponad dziesięciu lat zadomowiły się kawki. Po wojnie na Wybrzeże z południa dofrunęły synogarlice. Nieraz uprzykrzają one nam życie, szczególnie, gdy założą gniazdo blisko okna. Nad ogrodem przelatują zwiewne jak chińskie wachlarze, skrzekliwe sroki: Gruchają wszechobecne, metalicznie mieniące się na podgardlu gołębie. Rychło przylecą ostroskrzydłe, szybkie języki... I dopiero co pod moim oknem, jak co roku, swoją białą ślubną suknię rozłożyła stara zdziczała śliwa. Wiosna jest wczesna i gorąca więc równocześnie kwitną wiśnie, jabłonie, grusze...

Że ten świat był stwarzany powoli, jakby z namysłem, abyśmy się w nim czuli jak u siebie w domu, abyśmy mieli czym napelnić naszą tęskniącą do Pełni duszę pojmujemy naocznie, oglądając angielski serial poświęcony dinozaurom i innym gadom. Bagatela, świat ten trwał ponad sto pięćdziesiąt milionów lat. Moje wnuki, z niebywałą fascynacją oglądają na wideo ten świat ogromnych, ciężkich, brzydkich i okrutnych potworów. „Stworzyła je iście piekielna wyobraźnia i może takie obli-

cze mają te upadłe anioły na czele ze swym aniołem upadającego światła – Lucyferusem?” – rzekł mój przyjaciel obdarzony wyobraźnią metafizyczną. – Bo po co to wszystko było? Chyba po to, abyśmy dziś, dzięki naszemu ludzkiemu geniuszowi, mogli odtworzyć i ujrzeć świat nieludzki i nie dla człowieka.

Wyobraźmy sobie naszą Ziemię, na której nie było jeszcze traw, kwiatów, drzew liściastych. Lasy – tylko iglaste, do nich należy nasza pocziwa araukaria rosnąca w doniczce. Poszycie lasów składało się z paproci i potężnych skrzypów. Niebo bez ptaków, jedynie jakieś błoniaste potwory podobne do gigantycznych nietoperzy. Gdybyśmy się tam znaleźli, nasze życie byłoby krótkie, wręcz niemożliwe i skończyłoby się tragicznie.

Jak twierdzą genetycy, myśląca ludzkość liczy sobie zaledwie dwieście tysięcy lat. Wówczas to w glinę praczłowiacka tchnął Bóg iskrę nieśmiertelności, abyśmy, wyszedłszy z nicości zakosztowali smak wieczności. Dla genetyków ten próg jest po prostu pewnym błędem genetycznym, tylko on odróżnia nas od małpoludów. Dziś jest prawie pewne, że naszą pramatką była czarna kobieta. – I to właśnie z tej krainy bogactwa zwierząt i niebywałego bogactwa flory, z Afryki. Stamtąd wyruszyli ludzie na podbój kontynentów. Tworząc z czasem tyle ras i ludów.

Najgłębiej ten stosunek zadziwienia, wdzięczności i zachwyty wobec Tego, który wyłonił Wszechświat i nasz świat „z wnętrzości Miłosierdzia Swego”, bez ustanku wyrażała nasza, dziś już święta, siostra Faustyna. Chociażby po kwietniowej Rezurekcji 1936 roku: „O Boże niepojęty. Jak wielkie jest miłosierdzie Twoje, przechodzi wszelkie pojęcie ludzkie i anielskie zarazem: wszyscy Aniołowie i ludzie wyszli z wnętrzości Twego Miłosierdzia. Ono jest kwiatem miłości, Bóg jest miłością, a miłosierdzie jest jego czynem: w miłości się poczyina, w miłosierdziu się przejawia. Na co spojrzę, wszystko mi mówi o Jego miłosierdziu, nawet sama sprawiedliwość Boża mówi mi o Jego niezglębionym miłosierdziu, bo sprawiedliwość wypływa z miłości”. (D. 651)

*Zbigniew Żakiewicz*



# RECENZJE

Krzysztof Myszkowski

## Księga ośnień

„Na czymże, bracia, chwala nasza, jeśli nie na tym, iż mimo przeszkód rzeczy użytecznych dokonamy?”, napisał Mickiewicz w *Pismach Filomatycznych*. *Wypisy z ksiąg użytecznych* to autorska antologia wierszy ważnych dla duchowości współczesnego człowieka, cenny zbiór przeciw nicości i przeciw p o z b a w i e n i u, jakim zostaliśmy dotknięci (i napiętnowani). Co to znaczy: użyteczny? Przynoszący pożytek, potrzebny w życiu. Tytuł wydania w języku angielskim brzmi: *A Book of Luminous Things*, czyli *Księga rzeczy świetlistych*. Światło, świetlistość są atrybutami Boga. W rozmowie tuż po wydaniu tej książki („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/1994) Miłosz powiedział: „Całość ma pewne założenie, powiedziałbym religijne, ale nie przez mówienie na tematy religijne. Moim zdaniem, jeżeli ktoś ma stosunek pobożny do rzeczywistości, powiedzmy tak jak Holendrzy mieli malując martwe natury, to przez to afirmuje świat, i afirmuje rzeczywistość, i afirmuje dzieła Pana Boga. I to jest w ogóle mój cel.”

Ten świetlisty zbiór obejmuje wiersze ponad stu poetów z różnych krajów i kontynentów oraz epok oddalonych od siebie o setki i tysiące lat. Rozwijają się i trwają w przestrzeni i w czasie. Mimo wielkiej różnorodności jest to zbiór spójny, składający się w większości z wierszy krótkich, jasnych, czytelnych i realistycznych. Ich tematami są: przyroda, miejsca, rzeczy, historia, podróże, miłość, przemijanie, śmierć, czas. Miłosza bardzo interesuje opis rzeczywistości widzialnej i dotykanej, doświadczanej za pomocą zmysłów. Jego uwaga skierowana jest na szczegóły, kolory, światła, przenikania. Chce poznawać i sławić stworzenie. Mówi, że poeta powinien być „nadczył kłiszą”. Ale poezja to „dziedzina mglista”. Dlatego Miłosza tak bardzo zajmują jej rygory: forma, rytm, kompozycja, gdyż one dają jasność, przejrzystość, czystość i energię. Poezja bez rygorów to nie jest poezja: A po co trudzić się na przepadle? Poeta szuka sensu, a gdy go znajduje, utwierdza się w nim. Jak żyć bez sensu w cudownym i okrutnym świecie, w którym istnieją: dobro i zło, łaska i grzech, coś i nic, wiara, nadzieja i słowo, zbawienie i zatracenie?

Miłosz szuka w wierszach objawienia się rzeczywistości, momentu oświecenia (a moment of enlightenment), w którym dostępne jest rozumienie. Chce za pomocą zmysłów i słów doświadczać dreszczy rozpoznania. Ta *Księga ośnień* zaczyna się od rozdziału pt. „Epifania”. Greckie słowo *epiphaneia* oznacza zjawienie się, przybycie Bóstwa pomiędzy śmiertelnymi, czy też jego rozpoznanie w powszednim, znajomym nam kształcie np. pod postacią człowieka. A więc epifania

jest to chwila wyjątkowa i uprzywilejowana, która nie tyle podważa widzialną rzeczywistość, co wskazuje na jej głębię i pokazuje życie, które w niej jest.

W tej antologii jest bardzo wiele wierszy wschodnich: starochińskich i japońskich, jest więc ta książka jakby dalszym ciągiem „Haiku”, dalszym ciągiem fascynacji Miłosza tą malarską, kaligraficzną poezją, którą zachwycił się Staff. Jest to poezja lapidarna, zaprawiona w milczeniu, wyćwiczona w ciszy, w której słowa użyte są jako niedoskonały zapis medytacji bezsłownej o życiu i o świetle. Mistrzowie haiku za pomocą niewielu słów wiją gniazda w czasie, istniejąc w chwili, którą można by określić mianem epifanii. Miłosza fascynuje u poetów Dalekiego Wschodu inny niż w naszej tradycji stosunek podmiotu do przedmiotu: ten od wielu stuleci główny problem filozofii europejskiej zyskuje nowy wymiar w konfrontacji z taoizmem i buddyzmem. Kontemplacja i oczyszczenie sprawiają, że patrząc znaczą utożsamiać się z rzeczą, wzmacniając w ten sposób jej bycie. Przykładem są mistrzowie holenderscy i ich martwe natury.

Miłosz w *Wypisach z ksiąg użytecznych* umacnia ważny rodzaj języka polskiego. Nurt epifaniczny, także nurt religijny nie są już od wielu lat w polszczyźnie głównymi nurtami. Według Miłosza przekłady powinny dobrze trzymać się w języku – to jest ich zadanie najważniejsze, dosłowność nie jest konieczna. Pamiętamy, co mówił Miłosz o swoich przekładach biblijnych. Tak też jest z przekładami poetów starochińskich i japońskich, które nie tłumaczone z oryginałów, są jedynie surowcem przepuszczonym przez wyobraźnię Miłosza. Ciekawe są porównania z *Fletnią chińską*, albo zestawienia wierszy np. mistrza Wang Wei z Białoszewskim, czy Chu Shu Chen ze Świrszczyńską. „Najważniejsza jest władza nad rodzinnym językiem”, mówi Miłosz, dla którego panowanie w polszczyźnie jest wierną, pełną miłości służbą. Z takich nastawień wynikają rzeczy użyteczne i olśnienia.

Krzysztof Myszkowski

---

Czesław Miłosz, *Wypisy z ksiąg użytecznych*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

## Wiestawa Wantuch Mistyka i optyka

Nieczęsto zdarza się harmonijne współbrzmienie dwóch, zdawać by się mogło, różnych książek. Łączy je osoba autorki – Joanny Pollakówny. Nadając im korespondujące ze sobą tytuły nie ukrywa ona swoich pasji, z których wywodzą się zarówno wiersze, jak i eseje – poezji i malarstwa. *Glina i światło* niejednokrotnie potwierdza wrażenia, jakie kielkują w czytelniku *Skąpej jasności*.

Przy lekturze wierszy uderza niezwykle skupienie wizji i oszczędność emocji. Te pozorne sprzeczności kształtują elegancką formę skłaniającą się ku sztukow-

nej miniaturze, a zarazem pulsują w niej silnym napięciem. Miniaturowość nie polega tutaj na ograniczeniu do niewielkiej ilości wersów, ale raczej konstryuuje ją rodzaj wrażliwości i przenośni wyprowadzanych z opisu. Owe „skry słońca, drzazgi objawienia, cząstki wszechświata, mgnienia, chwile, odpryski, okruchy, szczątki, opilki” są widzialnym znakiem, odczuwanej czy zaledwie przeczuwanej całości, którą równie trudno dostrzec, jak w nią uwierzyć. Wewnętrzne zmagania o doznanie harmonii, pełni poprzez zachłanne doświadczenia ułomności i ułomkowości przyczyniają się do tego, że w poezji Joanny Pollakówny słyszymy echo stylizacji na Sępa-Szarzyńskiego i barokowych antynomii. Jakby język dawnych mistrzów słowa był bardziej nośny niż współczesna polszczyzna, gdy przychodzi jej pasować się z odwiecznymi pytaniami egzystencjalnymi. Choć nie ma w tych wierszach niedzisiejszej lekkości, to dykcję zapisano w nich w innych niż współczesne rejestrach. Poetka odwołuje się do tradycji, która pozwala jej zachować dystans, nie obniżając wagi uczuć tym bardziej własnych, im bardziej dzielonych z innymi. Nawiązania do Biblii (*Hiob, Po części*) do horacjańskiego *Carpe diem* (*Bądź w chwili*), do symboliki heraklitejskiej rzeki (*Rzeka*), do motywu rozmowy duszy z ciałem (*Rozmowa z ciałem*) tworzą ramy dla wyrażenia zachwyty pomieszanego z lękiem. Bo taka właśnie płatanina emocji znajduje tu ujście. Zachwyty dla materii, z której tyle można wydobyć – „breję gliny/zmusić, by wytrącała złoty osad”, która jest w swej przemienności wręcz niematerialna (*Moja ziemia*) wznieca podziw i czułość dla wszystkich przejawów życia (\*\*\* *Skąd ta czułość dla wróbla*). Ta z kolei wypromieniowuje miłość do drugiego człowieka (*Rozstanie*), trudną wiarę w miłość Boga (*Ciemność, \*\*\* Tyleś zamknął...*) i kto wie, czy nie najbardziej bezwarunkowe rozmiłowanie w obrazach. W sztuce bowiem dokonuje się owa przemiana, która ocala i której istotę pragnie w swej poezji także uchwycić autorka *Gliny i światła*:

Ta miłość, co dachem jest moim i ziemią  
ta miłość osypie się piachem i ziemią.

\*\*\* (*Ta miłość...*)

A przecież w plamach farby na zwilżonym tynku  
w świetle dobytym z gliny i w krzywiźnie linii  
w wyobraźni, co swe światy wznosi bez spoczynku  
przebywa nieuchwytna, niepojęta wieczność.

*Wieczność*

W pierwszym wersie słowa „dach” i „ziemia” użyto w znaczeniu przenośnym. Mogą symbolizować „dach” – schronienie, bezpieczeństwo, a „ziemia” – witalność, ale już w drugim wersie to samo słowo „ziemia” ma raczej odniesienia konkretne, materialne. Zwłaszcza w bezpośrednim sąsiedztwie piachu znaczy fizyczną śmierć, lecz nie unicestwienie. W życiu zmaterializowanie tego, co duchowe: pamięci, wiedzy, uczuć (*Proch, Pamięć*) staje się, być może, inną formą przetrwania. W sztuce zaś materia przez swe właściwości pozwala pochwycić wieczność, zostaje przez artystę zmuszona do ujawnienia innej natury rzeczy, „podszewki cienia”, wyraża „urzeczzenie”.

Zachwytowi nad kunsztownym splotem materii, życia, miłości i sztuki nieodmiennie towarzyszy lęk przed bólem, rozstaniem – przemijaniem i śmiercią. Wiersze ze *Skąpej jasności* wyrażają heroizm godzenia się z bólem istnienia i z cierpieniem fizycznym jako niezbywalnymi komponentami ludzkiego życia. Jeden z najbardziej przejmujących utworów, którego tytuł posłużył dla nazwania całego tomu, opisuje opór, jaki choremu stawia jego niesprawne ciało spiskujące z otaczającymi przedmiotami: „piórem, łyżką, kluczem”. Dopiero ból uwalnia „napiętnowanego” od tortur, zadawanych przez fizyczność rzeczy i otwiera go na „bladą poświatę z niewiadomej strony”.

Dychotomiczność egzystencji, trud dociekania całości i harmonii, nadzieja mimo pokusy rozpaczy urzeka w dziełach dawnej sztuki. Są one również najbardziej przekonującym dowodem na istnienie Boga. Ciągłe niedocieczona prawda pojawia się dwojako: w ludzkim losie i w twórczym wysiłku sprostania i sprzeniewierzenia się mu:

Coś mi mówi o Tobie losu zawikłanie,  
coś mówi ludzka miłość, ludzki odruch wrogi,  
żywiły rozkielznane – powodzie, pożogi  
zachwyconych ptaków śpiewne bytowanie.

Bo cała ta niezborność – w wymowie, w sposobie  
sama w sobie jest prawdą najgłębszą o Tobie.

*Prawda*

W *Deus absconditus* mówi się o tym wprost, w innych utworach poszukuje się Boga żmudnie, tropiąc jego znaki w geście wyciągniętej ręki i w każdej smudze światła.

Motyw ręki rodem z malarskich przedstawień pojawia się w tej poezji często. Od muśnięcia dłoni Adama i Boga w dziele Michała Anioła bierze się tęsknota za czułą Ręką, która wspiera człowieka w momencie odejścia (*Odejście*), darzy choćby okruciami świata (*Wpatwienie*), w końcu uwalnia od bólu i godzi sprzeczności (*Uspokojenie*). Ręka Świętego Rysownika, zamyka horyzont życia (*Rysunek*) bywa także prefiguracją marzącego i władczego gestu artysty, wykreślającego kontury i wypełniającego barwne kształty. W wierszu *Odejście* „Ręka i znak świetlany” są przez umierającego równie upragnione.

Czy jest to, bowiem, światło naturalne: słońca, gwiazd, poranka, czy promieniujące „z farby oleistej/kładzionej z uniesieniem ręką umiejtną”, czy światło mistyczne – wątyły ślad Boga, zawsze wymaga skupienia uwagi, by nie wtrącić go w „bezdomną/wieczność przeoczenia”. Wyteżone aż do bólu patrzeć jest tu równoznaczne z biblijnym wezwaniem do czuwania. Światło, cierpienie i zachwyt zbliżają niebo i ziemię:

Cóż jest mniej materialne niż światło? Nieuchwytnie dla żadnego ze zmysłów  
poza wzrokiem. Dla swojej, w oczywisty sposób duchowej natury, od zawsze  
utożsamiane bywało z boskością albo emanacją boskości.

– pisze autorka w eseju o malarstwie Tycjana, Tintoretta i Bassano, odwołując się do średniowiecznych teologów, którzy w świetle właśnie dopatrywali się energii

poruszającej materię, ustanawiającej byt cielesny. *Alchemia światła* to równie dobry tytuł dla wiersza, który mógłby znaleźć się w *Skąpej jasności*, jak dla szkicu o „transmutacji (...) ciężkich glin, ziemnych pigmentów używanych do produkcji farb olejnych, w świetlisty kolor, w złoto światła” z książki *Glina i światło*.

W tym samym czasie, co wspomniani przez Joannę Pollakównę filozofowie, działał – częściowo w Polsce, częściowo we Włoszech – Witelo Ślżak, wyznający podobne poglądy na naturę światła. Neoplatońskie rozważania pobudziły go do empirycznych badań, w wyniku których powstał traktat optyczny zatytułowany *Perspectiva*. To unikalne dzieło o budowie oka, geometrycznych podstawach optyki dotyczyło także psychologii postrzegania. Autor twierdził, że wzrokiem ujmujemy światło i barwy, zaś odległość i wielkość określamy przy pomocy kojarzenia i podświadomego wyciągania wniosków.

W *Skąpej jasności* manifestuje się podobne sprzężenie mistyki i optyki – poetyki. Perspektywę tutaj wykreśla rytm uchwycony w sieć rymów i wyraziste puenty. One stwarzają, podobnie jak stylistyczne nawiązania do polskiej poezji metafizycznej, dystans emocjonalny przekształcający autentyzm przeżyć w sztukę słowa.

Wiesława Wantuch

Joanna Pollakówna, *Skąpa jasność*, Czytelnik, Warszawa 1999.

Iwona Misiak

## Pierwotność materii

Materia pierwsza nie istnieje samodzielnie. Zgodnie z definicją Arystotelesa jest czystą potencjalnością pozbawioną formy. Czy można z niej wyprowadzić czas, przestrzeń i rzeczy za pomocą słów? Wydaje się, że taki cel postawiła przed sobą autorka *Materia prima*, Marzanna Bogumiła Kielar, starając się w akcie pisania nadawać formę chaotycznej materii, wyciągając z niej konkretne byty czyli drugą materię, istniejącą realnie w świecie. Rzeczy w poezji Kielar na chwilę „ostygły/i każda w swojej formie/gotowa [jest] do wyjęcia” (\*\*\*) *linia śniegu i nocy...*). Jednak niekoniecznie gotowość oznacza pełną realizację zamierzenia. *Materia prima* jak kosmiczna dziura niechętnie wypuszcza cokolwiek na zewnątrz, kumulując ciemną siłę.

Materia poddawana procesowi tworzenia powinna zrodzić substancje i z pierwotnego stanu zawirowania wynurza się w najnowszym tomie Kielar fragment krajobrazu z domem, psami, kobietą i mężczyzną, który, podobnie jak w poezji Julii Hartwig, jest niedoskonały, bo zmienny jak sen i nietrwały. W trzydziestu sześciu wierszach autorka próbuje złożyć materię i formę w całość, dodać barwy do kształtów, ułożyć wokół nich cienie, rozszerzyć zarysowane tło. Przejście od pierwotnej potencjalności do bytu przypomina bolesne zmagania: odłamująca się gałąź odsłania „miazgę żywego drzewa”, spod spękanej kory nocy „świeci próchno”, w śniegu

otwierają się żyły, „pełne skrzepłej trawy, piachu, pęczniejących ilów” (*Odwiłż*). Kolory „nabierają głębi, robią się lśniące, czystsze”, rzeczy rozpoczynając istnienie w wersach natychmiast się rozpadają, przyszykowane do kolejnej przemiany. Obraz nie zostaje wyczyszczony ani uporządkowany. Forma nie jest domknięta. Realne byty przez mgnienie zapowiadają swoją egzystencję, wpadając na powrót w bezkształtną, pulsującą materię. Czy możliwe będzie wyciągnięcie czegokolwiek z jej wnętrza? Słowa biegną w przód jak niekończąca się linia prosta: „słup czerwieni moknie w wodzie pod lasem, ledwie/zanurzony; bale chropowatego zmierzchu, równo pocucinane,/zszarzałe, spiętrzone jak w sągu; — ślizga się promień/na smołowatych palach/trzymających pomost, kolebiącej się boi. Drzazgi/w zapachu powietrza –/chwyta mróz, jak wtenczas, gdy w białym świetle śnieg/zaczynał padać w wodę: prószyl w ciemniejący miąższ/oszronionej godziny” (\*\*\*) *słup czerwieni moknie...*). Poetka nie chce przerwać tajemniczego snu materii. Nie walczy i nie rywalizuje z jego Stwórcą. Poddaje się panowaniu natury, nie przeciwstawiając jej poezji.

Pragnienie odtwarzania (a nie stwarzania) bytów ma swoje konsekwencje. Trzy kwartały opisane w tomie *Materia prima* wykluczają sezon letni; życie zatrzymuje się w pół drogi do zaistnienia w świecie. Natura staje się lustrem sztuki, poezja przestaje sublimować rzeczywistość, doświadczenia, pamięć według zasad, jakie dyktuje poetycka wyobraźnia, organizująca odczucia. Natomiast utwory Kielar ilustracyjnie odnoszą się do świata materialnego. Dialektykę między pustką i formą zastąpiła w jej wierszach łagodna zgoda na wtórność aktu twórczego, w którym rezygnuje z kształtowania mocnej, autonomicznej formy. Relacja między słowem i słowem oraz słowem i światem w jej tekstach jest bierna:

torfowisko jesieni — coraz krótszy oddech topoli, olsz  
szarych; karłowacieje światło, blade bonsai,  
wczepione w nurt południa;  
wiatr trąca tlejący susz,  
drobnicę liści zawieruszonych w rulonic  
metalowej siatki, jakby, bezgłośnie, składał słowa  
obcego języka, wyczuwając  
zgrubienia nerwów, wydrążone sylaby  
pod szronem

W *Rękopisie* wiatr jest sprawcą ruchu w języku, a obcość składni zakłada nierozpoznawalność sensu. Czy natura naprawdę może być obszarem nieprzenikalnym dla słów poety, dążących wytrwale do miejsca, gdzie nie akceptuje się już naturalności, lecz odmienność i oryginalność sfery duchowej?

Czytając poezję warto zauważyć, że wybitne indywidualności twórcze w oczywisty sposób przekraczają wiele barier, materialność nie blokuje spirytualności, kobiecość męskości itd. Pisał o tym Norwid, Coleridge, Woolf. Separatyzm oraz dzielenie literatury na męską, kobiecą odeszły w zapomnienie, dzięki intelektualnej pracy kilku pokoleń artystów (i krytyków) wiek XX poddał się panowaniu metafory androgyniczności umysłu twórczego, między innymi dzięki przemyśleniom Emily Dickinson,

Gertrudy Stein, Rainera Marii Rilkego, Lou Salome. Amerykańscy krytycy od lat powtarzają, że wrażliwość i wyobraźnia poetycka scalają cechy obu płci; Helen Vendler, Harold Bloom, Camille Paglia przenoszą ideologiczne i biologiczne różnice poza obręb sztuki. Przypuszczam, że pomysł według którego został ułożony *Rękopis*, mógłby posłużyć amerykańskiej poetce Amy Clampitt, do zbudowania transcendentnego wymiaru natury, podkreślenia mitycznej aury jesiennej egzystencji, czyli estetycznego zgłębienia znaczeń leżących poza empirycznym zasięgiem obserwacji. Ale wyobraźnia Kielar nie jest „stwarzająca”, widzialny świat nie ulega „odzmysłowieniu”, przygotowując spostrzeżenia, wrażenia, fakty do niematerialnego bycia w sferze myśli. Metoda jej pisania jest zależna od zdolności zmysłowych, bez zerwania połączenia ze zwykłym doświadczeniem, dlatego odwzorowywanie rzeczy bywa dla niej istotniejsze od przemyśleń i przeobrażeń, dokonujących się w obszarze aktywnej imaginacji. Trudno dostrzec „obecność innego, dotykalnego świata” zapowiadanego w *Sacra conversazione*, bo świat owszem jest dotykalny, lecz nie Inny. Dlatego trudno byłoby zgodzić się ze zdaniem Mariana Stali, że poetka toczy fascynującą rozmowę z niedotykalnym światem, gdyż odtwarzana przez nią przestrzeń ściśle wpasowuje się w niezbyt fascynującą zewnętrżność. Wyobraźnia opiera się na doświadczeniu wizualnym, ale przede wszystkim jest umiejętnością widzenia i poznawania pozabawioną towarzystwa realnych przedmiotów. To wysiłek intelektu, o którym pisała Clampitt, „szukającego nowych definicji dla struktur rzeczy, jakich nikt jeszcze nie widział na oczy” (*Szkło na plaży*, tłumaczył Stanisław Barańczak).

W wierszach autorki *Materia prima* optyka wyprzedza ontologię, biologia zacieśnia horyzont eschatologii, kobieca percepcja wyklucza androgyniczność umysłu. Donald Pierie, brytyjski tłumacz współczesnej poezji polskiej, zwrócił uwagę, że utwory Kielar są heteroseksualnie czule, trafiając bezbłędnie w popularny gust odbiorców. Jej twórczość koncentruje się na zmysłowości, mężczyźnie i codzienności nie zmierzając do nadania im formy wyjaśniającej świat widzialny; rezygnuje z zanurzenia się w niewidzialnym, na rzecz dotykania powierzchni otoczenia, przypominającego „sukno wody zgniecione zimnym wiatrem” (\*\*\*) *na różne sposoby wymawialiśmy...*), „wygasłe drewno odsłoniętych rzeczy” (\*\*\*) *cisza przedświtą rozcięta...*). *Materia pierwsza* stawia opór, wyłącznie od poetów zależy, czy dynamiczność myśli i wyobraźni zdoła przewyciężyć siłę pierwszego bezwładu. Tylko sztuka potrafi odrealnić to, co nazbyt rzeczywiste, by za pomocą formy uwypuklić tajemnicę materii świata i człowieka. Czynnikiem sprawczym jest język warunkujący powstanie konkretnego bytu czyli wiersza. Pierwszym aktem materii pierwszej jest forma, wyznaczająca kompozycję i sens utworu. To, co Arystoteles nazwał materią, „nie jest ani czymś, ani ile, ani czymkolwiek takim, co określa byt”, gdyż dopiero „za sprawą sztuki powstają rzeczy, których forma jest w duszy”.

Iwona Misiak

---

Marzanna Bogumiła Kielar, *Materia prima*, Wydawnictwo Obserwator, Biblioteka „Czasu Kultury”, Poznań 1999.

Paweł Majerski

## Blizna ciała (i) poezji

Dwadzieścia sześć lat temu Krzysztof Karasek opublikował wiersz *Kwidzyn 1947-1953*, traktując go jako część projektowanego poematu. Potem mozolnie, ponoć wciąż bez satysfakcji, pracował nad kolejnymi fragmentami. Ponieważ genezę tomiku *Musi umrzeć, co ma żyć w pieśni* przybliży krótkie posłowie autora, w autointerpretacyjnych uwagach dostrzeżemy zarys planu utworu: „chciałem w nim zmieścić – pycha młodości – wszystko, co ważne w moim życiu, co je kształtowało, i niczego nie zgubić. Poemat, który utkany byłby z samych faktów i rzeczy. Z fantomów świadomości i krajobrazów widzialnych”. Oto prehistoria, która powraca w postaci biograficznej pieczęci – przybitej przez autora właśnie na końcu książki.

Ludzie pióra często podejmują wyzwanie podobnego rozrachunku, rzadko jednak udaje się wypracować formułę, która sprawi, iż liryczne świadectwo życia będzie istotne nie tylko dla autora, tudzież jego rodziny (pomijam wymiar terapeutyczny). Zapewne zadają sobie wówczas pytanie: w jaki sposób, po latach odliczanych publikowanymi dziełami, zapisać utrwalone obrazy, by nie skryć życia w sentymentalnej konwencji? W grę wchodzi przecież uczucia, ekliwne wspomnienia, ale i – literacka samoświadomość. Zapytałbym więc nieco inaczej: jak zakończyć bilans, umknąwszy przed natrętnym, obezwładniającym nie tylko bohatera *Nie-Boskiej komedii*, glosem: „dramat układasz?” Łatwiej może – spojrzmy od innej strony – zaintrygować czytelników prozatorską narracją i samą akcją, poezja wymyka się bowiem „uprawomocnieniom” faktografii. Z pierwszej strony okładki spogląda pięcioletni Krzysztof Karasek, na ostatniej ma lat sześćdziesiąt. To jeden z akcentów *summary*, w podtytułe zbioru widnieje zresztą słowo „kronika”. Dla kronikarza, rzecz jasna, liczy się chronologia rejestrowanych zdarzeń, zwłaszcza gdy gromadzi on materiał do przyszłej syntezy. Wprawdzie Karasek przedstawia intymną kronikę liryczną, ale nie może pominąć szerszego planu historii, pamiętając o losie pokolenia. W każdym razie pisze *ex post*, nie kreując – tak zajmujących dziś literaturoznawców – światów możliwych. Dokonało się – ot, wszystko.

Książkę tworzą trzy części, pośród których trzon stanowi *Poemat pedagogiczny*. Rozpoczynające całość *Podwórze* zaskakuje pewną transpozycją: „Samochód podskoczył na przydrożnej dziurze/i wtoczył się rozpędem na puste podwórze”. Pamiętamy? „Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek/I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek”, we dworze było jednak pusto... Nasz „kronikarz” wraca po latach, dlatego miast pobielanych ścian, dostrzeże rozsypujące się cegły. Skoro miejsce dzieciństwa ewokuje rajska pierwotność, w enumeracyjnych sekwencjach rzeczy powoływane będą do istnienia („Wypowiedziałeś słowo – otwieraleś świat/każdym dźwiękiem i rzeczą”), najwięcej – „po raz pierwszy” i „nigdy już więcej”. Czy metafora staje się wyrazem wiary w ocalenie? W każdym razie, zastępując przestrzeń domu obrazem najbliższych okolic, stopniowo zestawiając ekwiwalenty doznań, rozszerza kręgi świata.



Tytuł zbiorku przywołuje romantyczną wykładnię życia po życiu (słowa Schillera pełnią równocześnie funkcję motto: „Was unsterblich im Gesang soll leben,/Muß im Leben untergang”), skierowawszy uwagę ku tworzonym i kontrolowanym przez Chronosa regułom gry o byt, ale i mechanizmom kultury. Czas jest tutaj, jak bohater, istotną postacią opowieści. Nie tylko o romantyczny koturn będzie jednak chodziło, stąd przecież krok tylko – tak sędzę – ku mrocznym strefom egzystencjalistów. Triada życie-śmierć-sztuka, skrywająca autentyzm i utrwalenie, doświadczenie i literackość zapisu, ostatecznie podporządkowana jest konieczności. Przecież wdzieramy się w świat, nasycamy się nim i nasycamy go sobą. Upływające lata potęgują wrażenie obcości, w pewnym momencie odczuć nawet można, iż poza nami znajduje się i chaos, i martwy porządek, a w środku – jakby pusto... Przez chwilę, gdy dziedzicznie przekazują sobie władzę letni żywioł chwastów i bezruch długiej zimy, dzięki „trzeciemu oku” wyczuwalny jest puls życia („Ja patrzałem/rozszerzonymi oczami tamtego wymiaru,/trzecim okiem rozwartym do rozdarcia”). Podsumowując, rozpatrując wybory i konsekwencje, bohater poematu już wie, iż każde przeżycie wchłonięte będzie przez krainę zza siedmiu gór. Karasek powiada, iż narodziny jego pokolenia zostały naznaczone stygmatem śmierci; w „kronice” niejednokrotnie pobrzmiwia więc ton elegijny. Jak wiadomo, lekcja romantyczna nakazywała portretować swoje czasy tak, by powstał projekt przyszłości, by trwała legenda – dlatego wielkie poematy rozpoczynały się nad grobem. Wydaje mi się, iż spowijając cykl romantycznym woalem Karasek może – w najprostszym układzie poetyki reminiscencji – dać upust szczerym emocjom, stopniowo zyskując przy tym dystans (jak w przywoływanym odniesieniu do *Pana Tadeusza*). W wielu momentach tonuje patos wspomnień, choć przed nim skutecznie przecież nie umknie.

W utrwalanych planach, które przeplatają wspomnienia z teraźniejszością, zwraca uwagę somatyczność obrazów. W przestrzeni wyobraźni świat został ucieleśniony: duch (w *Obrazach i pamięci* (1931): „Czy sen w dzieciństwie jest, w wozie/czy w nocy? W pięknych szafirach rozbłysłych nad domem/czy w migotaniu duszy roziskrzonej, która początkiem życia jest, i jego końcem”) oraz materia osiągają wymiar organiczny. To, co odtwarza pamięć, będzie wciąż – jak ból sprzed lat – odczuwane sensualnie, stąd „lata pełne uderzeń krwi w skroniach”, „po śniegu pierwszym zranione powietrze”, czy ciało domu. Dodajmy jeszcze granice języka i wyrażalności, gdy bohater patrzy na leżące drzewa, stwierdziwszy: „ich płytka rozpacz podgryza słowniki,/mój płacz rozlega się w krwi i w pamięci”. W metaforyce dominuje ostrość: oczy będą „wąskie jak po tasaku”, wykluwane szpilką, „szpilką przebija światłość jego źrenic”, dalej pojawiają się „sztylet języka”, strzała, nóż. W tekście odnajdziemy zresztą osobliwe wyznanie (do wielokrotnych cytacji): „*Anatomia* Bochenka dostarcza pierwszych wzruszeń/nad dialektyką trwania i oddychania/tlenem wkuwaniu mięśni i więzadel/zawdzięczam biologiczne piętno moich wierszy”. Oplacała się harówka z podręcznikiem, na marginesie – studenta Karaska dostrzegła prasa, czego dowodzi fotka z „*Expressu Wieczornego*” nr 125/1958, na której widnieje chłopię w stroju gimnastycznym, uchwycone w locie ponad kolegami (czyżby kryła się tutaj przewrotna sugestia – pojętej w sposób klasycystyczny – figury poety-ptaka?).

Równoległe z fauniczną i florystyczną stroną obecności (np. *Piosenka z połowy wieku*, *Stawiając stopy w ślady Rimbauda* (czerwiec 1953), *Słuchając śpiewu syren*), uwagę interpretatorów przyciągnie zapewne gra przeciwieństw: światła i ciemności. W *Zorzy polarnej* światło współtworzy figurę teatru świata, pojawiają się „ciemne mieszkania”, świt, słońce, zacierające obraz spojrzenia „pod światło”, dość sięgnąć po fragment: „Więc światło gaśnie, chłopiec się zapada,/nad pustym domem nagi sierp księżycy/ otwiera jasność oczom i zatapia obraz/szczeliną pocałunku posłuszną głosowi”. O takiej motywie powiedziałby wiele Józef Czechowicz.

Tymczasem bohater wskazuje miejsca-znaki rozegranej historii życia, historii swojej „pojedynczości” – znaczone ranami i bliznami, nieuchronnie towarzyszącymi przedzieraniu się przez świat. Blizny pozostają także na ciele poezji. Przy takim powrocie trzeba się poddać rytmowi egzystencjalnych powtórzeń i gestów, dialogowi poematu i zdjęć z rodzinnego albumu, które były katalizatorami pamięci.

Piotr Majerski

---

Krzysztof Karasek, *Musi umrzeć, co ma żyć w pieśni*. Kronika, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000.

## Leszek Szaruga Świat przez łzy

Czwarty tom prozy Grzegorza Strumyka to opowieść o bezdomnych. Jej główny bohater, Gabriel, żyje na granicy milczenia. Ma świadomość wagi słowa: „To nieprawda – mówi – że słowa nic nie kosztują. Jeszcze jak, stają się życiem, bez życia nie istnieją. Czasem łatwiej wyobrazić sobie własną śmierć niż dalsze życie. Mówię ci, jak ktoś usłyszy, to i zobaczy. Przecież. Prawie wszystko. Co istnieje. Jest. Jest nieme dla nas. Kto wie? Świat dopiero powstaje ze słów, dlatego, może dlatego wolałbym nie mówić. Życie nie wydaje mi się nagrodą”. I rzeczywiście – Gabriel mówi tylko tyle, ile wydaje się konieczne. Jeszcze mniej mówi towarzysząca mu dziewczyna: „Poznał jej małomówność. Nigdy dotąd nie poznał tak milczącego człowieka, zawzięcie. Zamiast szamotaniny i krzyku. Milczącego jakby z potrzeby innego porozumienia.”

Historia ta opowiedziana jest w trzeciej osobie, z punktu widzenia zewnętrznego, chłodnego obserwatora, który rejestruje zdarzenia z owego przemilczanego życia. Bo życie bezdomnych jest przemilczane. Istnieje wówczas, gdy się je dostrzeżę. A dostrzeżę się je wówczas, gdy się o nim mówi.

Ale bezdomność jest tutaj czymś innym niż w penetrującym egzotykę lumpów reportażu. Jest rodzajem ludzkiej kondycji. Jest efektem odrzucenia, dystansu wobec „normalnego” życia, niedostosowania do panujących w nim reguł. Jest skutkiem walki o niezależność i ocalenie własnej tożsamości. Jest wyborem. Jest jednak jednocześnie wyrokiem, jaki wydało na Gabriela i jego towarzyszkę – dwadzieścia lat

odeń młodszą, podobną do chłopca – społeczeństwo, które „niedostosowanych” nie akceptuje, odrzuca, skazuje na egzystencję na marginesie „prawdziwego” życia.

Owa egzystencja, tolerowana, lecz nie dostrzegana, skazana jest na przemilczenie. Wysilek narracyjny Strumyka to próba nadania owej egzystencji choć odrobiny sensu, tego sensu, o który upomina się Gabriel: „Im mniej się z życia ma, tym bardziej to życie się należy. Po prostu należy. Nie wiem, jak i od kogo żądać.” Te słowa wszakże wypowiedziane zostają po oczyszczeniu, po odmieniającej ciała bezdomnych kąpieli w Łażni.

Przedtem oboje – Gabriel i dziewczyna – brną przez codzienność, przez zasięki obojętności, przez obszary niezrozumienia. Zgłaszają się do Opieki po kartki na żywność wydawaną w barze „Ryś”, żebrzą o lekarstwa, o kubek ciepłej wody. Idą przez miasto, przez anonimowy tłum, sami w nim anonimowi, żadni, rozpoznawani jedynie z racji swej kondycji. Idą popychani głodem, gorączką, wewnętrznym niepokojem, którego nie potrafią wyrazić, jak wówczas, gdy w Opiece Gabriel próbuje wyluszczyć swą prośbę: „Nie umiem mówić – zaczął mówić – nie wiem, jak powiedzieć. Tam, gdzie mieszkam, jest dobrze. Teraz. Kiedyś, niedługo zacznę zarabiać. Na razie potrzebuję jeszcze czegokolwiek. Pomocy. Mówiąc to wie, że nigdy nie zacznie zarabiać, podobnie jak wie, że nie przyjdzie powtórnie do matki, którą w swej drodze odwiedza we własnym dawnym mieszkaniu. (I tu uwaga: nie do końca czytelna jest tu owa decyzja odejścia: choć motywowana zapewne powrotem do dziewczyny, nie wydaje się psychologicznie uzasadniona. To, oczywiście, wątpliwość pojawiająca się w „realistycznej”, „dosłownej” lekturze).

Bohaterowie *Łez* mieszkają w opuszczonym magazynie: wiele takich magazynów czy opuszczonych „hal produkcyjnych” z dawnej epoki – walących się, z powybijanymi szybami, brudnych – można wciąż jeszcze odnaleźć na peryferiach polskich miast. Stają się miejscem schronienia dla bezdomnych, dają im iluzoryczny „dach nad głową”, nawet poczucie intymności, odizolowania od świata zewnętrznego, bycia „u siebie”.

Rzecz w tym, iż w przypowieści Strumyka mamy do czynienia jednocześnie z opisem realistycznym i symbolicznym. Gabriel, który ten świat zamieszkuje, opuścił – jak można wnioskować z tego, co myśli i mówi – świat bardziej stabilny, uporządkowany, „elegancki”, ten świat, który rozpoznaje odwiedzając swą matkę: „Stare meble. Więcej kurzu na ścianach, nitki i ścinki papieru na podłodze. Niezliczone krzyże obok siebie, duże i małeńkie ze sobą między kwiatami. Jego stare wodne pejzaże za zakurzonymi szybami. Powyginane sosny. Wąwóz za Dunajcem”. Zostawia to za sobą. Zostawia za sobą modlącą się matkę. Powraca na ulicę do czekającej dziewczyny.

Wiemy już, że bohater tej opowieści był kiedyś malarzem. Nie dziwi zatem malarskość jego widzenia: „Zaczął falować obraz. To łyż. Kiedy przez kropelki łez się patrzy. Świecą się oczy, jak u psów albo kawek. Mniej widać prostokątów potrzebnych do budowy domów. Skazanych na rozsypkę. Przez łyż nie widać kątów prostych, płaszczyzn z brudnymi ptakami, polepionych psów w otwartych garażach”. Zderzają się tutaj dwa żywioły poznania: patrzenie i mówienie, wzrok i mowa: „Powiedz coś – żądał i dalej mówił. – Niech się czegoś najem, pieczonego, zlocistego kurczaka z chrupiącą skórką i frytek, i ogór-

ka z cebulką. Tylko coś powiedz, najem się wtedy jak nigdy. (...) Pragnienie głodu. Nigdy bym o czymś takim nie pomyślał, gdybym nie zaczął mówić, jak słowa też znajdują myśli... Powiedz coś!”

I bohater, i narrator mówią krótkimi, prostymi zdaniami, czasem równoważnikami zdań, które wyznaczają rytm – a zatem i klimat – opowieści o losie ludzi wykorzenionych, pozbawionych oparcia, zdanych tylko na siebie, osobnych i odosobnionych. Przy czym – to ważne przecież – nie są bohaterowie Strumyka ludźmi prymitywnymi, typowymi „dresowcami” czy „nurkami”. Przeciwnie: są wykształceni i wrażliwi, są świadomi swego losu. Gdy mówią, ich słowa nie są przypadkowe, są starannie dobrane, nasycone znaczeniem. Lecz ich prawdziwa egzystencja rozpięta jest między milczeniem, a krzykiem, znajduje się w tej przestrzeni „innego porozumiewania”, nieprzekładalnej na słowa, niewyraźnej.

Stąd szczególny charakter całej narracji, która jest jedynie językowym przybliżeniem tego, co w języku wyrazić się do końca nie da – bezsilnej wobec świata, zaciętej, milczącej i na swój sposób nawet desperackiej obrony ludzkiej godności i ludzkiej potrzeby miłości. To są dwie podstawowe wartości kreowanego przez tą przypowieść świata. Można tu mówić o spokojnym – dzięki rytmowi opowiadania – dramacie egzystencji człowieka skazanego na samotność i samotność wybierającego. Oczywiście – do pewnego stopnia czerpie Strumyk z realiów otaczającego nas świata. Ale i przetwarza te realia tak, jak Różewicz, który w leżącym na ławce parkowej bezdomnym potrafi dostrzec – w pejzażu rajy zdegradowanego – Syna Człowieczego: „spal na ławce/z głową złożoną/na plastikowej torbie//plaszcz na nim był purpurowy/ podobny do starej wycieraczki// na głowie miał czapkę uszatkę/na dłoniach fioletowe rękawiczki/(...) ubrany w trzy swetry czarny biały i zielony/(a wszystkie straciły kolor)/(...) pochyliłem się nad nim/i poczułem zepsuty oddech/z jamy/ustnej//(...) zrozumiałem że wie wszystko//odchodziłem pomieszany/oddalałem się/uciekałem//w domu umyłem ręce”.

Przywołuję Różewicza nie bez powodu. Właśnie poezja – taka poezja – stanowi właściwy kontekst prozy Grzegorza Strumyka. To poezja, która świadectwo słowa buduje na świadectwie oka, które potrafi dostrzec to, co na ogół jest niedostrzegalne: w cuchnącym i odzianym w skorupę łachów osobniku dostrzega Człowieka, Syna Człowieczego. To poezja, która nie tylko ogarnia zjawiska otaczającego świata, lecz także stara się zrozumieć ich naturę. I choć zakończenie opowieści naznaczone jest cierpieniem i śmiercią, to nawet ono nie odbiera jej perspektywy nadziei i ocalenia. Ciepło narracji chroni bohaterów tej książki przed lodowatymi podmuchami rzeczywistości.

*Leszek Szaruga*

Rafał Moczko

## Listy Jerzego Stempowskiego

Jeżeli prawdą jest twierdzenie Anatola France'a, jakoby krytyka literacka była „opowieścią o przygodach duszy wśród arcydzieł”, to najnowszy tom listów Jerzego Stempowskiego z pewnością u każdego, kto ceni znakomitą literaturę, zajmie w tej przygodzie miejsce niepoślednie.

Hostowca epistolografa nie trzeba nikomu przedstawiać – jego nazwisko, przywoływane obok takiego mistrza gatunku jak Zygmunt Krasiński, kojarzy się nieodłącznie z tą formą piśmiennictwa i jego dokonania w tej materii (przy równie znakomitych osiągnięciach na gruncie eseju) z pewnością zapewniły mu stałe miejsce na polskim Parnasie literackim. *Listy* publikowane pierwotnie na łamach „Zeszytów Literackich”, a teraz zebrane w jednym tomie potwierdzają jedynie wysoką pozycję autora *Esejów dla Kassandry*.

Skoro tak jest, to ktoś może zapytać, jaki cel przyświeca kolejnym peanom na cześć Stempowskiego i po co polecać coś, co polecenia w gruncie rzeczy nie potrzebuje. Odpowiedź – ta najoczywistsza, jest zarazem najbardziej trywialna: bo warto promować dobrą literaturę, wylawiać z ogromu publikacji te, których lektura nie pozostawia czytelnika w obojętności, zmusza do zajmowania własnego stanowiska, zapładnia intelektualnie czy wreszcie – jak chciał tego autor *Buntu aniołów* – porusza duszę. Należy zatem zastanowić się nad problemem wartości prezentowanej korespondencji i zapytać, czy najnowszy zbiór listów „niespiesznego przechodnia” wnosi coś nowego do obrazu Stempowskiego powstałego na podstawie lektury tych wcześniejszych kierowanych do Krystyny Marek, Bolesława Micińskiego czy Jerzego Giedroycia? Okazuje się, że po porównaniu tego tomu do poprzednich można wskazać przede wszystkim cechy, które powtarzają się w całej epistolografii autora *Pana Jowialskiego*, oraz w zasadzie tylko jedną odróżniającą wybór z „Zeszytów Literackich” od wcześniejszych.

Do wyróżników charakterystycznych osobowości i intelektu Stempowskiego, które znajdowały swe odbicie w jego epistolografii, z pewnością należy zaliczyć wykazywaną już wielokrotnie przez krytyków jednorodność i jednolitość. Przywoływanie podobnych zdarzeń i przykładów, podejmowanie tych samych tematów, powielanie stwierdzeń i wniosków w korespondencji prowadzonej z różnymi osobami (por. uwagi na temat domu Stanisława Vincenza kierowane do Jana Kotta i Józefa Wittlina lub opinię o Paryżu, jaką Stempowski dzieli się z Kottem i Miłozsem) czy nawet w listach wysyłanych do tego samego odbiorcy (np. opisywane w listach do Józefa Wittlina samobójstwo studentki filozofii) pokazuje, jak bardzo Stempowski żył tym, o czym mówił. Oczywiście niekiedy jego poglądy ewoluowały, co prowadziło niekiedy do diametralnej zmiany zdania na dany temat (por. ocenę ewentualnych prac doktorskich poświęconych twórczości i osobie Marii Dąbrowskiej wyrażoną w listach do Marii Czapskiej i Czesława Miłozsa), lecz nawet takie przykłady nie są w stanie zachwiać ogólnego odczucia jednorodności tej korespondencji.

Świadczy o niej jeszcze jedno – wyrównany, wysoki poziom stylistyczno-językowy listów. Stempowski jak rzadko kto pisał je tak, że nadawały się wprost do druku – w całym tomie można wskazać zaledwie 4-5 miejsc, w których pióro go zawiodło i zamiast zdań dopracowanych, przejrzystych, mieniących się cytataми i przywołaniami z kilku języków otrzymaliśmy nieco kulejące fragmenty tekstu (por. np. naszpikowany powtórzeniami *passus* z listu do Józefa Czapskiego). Nigdy natomiast nie zawodzi logika wyводу, czego wzorcowym przykładem mogą być rozważania na temat mód i tendencji z listów do Jana Kotta czy charakterystyka malarstwa abstrakcyjnego zawarta w korespondencji z Józefem Czapskim. Zawsze uważny, zainteresowany, wręcz zafascynowany rzeczywistością „niespieszny przechodzień” obserwuje ją z dystansem, a swoje sądy i oceny stara się podpierać solidną argumentacją przekraczającą niekiedy tradycyjne ramy listu (por. rozważania nt. dystychu Janusa Vitalisa), i przeradzającą ją w mini esej. Oczywiście o trafności tych sądów można dyskutować – tezy na temat motywów pozostawiania na emigracji wyrażone w liście do ojca wydawać się mogą uproszczeniem, choć równocześnie ocena roli, jaką ma odegrać emigracja – mimo ryzykowności i kontrowersyjności (por. listy do ojca) może znaleźć wielu zwolenników.

Kolejna cecha ujawniona w listach Stempowskiego, a dotycząca całego jego dorobku, to ogromna, niewymuszona, najwyższej próby erudycja, która poraża odbiorcę na każdym kroku. Jedynym adekwatnym skojarzeniem wydaje się tu *Pamiętnik* Stanisława Brzozowskiego, choć tego autor *Ziemi berneńskiej* przewyższa z jednej strony swadą polemiczną, a z drugiej obejmowaniem w swej refleksji kręgów pozaliterackich, co czyni jego listy lekturą znacznie bardziej interesującą.

I wreszcie *last but not least* – ogólny ton tej korespondencji. Lektura jest przygnębiająca, a w najlepszym przypadku wprawia w melancholijny nastrój, bowiem treści głoszone przez „niespiesznego przechodnia” nie napawają optymizmem. Jego stoicki spokój w wieszczaniu rychłego upadku Europy i świata zachodniego zatrwaja, ale także – co ważniejsze – zmusza czytelnika do postawienia sobie jednego z pytań fundamentalnych: dokąd dążymy? Europa, zdaniem Stempowskiego, niczym leśmianowska *Karczma* stacza się w otchłań, a jej mieszkańcy – tak jak w wizji autora *Dusiołka* – bawią się nie zdając sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Sam Hostowiec charakteryzuje swoją postawę następująco: „Tym wszakże, którzy przeszli przez *la machine'a décerveler*, trudno jest wytłumaczyć moją np. postawę człowieka palącego fajkę na tonącym okręcie Europy zachodniej, dla której żadnego ratunku na razie nie widzę, a której mimo to nie porzucam. Do wytłumaczenia takiej rzeczy nie znajduję języka. Przypuszczam też, że czytelnik krajowy odrzuci mnie z lekceważeniem. Jeden powie: «a to ci burżuj, pali fajkę, kiedy my tu tyle pracujemy, aby się utrzymać przy życiu». Innemu nie podoba się mój pesymizm i powie: «giń marnie, draniu!».”

W tym aspekcie warto wspomnieć o jeszcze jednej zdobyczy lektury korespondencji Stempowskiego. Dla tych, którzy znają jego życiorys i cenią twórczość, stanowi ona cenne uzupełnienie informacji na ten temat. Oczywiście szereg danych znamy już z wcześniejszych publikacji, choć jest też wiele takich, które ujrzaly światło dzienne dopiero w tych listach.

Wartość i zarazem sygnalizowana nowość tego tomu korespondencji zasadza się na wyrazistym uwypukleniu kontrastów występujących pomiędzy poszczególnymi zespolami epistolarnymi. Zgromadzenie na przestrzeni dwustu stron 55 listów skierowanych do dziewięciu adresatów (Marii i Józefa Czapskich, Jana Kotta Czesława Miłosza, Stanisława i Marii Stempowskich, Wiktora Weintrauba, Józefa Wittlina i Kazimierza Wierzyńskiego) dało interesujący efekt poświadczający, że w swojej epistolografii Hostowiec postępuje wiernie po śladach swego poprzednika i podobnie jak Krasiński, choć z pewnością nie na tak wielką skalę kreuje obraz samego siebie w zależności od adresata, do którego kieruje list. Zastosowanie różnych strategii epistolarnych nie jest wadą czy zarzutem, jaki by można postawić Stempowskiemu. Jego bogata osobowość pozwalała na ukazywanie jednego z wielu oblicz bez konieczności przybierania sztucznych póz i postaw. Kowalczyk pisze w tym miejscu, że „Autor kreuje «ja» tekstowe, które go reprezentuje wobec adresata”, co przejawia się w tym, że do Czapskiego pisze on jako znawca malarstwa, do Wittlina jako miłośnik antyku, do ojca jako uważny obserwator przemian politycznych, do Jana Kotta, jako znawca i analityk kultury, zaś do Miłosza przede wszystkim jako uważny czytelnik i świadomy autor. Dodatkowo w niektórych listach spoza sztafażu wiedzy i erudycji przebija rzadki obraz „Stempowskiego w szlafroku” – żalącego się na choroby czy zafascynowanego zagadnieniami... gastronomicznymi.

W każdej beczce miodu powinna się znaleźć przysłowiowa łyżka dziegciu. Wydawcy postarali się, żeby podobnie było w wypadku *Listów*. Nickonskwentne, nie logiczne, niekiedy powtarzające informacje z tekstu listu, a do tego umieszczone na końcu książki przypisy, które są kulą u nogi większości edycji korespondencji, dzienników i pamiętników, odbierają wiele z przyjemności lektury. Jeśli jeszcze do tego dodać, że część z nich objaśnia rzeczy oczywiste (np. zwrot *mea culpa*) przy równoczesnym pominięciu kwestii zasadniczych, to można w trakcie czytania nabawić się ciężkiej irytacji. Na całe szczęście Stempowski broni się sam i czyni to w wielkim stylu.

Rafał Moczko

---

Jerzy Stempowski, *Listy*, wybór i redakcja Barbara Toruńczyk, słowo wstępne Jan Kott, Wojciech Karpiński, posłowie Andrzej Stanisław Kowalczyk, Fundacja „Zeszytów Literackich”, Warszawa 2000.

Wiesław Trzeciakowski

## O wysokiej sztuce interpretacji Młodej Polski.

Książka Wojciecha Gutowskiego *Mit – Eros – Sacrum. Sytuacje młodopolskie* to zbiór szkiców (studiów), których głównymi osiami konstrukcyjnymi są: młodopolska erotyka i problematyka związana z *sacrum* (chodzi tu nie tylko o religijne źródła tego pojęcia). Biorąc jeszcze pod uwagę rolę mitu, można powiedzieć, że są to – owe osie – główne siły sprawcze, dynamiczne i organizujące młodopolską ekspresję artystyczną. Jednocześnie przenikają się wzajemnie, tworząc różne układy, konstelacje, zgodnie z duchem epoki.

Wojciech Gutowski to badacz czołowego kręgu znawców Młodej Polski, znany nie tylko z opracowań trudnej twórczości Tadeusza Micińskiego (opracował m.in. *Poematy prozą* Micińskiego, Kraków 1985 oraz *Wybór poezji* tego poety, wydanej w prestiżowej serii Biblioteka Polska pod redakcją Jana Błońskiego, Kraków 1999), ale również z tego, że jest on pierwszym badaczem epoki, który odważył się stworzyć całościową (co nie znaczy zamkniętą) prezentację młodopolskich mitów i miłości. To powoduje, że Wojciech Gutowski stał się autorem ważnych książek.

Czytając teksty naukowe tego autora – jak też słuchając jego niektórych wystąpień podczas sesji naukowych – trzeba przyznać, że zdumiewa on tym, w jaki sposób potrafi interpretować skomplikowane, wielowarstwowe teksty młodopolskie, nasycone filozofiami, gnozą, ezoteryzmem, psychologią głębi i wszelkimi możliwymi aluzjami związanymi z tradycją kulturalną ludzkości. Można mówić – w przypadku Wojciecha Gutowskiego – o wysokiej sztuce interpretacji, umiejętności opowiadania w sposób przekrojowy, a zarazem na podstawie bogatego i zróżnicowanego materiału literackiego.

Wojciech Gutowski – dzięki dynamicznej zdolności kojarzenia i przetwarzania obrazów, postaci, faktów i idei różnych epok, w tym także współczesności – odczytuje teksty Młodej Polski w nowy, oryginalny sposób, nieustannie prowadzi przy tym pełen umysłowego napięcia dialog z innymi autorami literatury przedmiotu. *Mit – Eros – Sacrum. Sytuacje młodopolskie* są tego przykładem: zebrane w jednym tomie dają czytelnikowi wyobrażenie o skali problemów i ich złożoności. Trud interpretacyjny Młodej Polski polega też na tym, że ówczesne badania religioznawcze i etnologiczne podważyły europocentryzm kulturowy, odsłoniły ważność i egzotykę innych kultur Ziemi, także tych „prymitywnych”. Z drugiej strony – eksploatowane przez artystów ide i kultury, inspirujące tych twórców, wymagają nieprawdopodobnej wiedzy od czytelnika, a tym bardziej od interpretatora. Szkice Wojciecha Gutowskiego uderzają erudycją, precyzyjnie analizują młodopolski świat, i – co istotne – odsłaniają mechanizmy postaw i sytuacji, o których mowa w tych szkicach. Wojciech Gutowski przekonuje argumentami, że młodopolska erotyka – tak dziwna na polskim gruncie oficjalnej moralności i obsesji narodowowyzwoleńczej – była w gruncie rzeczy nie tylko pierwszym zwycięstwem Erosa w polskiej literaturze, ale wypowiedała się w duchu prawdy czasu, współbrzmiała z odkryciami Freuda, była – można by rzec – prekursorska wobec tego, co dopiero nastąpiło po I i II wojnie światowej w sferze me-



dycyny (seksuologia) czy w ogóle w sferze nauk biologicznych, z których korzysta m.in. medycyna i psychologia, a dzięki czemu powstały argumenty prawne, by nie karać więzieniem za odmienności seksualne, poza pedofilią i makabrą erotyczną. Wówczas, w epoce Młodej Polski, odmienny erotyzm był karany nie tylko w naszej części Europy, ale także w purytańskiej Anglii, czy USA.

Odmienny erotyzm – ale także „normalny” – dochodził do głosu w sposób ostrożny, zakamuflowany, wysublimowany (np. Komornicka). Przypomnijmy sądy współczesnych Tetmajerowi o erotykach tegoż poety – dziś te sądy są dla nas niezrozumiałe, a erotyki Tetmajera wysublimowaną poezją, trzymającą Erosa na mocnej uwięzi. Bycie artystą stwarzało innościom erotycznym jakąś niewielką możliwość szczerości, stąd być może pewna sztuczność niektórych obrazów poetyckich. Artysta osłaniał tę szczerość symbolami, alegorią, aluzją, mitologią dawnych kultur (np. androgynizm).

Wojciech Gutowski wyodrębnia podobne obrazy różnych autorów, porównuje je, różnicuje, czyni to po to, by odsłonić nie tylko ich szczególną anatomię, ale uzyskać bogactwo przeżyć i propozycji, jakich dostarcza polski modernizm. Metoda badawcza autora tej książki niezwykle sprawnie segreguje tematy, obrazy, wątki, postaci i porządkuje cały ten skomplikowany świat, po czym jednocześnie przechodzi do syntezy, w poszukiwaniu ogólniejszych prawideł i reguł rządzących młodopolskim światem. Wojciech Gutowski robi to tak znakomicie, że jego interpretacje znajdują uznanie u najbardziej wyrafinowanych znawców literatury.

Tak jak z erotyzmem, autor postępuje z pojęciem *sacrum*, przy czym odróżnia on wyraźnie *sacrum* religijne (wyobraźnia religijna) od religii wyobraźni, widząc te zjawiska w kategorii dylematu. Artyści młodopolscy przenosili z upodobaniem (i kojarzyli) znaczenia jednych pojęć na inne, w celu ekspresji i wynalazczości artysty. Tybet, świętość, u Micińskiego znajduje polski odpowiednik – Tatry, które w wizji autora *Nietoty* miały stanowić centrum duchowości, nowej duchowości polskiej.

Z tego kojarzenia bierze się mieszanina pojęć, w której można się zgubić. Oprócz tego niekiedy cel takiego kojarzenia był obrazoburczy lub bluźnierczy, jak w *Requiem aeternam* Przybyszewskiego – chuć i kult falliczny ulegają sakralizacji i – w pewnym sensie – wyniesieniu na ołtarze, jako wszechwładca woła mocy, źródło powstawania form życia, bóstwo, absolut. Ta naturalistyczna mistyka powstała na zasadzie negatywu i paradoksu; to odwrócenie treści religii objawionej, przyjęcie postawy bluźniercy, który na miejscu Boga stawia bóstwo sił rozrodczych. Jest w tym wszystkim – oprócz młodopolskiej przekory i „ataku” – cień Nietzschego, jego myśl o przewartościowaniu wartości, w celu odnowy kultury. Dlatego Kain, bohater poezji Micińskiego, kreuje „serca kraj”, zbuntowany przeciw autorytarnej władzy Boga, chce żyć zgodnie ze swym wnętrzem i prawdą o sobie. W atmosferze kryzysu kultury, święte stało się to, co przemawiało dostojnie i z mocą w akcie twórczym, naga dusza, ów byt duchowy poza dobrem i złem. To przewartościowanie Przybyszewski tak określił w *Requiem aeternam*: „Zewnątrz stało się wnętrzem, jawa – snem, rozkosz – obrzydłym jadem”.

Dekadent więc uczestniczy w nieustannej transformacji, a także deformacji symboli sakralnych. „Dlatego podmiot rapsodii jest zarazem nekrofilem i świętym” – stwierdza Wojciech Gutowski.

To, co łączy modernizm z postmodernistyczną rzeczywistością, to przede wszystkim ta sama zdolność percepcji wszystkich wytworów wyobraźni, bez porządkujących reguł rozumu czy moralności, bez ograniczeń narzucanych przez zniechęconą zewnętrzną rzeczywistość. Chodzi więc nadal o nieskrępowaną ekspresję twórczą i taki obszar kultury, w którym istnieją wolność i prawda o przeżywaniu istnienia.

Na koniec uwagi dotyczące edycji: zbiór studiów Wojciecha Gutowskiego został zredagowany klarownie, z notą bibliograficzną (pierwodruki), z indeksem nazwisk. Na uwagę zasługuje estetyczna okładka z reprodukcją obrazu *Wiosna* Axentowicza; wygląda to ładnie na niebieskim tle okładki.

Wiesław Trzeciakowski

---

Wojciech Gutowski, *Mit – Eros – Sacrum. Sytuacje młodopolskie*, Wydawnictwo Homini, Bydgoszcz 1999.

Zofia Zarębianka

## Mariologiczna propozycja na Trzecie Tysiąclecie

*Od – nowa z Maryją* Jacka Bolewskiego SJ to kolejna (po *Nie bać się Nicba*, *W Duchu i mocy Niepokalanego Poczęcia* oraz *Początku w Bogu*) mariologiczna książka autora *Prostej praktyki medytacji*, książka (od) ważna, mądra i piękna. (Od) ważna z kilku powodów. Przede wszystkim, potrzeba odwagi, by... pisać dziś o Maryi. Łatwo tu bowiem narazić się na sprzeciw zarówno – nieprzejeźdnym „tradycjonalistom” – za (rzekomą) nicortodoksyjność i zbyt nieowatorstwo, jak i części specjalistów za podejmowanie „niemodnej” tematyki... Oba potencjalne zarzuty potraktować można jednak „półserio”.

Prawdziwa odwaga i waga rozważań maryjnych Bolewskiego polega na tym, że prezentuje on nowoczesną, spójną wizję teologiczną opartą na wnikliwym odczytaniu różnych przekazów Tradycji, ożywionych osobistym doświadczeniem wiary, teologię nie bojącą się stawiać pytań i szukania odpowiedzi, możliwych do przyjęcia przez krytyczną świadomość nastawionego sceptycznie i zarazem empirycznie współczesnego człowieka, dla którego najważniejsze wyobrażenia biblijne gwałtownie tracą znaczenie i moc.

Jacek Bolewski SJ doskonale zdaje sobie sprawę z palącej potrzeby znalezienia nowych, pogłębionych teologicznie uzasadnień dla istniejących w Kościele różnych praktyk maryjnej pobożności, zanim coraz bardziej zsekularyzowani wierni odrzucą je, jako niezrozumiałe relikty przeszłości. Z jednej więc strony – książka wyrasta z wnikliwej refleksji badawczej autora, z drugiej – nie traci z pola widzenia troski o ewangelizacyjną misję Kościoła, poszukującego nowych środków wyrazu i podejmującego rewizję teologicznych stanowisk, mającą na celu coraz głębsze i uwzględniające znaki czasów wniknięcie w tajemnice wiary.

Rozważania Bolewskiego zaliczyć trzeba przeto do nurtu teologii żywej, to znaczy ukierunkowanej nie tylko poznawczo dla wąskiego kręgu, lecz poprzez inspirowaną spekulację intelektualną, odwołującą się i apelującą do doświadczenia Boga i pragnącej przyczynić się do religijnego pobudzenia czytelnika.

Aby sprostać takiemu zamierzeniu, autor szuka nowego języka teologicznego, i – równocześnie – nowego języka przepowiadania Dobrej Nowiny, świadom konieczności wyrwania się ze skostniałych schematów, zakorzenionych przyzwyczajęń oraz dominującej w naukowych publikacjach tendencji do używania specjalistycznego, hermetycznego żargonu, niezrozumiałego dla laika.

Sam też język najnowszej książki polskiego mariologa staje się kolejnym dowodem (od) wagi piszącego, uciekającego się niejednokrotnie do językowej gry, odkrywającego (ukrytą nieraz) wieloznaczność sformułowań, kreatywnego w innowacjach słowotwórczych i semantycznych, wreszcie – przywołującego w sukurs język poczji. Językowa inwencja autora zasługuje na szczególną uwagę; drobny jej przykład niesie już tytuł książki, ujęty graficznie w taki sposób, by otwierał rozległą przestrzeń semantyczną: od – nowa odsłania się zarówno w znaczeniu „od początku”, „jeszcze raz”, jak i w znaczeniu drugim – odrodzenia (łac. *renovatio*), odnowienia. W końcu obydwie te sensy wzięte łącznie odkrywają pełniejszą intencję: podjęcia od początku, jeszcze raz, ponownie, na nowo dzieło odnowy wiary. Nie bez znaczenia jest też ukrycie w tytule centralnego dla całości rozważań słowa „początek”, które nie pojawia się tu, co prawda, w takim brzmieniu, ale semantycznie jest obecne. Przykład powyższy dobrze ilustruje językowy zamysł Jacka Bolewskiego.

Za nowatorskie należy także uznać użycie tekstów poetyckich jako swoistych argumentów popierających teologiczne intuicje. Analiza wierszy poetów dwudziestowiecznych (Brodski, Rilke, Claudel, Szymborska, Herbert) przeprowadzane przez Bolewskiego przy okazji teologicznego dyskursu, uderzają wnikliwością i głębią, świadcząc zarówno o znajomości i umiłowaniu przez autora literatury i jego wrażliwości na słowo, jak też o rzadkiej zdolności myślenia interdyscyplinarnego i świadomości warsztatu literaturoznawczego. Jest to czynnik niebagatelny dla wagi omawianej pozycji, która pozostając książką z dziedziny teologii, każe się umieścić w szerszej, ogólnohumanistycznej perspektywie, świadcząc dowodnie, że refleksja teologiczna pozostaje refleksją humanistyczną, wzbogacając ją o nowe sensy.

Teologia maryjna tworzona przez o. Bolewskiego ma – co niezmiernie istotne – charakter ekumeniczny, sycąc się i czerpiąc inspiracje z rozmaitych źródeł chrześcijańskich, zarówno katolickich, jak i protestanckich czy prawosławnych. Nierzadko sięga też do religii dalekowschodnich (hinduizm, buddyzm), odkrywając w nich obecność prawdy oraz – zadziwiająco niekiedy – intuicje zbieżne z wiarą Kościoła, choć wyrażone w odmiennym języku. Książka ta może się więc przyczynić nie tylko do nowej ewangelizacji, ale także do odkrycia – ponad różnicami – głębszej jedności duchowej.

Osnuta wokół zagadnienia Niepokalanego Poczęcia Matki Bożej, książka rozwija śmiałą myśl o „niepokalaności” wszystkich ludzi w zamyśle Boga. Refleksja teologiczna przesycona jest przy tym u Bolewskiego pierwiastkiem duchowym i służy duchowemu ożywieniu.

Nie wiem czy nie największą wartością książki jest to, że jej lektura rodzi nagle modlitwę... Dlatego też – będąc książką (od) ważną, o dużym znaczeniu jako pozycja intelektualna w ubogiej raczej polskiej myśli teologicznej, pozostaje książką mądrą, poruszającą ku dobremu w najgłębszym duchowym sensie

Wszystko to razem (oraz – dodatkowo – szata graficzna!) pozwala cieszyć się tą pozycją jako książką piękną, odsyłającą zarazem do piękna Tej, której jest poświęcona, i której ujmujący wizerunek, pędzla Antonellego da Messiny umieszczony na okładce, budzi nadzieję i ufność.

*Zofia Zarębianka*

---

Jacek Bolewski SJ, *Od-Nowa z Maryją*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2000.

# NOTY

\*

Wybór wierszy Amichaja pod tytułem *Koniec sezonu pomarańczy* jest pierwszą publikacją książkową tego poety w Polsce. Jehuda Amichaj to najwybitniejszy współczesny poeta izraelski, uhonorowany znaczącymi nagrodami, szeroko znany w świecie; jego wiersze zostały przełożone na ponad trzydzieści języków. W Polsce znany jest z publikacji w dwóch antologiach i w pismach literackich, między innymi w „Kwartalniku Artystycznym”: w numerze 3/1994 w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego oraz w numerach 3/1997 i 1/2000 w przekładach Tomasza Korzeniowskiego.

Jehuda Amichaj pisze wiersze o Bogu, o Jerozolimie, o aniołach, o snach, o śmierci, o miłości, o żydowskich świętach, o ojcu, o matce, o swoich dzieciach, o historii i pisze tak, że to co osobiste osiąga wymiar uniwersalny, odnosi się do *sacrum*, odwołuje do Biblii i do Hagady. Czy można być wybitnym poetą tak wielkiego dziedzictwa i nie odnosić się do *sacrum*? Głównym źródłem hebrajszczyzny jest Biblia. Ale hebrajszczyzna współczesna jest językiem potocznym. Ścierają się dwa żywioły – język i rzeczywistość. W języku hebrajskim nie ma słowa, które nie mogłoby być rzeczywistością. Rzeczownik *dabar* oznacza zarówno słowo (opowiadanie) jak i rzecz (rzeczywistość). Słowo i rzeczywistość są w hebrajszczyźnie związane w sposób nierozłączny. Dzięki wierszom Amichaja przenikamy w codzienność i w święteckość żydowską, a jest to w każdej epoce doświadczenie bezcenne. Świat Amichaja rozpięty jest pomiędzy radością a rozpaczą – jest to główne napięcie tej poezji: bardzo trudne do znoszenia i bardzo twórcze. Amichaj daje ważne świadectwo.

K. M.

---

Jehuda Amichaj, *Koniec sezonu pomarańczy*, przekład z hebrajskiego Tomasz Korzeniowski, „Świat Literacki”, Izabelin 2000.

\*

Na okładce *Myszosera* – Piotr Mitzner, jak czart na przydrożnej wierzbie, grzbiet swój kuli, w dłoni dzierżąc fajkę. Wewnątrz odnajdujemy całkiem smakowite danie – trzy cykle wierszy: *Praska bezsenność*, *Z wierszy telewizyjnych*, *Przeniesienie*. Pomędzy – jak dziury w serce – równie ważne, niebanalne teksty.

„Każda podróż jest/nieudaną próbą ucieczki/bo świat kończy się na skalistym brzegu czaszki” – *Praska bezsenność* ewokuje nastrój baudelaire’owskiego spleenu. Podmiot liryczny, dyskretnie, bez natrętnego ekshibicjonizmu, buduje świat człowieka zawieszonoego „pomędzy”, pozbawionego złudzeń. Gorzka ironia maskuje

tragizm doświadczenia „niemożności”. I nie bez kozery pozostaje przywołany *Czarny Franz K*, gdy „łopocząc uszami/uderza o szklany klosz/chce go zbić/zgasić/światło nad rękopisem/w złej głowie”.

Koliste struktury tekstów wzmacniają znaczenia niesione przez poszczególne motywy: „kręte uliczki żył/pod cienką skórą nocy/puste/, „pusty sen”, „świt obnaża/posągi skaczą do wody/brzegi zbliżają się/żebym się nie utopił/,/ta dziewczyna nie dobiegła do mnie/a mogła mnie zabić”. Wrażenie błędnego koła, Kafkowski kacenmajer towarzyszą lekturze tego cyklu.

Z *wierszy telewizyjnych* osadza we współczesnych realiach topos „życia snem”, mówi o dotkliwym braku autentyzmu ludzkiej egzystencji: „za chwilę przyjdzie uzdrowiciel, uciszy swoją arytmie/uleczy bezsenność/.../możesz jeszcze wyłączyć telewizor/,/czasami i krew się nie kończy/płynie płynie/bo to długi serial”.

Szklany ekran maskuje nasze lęki, równocześnie zostajemy odarci ze swojej podmiotowości: „Telewizor długo mi się przyglądał/manipulował kanałami/ostrością i moim głosem/nie słuchał mnie/aż wreszcie wyłączył”.

*Przenoszenie* jest swego rodzaju „odwróconą” inicjacją, antyinicjacją. Daje wyraz tęsknocie za bezpieczną przestrzenią domu, jej trwałością, możliwością schronienia: „Sprzedałem dom/razem z dzieciństwem/krzakiem pigwy/i rodzicami na ławce”. Jednak właściwie pępowiny nigdy nie przecięto: „Rozstałem się z młodością/ona żyje z innym/a ja zakładam nową księgę wieczystą/mieszkam w Granicy/kocham za Rzeką/wszędzie można/pić herbatę/wyciskać do niej/tamtę kwaśny ogród”. Przejawia się tu archetyp „wiecznego chłopca”, *puer aeternus*, męczyzny prowadzącego prowizoryczny tryb życia z obawy przed znalezieniem się w sytuacji, z której nie ma ucieczki. Nie akceptuje rzeczywistości, fantazjuje na temat przeszłości, przyszłości, ale tak naprawdę nie robi nic, by zmienić swoje życie.

Za wszelką cenę pożąda niezależności i wolności. Taką postawę reprezentuje „ja” liryczne większości utworów: „Zupełnie niby nie było lat/na dłoni są ciepłe doliny/w zmarszczkach/grymasy znajome/na strychu/zakazana gra/idę się urodzić/zupełnie jakby nie było lat/Bo już wynieśli lustra”. Oczywiście to wszystko budzi lęk przed światem, utrudnia jego akceptację, nic więc dziwnego, że „U schyłku dnia jestem czarną dziurą/wszystko zbiega się, zbliża do czerni/sprowadza się do mnie/cały dzień, czy rodzi pragnienie by/Cofnąć się/w matkę/w chwilę/przed nadejściem ojca”.

Najbardziej urzekają u Mitznera pojedyncze obrazy, ich lakonizm zgodny z przekonaniem Williama Hazlitta, iż „Myśl powinna przemówić od razu, albo w ogóle”: „Na początku była śliwka/chłodna zamknięta/starłem z niej mgłę/otworzyła się bez oporu/albo/zbierać zbierać/mówi szary gołąb z tęczową obrozą/póki czas/póki czas i frunąc klaszcząc sobie skrzydłami”.

J. M.

*Prywatna historia poezji* Małgorzaty Baranowskiej zaczyna się od przywołania sonetów Staffa, od wspomnienia Różewicza i Świrszczyńskiej, od wywołania Herberta i Białoszewskiego i Iwaszkiewicza, Grochowiaka, Szymborskiej, Miłosza. To głosy w ciszy. Baranowska zestawia je obok siebie, np. Szymborska, Kamieńska, Świrszczyńska; łączy, zestraja, odnosi, np. Zaleski – Białoszewski, Szymborska – Staff, Krynicki – Peiper, Białoszewski (*Ogród Saski*) – skamandryci (*Łazienki*), Lechoń – szatan (zadziwiające zdanie Lechoń: „Kiedy grzeszymy i uchodzi nam to bezkarnie, kiedy grzesząc, zdobywamy życie – jest to nieomylny znak, że Bóg nas opuścił i że jesteśmy pod władzą i opieką szatana.”). Współlistnienia. Ciało i mistyka. Anioły, obłoki, rytmy. Fizjologia i metafizyka. Współcześni poeci istnieją w ściślejszej łączności z poetami poprzednich wieków i są to mocne związki, m.in. ważne powiązania z Norwidem, Kraśńskim, Słowackim, Mickiewiczem. Ale czy poeci mogą istnieć inaczej?

Według Baranowskiej na pewno zostaną niektóre wiersze Staffa, Wata, Białoszewskiego, Iwaszkiewicza, Herberta, Szymborskiej, Miłosza, Krynickiego, Grochowiaka, Świrszczyńskiej. Dlaczego nie wymienia Leśmiana, Czechowicza, Różewicza? Baranowska niczego nie przesądza, opowiada tylko o swoich ośnieniach. Mówi, że jej ulubioną zasadą świata jest epifaniczność. Podoba mi się jej poczucie humoru. Wiersz Zygmunta Kraśńskiego pt. *Burzy grom...* przeczytałem kilka razy.

Małgorzata Baranowska mówi, że jej prywatna historia poezji jest historią kosmosu... To tam, do obłoków i do gwiazd wznoszą się najpiękniejsze i najmocniejsze rytmy. Na koniec suspens: list od profesora astronomii – o obłoku (międzygalaktycznym, pyłowym). Pył, promieniowanie, wybuch. Czy ma to coś wspólnego z poezją?

K. M.

---

Małgorzata Baranowska, *Prywatna historia poezji*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1999.

Kolejny, fascynujący esej Ryszarda Przybylskiego – *Rozbukany koń. Esej o myśleniu Juliusza Słowackiego*. Romantycy sporo miejsca poświęcili myśleniu. W tę sferę, „kraińczę myśli romantycznej” – jak nazywa ją autor *Pustelników i demonów* – wkracza i centrum swych rozważań czyni on Juliusza Słowackiego i jego walkę o samodzielne myślenie, „w obecności Ducha”, w oczekiwaniu na „Głos z Transcendencji”. „Religijność – pisze Ryszard Przybylski – była dla Słowackiego iskrą bożą, rozświetlającą ciemne mroki formy człowieka, elementem boskim, pozwalającym usłyszeć głosy z transcendencji.” Słowacki w swoim krótkim życiu, tak jak inni romantycy wiele rozmyślał o myśleniu, a myślenie twierdzi autor eseju, stało się jego obsesją. Przybylski porusza fundamentalne problemy romantyków: „problem związków myśli ze słowem wraz z niejasną świadomością myśli niewypowiedzianej” oraz kwestię, którą spotkać można w *Fauście* Goethego o tym, że „myśl potrafi zabijać «ducha życia»”. Kiedy Słowackiemu przestały wystarczać nauki Kościoła zaczął tworzyć własną wiarę. Prawdy religijne istniały nadal. „Pochwycenie – według Paula Tilicha – przez Nieuwarunko-

wane, przez to, co jest poza byciem, co byciu daje bycie, a sensowi sens. Słowacki kroczył samotnie swą własną ścieżką, w poszukiwaniu własnego dogmatu; tego, „co byciu daje bycie, a sensowi sens”. Rozpacz niedokonania, poczucie niespełnienia, niemożność dotarcia do „Gospody Sensu”. I język, jak droga pokrętna, bujna, rozkwitająca, pozostający narzędziem ułomnym, bezsilnym wobec rzeczywistości nadprzyrodzonej. Język, religia, rozum, wiara oraz wzajemne relacje między nimi stanowią obszar rozważań Ryszarda Przybylskiego. „Doświadczenie Słowackiego – pisze autor eseju – jest nadal naszym doświadczeniem. Tu i teraz. W piekle naszych dzisiejszych przemian. Ponieważ spór między materialną skończonością a nieskończoną pychą myśli trwa i trwać będzie aż do czasu, kiedy Anioł Zagłady wrzuci nasz świat do jeziora ognia. To znaczy, kiedy naszą kochaną Ziemię pochlonie konające Słońce”.

G. K.

---

Ryszard Przybylski, *Rozhukany koń. Esej o myśleniu Juliusza Słowackiego*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1999.

„Każdy jako tako przyzwoity człowiek uważa się za wysoce niedoskonałego, lecz człowiek religijny uważa się za nędznika.” Oto jeden z aforyzmów Ludwiga Wittgensteina, autora *Traktatu logiczno-filozoficznego*, *Dociekań filozoficznych*. *Uwagi różne* zawierają zbiór aforyzmów, notatek, zapisów, mini-esejów na najrozmaitsze tematy: filozofii, literatury, muzyki, religii, historii, współczesnej cywilizacji, ludzkich zachowań. Niezwykły to zbiór uwag jednego z największych filozofów XX wieku. Wylania się z tych zapisków, ułożonych chronologicznie od 1914 do 1951 roku, wizerunek człowieka uważnie wsłuchanego w rzeczywistość i wszelkie jej pomruki. Dla niektórych zapisy Wittgensteina to źródło wiedzy o mądrym i przenikliwym człowieku rozumiejącym złożoność tego świata, dla innych zaś stać się mogą zbiorem sentencji prowadzących do zrozumienia filozofii ich autora, „duchowego ojca” nurtu myślowego zwanego pozytywizmem logicznym, empiryzmem logicznym czy też inspiratorem tzw. filozofii języka potocznego. Przypomina się suchy, lakoniczny styl *Traktatu logiczno-filozoficznego* oraz jego 7 teza: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. W *Uwagach różnych*, osobistych wyznaniach, Wittgenstein wydaje się przekraczać granicę wyznaczoną przez milczenie, które miało dla niego tak wielkie znaczenie. Mówi szeptem. Mówi jak mędrzec. To, co jednak najważniejsze w tej książce to mądrość i pokora, bez wrzasku i jazgotu pseudoprofetycznych rewelacji, od których roi się wokół.

G. K.

---

Ludwig Wittgenstein, *Uwagi różne*, przełożyła Małgorzata Kowalewska, Wydawnictwo KR, Warszawa 2000.



Jakże dziwna, pasjonująca, niepokojąca i mroczna książka: *Powiedziane, zapisane. Szaleństwo i literatura* Michela Foucaulta. Zbiór esejów, przedmów do książek, szkiców, recenzji, rozmów z autorem. Michel Foucault – autor *Archeologii wiedzy*, *Historii szaleństwa*, *Historii seksualności*, filozof, historyk idei, nietzscheanista, postmodernista (tak naprawdę niewiele wie, co termin ten oznacza), zafascynowany w młodości marksizmem, fenomenologią, egzystencjalizmem, strukturalizmem i wszelkimi atrakcyjnymi prądami myślowymi pojawiającymi się na Zachodzie w latach 50. i 60. I wreszcie myśliciel, wrażliwy odbiorca sztuki, literatury szczególnie, głęboko poruszony spektaklem Samuela Beckerta *Czekając na Godota*, po którym to, rzecz by można, epifanicznym doznaniu wkracza w sfery innego rozumienia rzeczywistości, wkracza w nowe nieznane jeszcze obszary. Foucault – teoretyk Dyskursu, w którego władaniu wszystko, wypowiadający się przeciwko wszechwładnej Egzegezie i Komentarzowi. Podobnie jak późny Heidegger, Horkheimer, Adorno postrzega „historię zachodniej kultury – jak pisze w «Posłowiu» Michał Paweł Markowski – jako proces spełniający się w podwójnym ruchu, który tworzą, z jednej strony, narastające samowładztwo Rozumu podporządkowującego sobie z autokratycznym gestem to, co Inne, z drugiej zaś strony radykalne zapomnienie źródłowego doświadczenia Bycia, którego przezroczystą maską – jak sugeruje Foucault – wydaje się być szaleństwo. Zadaniem filozofa jest dotarcie do owej sfery niezapśredniczonego doświadczenia, zadaniem poety zaś jest jego wysłowienie”. Poglądy autora *Historii seksualności* ewoluowały. Finałem ewolucji było odrzucenie hermeneutyki, interpretacji. Przedmiotem badań stały się zmistyfikowane postaci interpretacji w rozmaitych sytuacjach socjotechnicznych. Najważniejsze rozważania Foucaulta zawarte w *Szaleństwie i literaturze* dotyczą literatury, języka, śmierci, milczenia, gier językowych.

G. K.

---

Michel Foucault, *Powiedziane, zapisane. Szaleństwo i literatura*, wybrał i opracował Tadeusz Komendant; przełożyli: Bogdan Banasiak, Tadeusz Komendant, Małgorzata Kwietniewska, Adriana Lewańska, Michał Paweł Markowski, Paweł Pieniążek; posłowie: Michał Paweł Markowski, Aletheia, Warszawa 1999.

*Prenumerata roczna*

krajowa: 30 zł  
zagraniczna: 30 \$ USA

*Cena numeru archiwalnego*

krajowa: 7 zł  
zagraniczna: 8 \$ USA  
(wraz z kosztami wysyłki)

*Wpłaty prosimy kierować na konto:*

Wojewódzki Ośrodek Kultury  
PBKS II O/Bydgoszcz  
11001034-902 779-2101-111-0  
„Kwartalnik Artystyczny”

*Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.*

© *Copyright by*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY.  
KUJAWY I POMORZE, Bydgoszcz 2000.

*Druk*

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Spółka z o.o.  
87-200 Wąbrzeźno, ul. Mickiewicza 15  
tel.: (056) 688 17 64

Poleca najnowsze tytuły

Seria emigracja

Seria emigracja



**Jan Kott:**

Kościalkowska posługuje się językiem czystym i wielostrunnym, zanurzonym czasami w staropolszczyznę, ale jednocześnie niezmiennie świeżym (...)  
Jest znakomitą pisarką.

**Kazimierz Wierzyński:**

Za świadectwo prawdy dnia codziennego, za jej żywe, malownicze Kujawy piśmiennictwo polskie będzie Danilewiczowej wdzięczne.

**Ryszard Kapuściński:**

„Dziennik z Iowa” to jedna z najważniejszych w naszej literaturze książek o Ameryce.

**Z noty edytorskiej:**

Opowiada fabularne sny, pisze wiersze podobne do realistycznych opowiadań czy wręcz powieści, nawet jej odrealnione poematy mają fabularny bieg.

Również polecamy wcześniej wydane książki:

proza: Michał Głowiński *Czarne sezony*

Grzegorz Musiał *Al Fine*

Krzysztof Myszkowski *Funebre*

poezja: Mirosław Dzień *Cierpliwość*

Jarosław Klejnocki *W drodze do Delft*

Piotr Matywiecki *Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa*

ISSN 1232-2105

Cena 8 zł